

The background of the cover is a detailed painting of a rustic stone house. The house has a weathered, textured facade. A prominent feature is a bright blue arched door with a small window and a brass handle. Above the door, a large, vibrant bush of red roses with green leaves cascades down the side of the building. To the right of the door, a small blue sign with the number '10' is visible. Above the door, there is a blue window with a decorative frame. The overall style is reminiscent of a classic oil painting, capturing a sense of time and place in a French Breton province.

Marjorie Price  
*Dar z Bretanii*

Wspomnienia  
miłości i straty  
na francuskiej  
prowincji



Marjorie Price  
Dar z Bretanii

Wspomnienia miłości i straty  
na francuskiej prowincji

Przełożyła Małgorzata Hesko-Kołodzińska



Wołowiec 2014

Wszelkie powielanie lub wykorzystanie niniejszego pliku elektronicznego inne niż jednorazowe pobranie w zakresie własnego użytku stanowi naruszenie praw autorskich i podlega odpowiedzialności cywilnej oraz karnej.

Tytuł oryginału angielskiego A GIFT FROM BRITTANY.  
A MEMOIR OF LOVE AND LOSS IN THE FRENCH COUNTRYSIDE

Projekt okładki KRZYSZTOF RYCHTER  
Fotografia na okładce © by BARBARA VAN ZANTEN / LONELY PLANET /  
GETTY IMAGES / FLASH PRESS MEDIA  
Projekt typograficzny ROBERT OLEŚ / D<sub>2</sub>D.PL

Copyright © by MARJORIE PRICE, 2008  
All rights reserved  
Copyright © for the Polish translation  
by MAŁGORZATA HESKO-KOŁODZIŃSKA, 2014

Redakcja ALICJA LISTWAN / D<sub>2</sub>D.PL  
Korekta ANNA WOŚ / D<sub>2</sub>D.PL, KAMILA ZIMNICKA / D<sub>2</sub>D.PL  
Redakcja techniczna i skład ROBERT OLEŚ / D<sub>2</sub>D.PL

ISBN 978-83-7536-810-9

Black Publishing jest marką wydawniczą Wydawnictwa Czarne sp. z o.o.  
Wołowiec 11, 38-307 Sękowa

Cena 24,90 zł

## *Spis treści*

*Strona tytułowa*

*Strona redakcyjna*

*Dedykacja*

*Prolog*

1 Klepisko

2 Zrządzenia losu

3 Królestwo zwierząt

4 Wielki mur

5 Prawdziwa miłość

6 Goście, goście

7 Duchy przeszłości

8 Kilka czerwonych kropek

9 Elektryczność

10 Quatre quarts

11 Muza

12 Nadciągająca burza

13 Dżin na wolności

14 Kobieta bluszcz

15 Patyki i kamienie

16 Nocna wizyta

17 Pomocna dłoń

18 Przerwany spokój

19 Rosół z kury

20 Kraina cydru

21 Mgła opada

22 Na ratunek

23 Niedokończona sprawa

24 La misère

25 Czepiec

26 Nie zapomnij mnie

*Epilog*

*Podziękowania*

*Przepis na quatre quarts*

*Przypisy*

*Kolofon*

*Dla Jeanne*

## *Prolog*

Wioska już nie istnieje. Z oddali wydaje się taka sama jak dawniej, dopóki nie zauważy się lśniących, prefabrykowanych budynków rozsianych wśród starych gospodarstw. Chłopów też już nie ma, nikt już nie zobaczy, jak ciągną na pola, we mgle, na długo przed nastaniem świtu. Znikły staruszki w czerni, zgarbione nad kapustą w warzywnikach, przepadli wieśniacy gawędzący tutejszą gwarą przy płocie, nierozzerwalnie związani z wiekowymi gospodarstwami. Kobiety w przypiętych szpilkami sztywnych koronkowych czepcach i w łopoczących na wietrze czarnych spódnicach, zmierzające przez łąkę na niedzielną mszę w pobliskiej wiosce, pozostały jedynie na pocztówkach dla turystów. W ciemne i mroczne wieczory nikt nie zbiera się wokół kominka w jednym z gospodarstw, by się rozgrzać, popijać cydr i dla rozrywki opowiadać historie o duchach. Zwyczaje, które przetrwały próbę wieków, odeszły do lamusa.

Wiele lat temu, gdy byłam młoda, trafiłam pomiędzy takich właśnie ludzi. Początkowo wioska i jej mieszkańcy wydawali mi się obcy i nieprzyjaźni, z czasem jednak zbliżyłam się do Jeanne, jednej z miejscowych chłopek, a wieś stała się również moim światem.

W starej, ręcznie rzeźbionej skrzyni od niemal pięćdziesięciu lat przechowuję pewną pamiątkę: czepiec noszony przez kobiety w niedziele lub przy okazji ważnych wyjść. Poszarzały ze starości, jest nadal owinięty w bibułę, sprasowany niczym płatki kwiatu pomiędzy stronicami książki. Nie jest to zwykły czepiec, lecz wyjątkowy, wkładany wyłącznie na wesela i od święta. Sam środek zrobiono z siateczki, którą otacza koronka, mocno wykrochmalona, a mimo to delikatna. Gdy trzymam czepiec w dłoni, powracają wspomnienia, wspomnienia miłości, złamanego serca i prostej, odzianej w czerń wieśniaczki, która odmieniła moje życie.

Wodzę palcami wzdłuż wypukłości i szczelin koronki, myśląc o dniu, w którym upięła ten czepiec na mojej głowie. Jak żywe jest to wspomnienie: czuję, że ona znów jest przy mnie, a wioska na powrót ożywa.

## *Klepisko*

W drodze powrotnej do Paryża długo wyglądałam przez okno, zafascynowana nagimi gałęziami drzew oświetlanych przez nasze reflektory i odcinających się od bezgwiezdnego nieba. W milczeniu przemierzaliśmy zimowy krajobraz Bretanii. Yves nie odrywał wzroku od drogi. W końcu przerwał milczenie.

– Pomyśl o tym, Midge, siedem domów i trzy hektary. Pół osady będzie nasze!

Nic nie odpowiedziałam, co zapewne uznał za dąsy.

– Daj spokój. Musisz przyznać, że jak za tyle domów i te wszystkie drzewa, sześćdziesiąt siedem milionów franków to nieprawdopodobna okazja – perswadował.

– Okazja? Sześćdziesiąt siedem milionów za siedem ruder? Nie chce mi się wierzyć, że bierzesz pod uwagę zakup czegoś takiego.

Niezrażony rozpływał się nad tym, że budynki są solidne, sosnowe lasy ciągną się przez wiele kilometrów, a w ogóle to spotkało nas niewiarygodne szczęście, że trafiliśmy w to miejsce.

– Wyobraź sobie: będziemy mieli własny las!

Popatrzyłam na niego.

– Yves, czyżbyś zapomniał? Chcieliśmy przytulnego domu na wsi nad morzem, gdzie moglibyśmy malować piękne obrazy, a nie gigantycznej ruiny w samym środku lasu. Jest tak zapuszczona, że remont potrwałby ze dwadzieścia lat!

– Posłuchaj, Mijoux. – Zawsze tak się do mnie zwracał, gdy okazywał czułość, skruczę albo na coś mnie namawiał. – Taka przestrzeń zapewni nam mnóstwo miejsca do malowania.

Potem dodał, że wybudowałby dla siebie pracownię w lesie za głównym budynkiem, na uboczu, czego zawsze pragnął, a ja mogłabym przerobić jeden z pustych budynków na własne studio.

– Który? – wycedziłam lodowato. – Wszystkie są w ruinie.

– Tak tylko wyglądają z zewnątrz, *chérie*, ale są solidne. Wiem, że szukaliśmy czegoś mniejszego, lecz przecież wystarczy jedynie odnowić te budynki, w których zamieszkamy. A wiosną, w oczekiwaniu, aż Le Blevenecowie wyszykują swoje nowe gospodarstwo, wprowadzimy się do domu przy drodze...



– W sąsiedztwie krów? – Trzasnęłam pięścią w deskę rozdzielczą tak mocno, że schowek się otworzył. – Mowy nie ma!

Mówiłam poważnie. Nikt nie mógł mnie zmusić do zamieszkania obok paskudnej zrujnowanej obory, od setek lat pełnej pajęczyn i szcurzych gniazd. Nikt, nawet Yves.

– Wyremontujemy go – oznajmił. Objął mnie muskularnym ramieniem i przytulił. – Kominek jest sprawny, brak nam jedynie dwupalnikowego prymusa do gotowania, materaca na podłodze i łóżeczka. Najmłodsza córka Le Bleveneców jest tylko o dwa lata starsza od naszej, będą mogły się razem bawić. Pomyśl, jak Danielle zmężnieje latem z dala od miasta, kiedy pooddycha świeżym wiejskim powietrzem. Zobaczysz, *ma chérie*, że La Salle to właśnie to, czego szukaliśmy.

\*

Odkąd poznałam Yves'a podczas romantycznej wiosny 1960 roku, nieustannie powtarzał, że pewnego dnia kupi gospodarstwo na francuskiej wsi. Tam zamierzał uciekać przed paryskim latem, znaleźć kryjówkę w otoczeniu przyrody i malować z dala od szaleństw wielkiego miasta. Po ślubie i narodzinach Danielle zastanawialiśmy się często, jak będzie wyglądał ów dom i gdzie go znajdziemy. Yves stawiał przede wszystkim na Owernię, górski region w środkowej Francji, gdzie w dzieciństwie spędzał wakacje, jednak Owernia leżała zbyt daleko, o cały dzień drogi od Paryża. Ja od niepamiętnych czasów fantazjowałam o życiu w pobliżu morza na południu Francji, o powietrzu przesyconym wonią mimozy, o skąpanych w słońcu śródziemnomorskich miastach. Yves upierał się, że tamte rejony zdeptali turyści, a poza tym Południe znajdowało się jeszcze dalej od Paryża niż Owernia, więc mój pomysł przepadł.

W końcu zawęziliśmy obszar poszukiwań do Bretanii. Otoczona z trzech stron morzem La Bretagne nadal była pierwotna i nieskalana, jej celtycka dusza mogła zainspirować Yves'a i spełnić jego oczekiwania. Szybko dałam się przekonać do perspektywy wakacji w przytulnym wiejskim domku na skalistym wybrzeżu. Od Paryża dzieliło Bretanię zaledwie sześć godzin jazdy autem, dzięki czemu jedno z nas mogłoby szybko powrócić do miasta na niespodziewane spotkanie z marszandem albo kolekcjonerem. Nareszcie wiedzieliśmy, czego nam potrzeba.

Za namową Yves'a napisałam do ojca i poprosiłam go o pożyczkę na niewielki wiejski domek, w którym spędzalibyśmy letnie miesiące. Obiecałam, że spłacimy ją w jak najkrótszym terminie. „Danielle będzie oddychać świeżym, zdrowym powietrzem – pisałam – a na łonie przyrody Yves i ja stworzymy obrazy, które

niewątpliwie przyczynią się do naszego sukcesu w artystycznym świecie”. Ojciec odpisał: „Mam nadzieję, że się nie mylisz, moja droga. Zawsze chodziłaś z głową w chmurach, ale wyślę Ci pieniądze w ramach spóźnionego prezentu ślubnego”. Nie posiadaliśmy się z radości. Teraz potrzebny był nam jedynie łut szczęścia, byśmy znaleźli odpowiednie miejsce. Skontaktowaliśmy się z bretońskimi *notaires* – wszechobecnymi we Francji istotami, które prowadzą każdą transakcję, od narodzin do śmierci, a potem od podziału spadku do zakupu nieruchomości.

Pewnego dnia, po niezliczonych rozczarowaniach, *notaire* z południa Bretanii zadzwonił do nas do Paryża.

– Znalazłem! – ryknął *maître* Rowan do telefonu. – *Quelle chance!* Idealne miejsce dla państwa. *La moitié d'un hameau*. Proszę sobie wyobrazić, pół osady! *Mon Dieu*, tylko dwanaście kilometrów od czarującego miasta Vannes. Gospodarstwo jest ociupinkę większe od tego, czego państwo szukali. *Eh, oui*, zamiast jednego domu mamy siedem, ale pod innymi względami to idealne miejsce. *Parfait!* A cena jest do negocjacji. Proszę mi zaufać – ciągnął z zapalem. – Muszą państwo to zobaczyć.

– *Merde!* – Yves z impetem położył słuchawkę na widełki. – Chyba sobie żartuje. Pół osady!

– Osady? – spytałam.

– Małej wioski. Kompletnie mu odbiło!

Narysował kółko na czole i wybiegł jak burza do pracowni. Po chwili drzwi się otworzyły i wbiegł z powrotem.

– Zmieniłem zdanie – oznajmił. – Rzucę na to okiem. Przynajmniej będziemy mieli pojęcie, czego się spodziewać po tym regionie.

Następnego ranka wyruszył naszym maleńkim citroenem 2CV na południe Bretanii, do departamentu Morbihan. Zadzwonił wieczorem.

– *Notaire* miał rację, *chérie*. Sama musisz zobaczyć to miejsce. Nieważne, że jest spore. Zostaw Danielle u moich rodziców i wyjedź pociągiem o wpół do siódmej rano. Będiesz w Vannes o wpół do pierwszej. Przyjadę po ciebie na stację i wybierzemy się razem obejrzeć nieruchomość. Nazywa się La Salle.

Nazajutrz pojawiłam się na położonej na skraju miasta urokliwej stacji kolejowej z budynkiem z czerwonej cegły. Na prawie pustym peronie od razu zauważyłam Yves'a. Pomachał do mnie, a ja podbiegłam i wpadłam w jego rozpostarte ramiona, po czym ruszyliśmy do La Salle. Po krótkiej jeździe szeroką drogą skręcił w wąską, krętą dróżkę.

– Osada leży zaledwie dwanaście kilometrów od Vannes – powiedział. – Marzyliśmy o takim miejscu. Pokochasz je, Mijoux, tego jestem pewien.

– Hm – mruknełam tylko.

Pomimo jego entuzjazmu daleko mi było do zachwytu. Przede wszystkim zmierzaliśmy w głąb lądu. W Bretanii pociągało mnie surowe wybrzeże i liczyłam na bliskość morza. Co więcej, wszędzie było zupełnie pusto – nie minął nas ani jeden samochód. Próbując zignorować złowrózbnę przeczucie, pocieszałam się w myślach, że tylko się rozglądamy, i wróciłam do podziwiania dziewiczego krajobrazu za oknem. Wbrew sobie musiałam przyznać, że panuje tu bardzo spokojna atmosfera. Osłonięta gęstym żywopłotem, przecinana tajemniczymi, prowadzącymi pozornie donikąd ścieżkami, droga wiła się nieustannie, bez widocznego celu. Co jakiś czas w oddali pojawiała się kilka domów, ledwie widocznych z tej odległości. Okolica tonęła w zieleni, krajobraz nie wydawał się tak surowy i dziki jak ten, który obserwowałam z pociągu, co tylko dowodziło racji Yves’a, który twierdził, że na południu Bretanii klimat jest łagodny i od czasu do czasu pojawia się tam słońce. Z trudem odczytywałam dziwnie brzmiące nazwy wyryte na prowizorycznych znakach przy drodze.

– Locquetas, Kerlomen, Keravello... Le Guerhuet. Co to za język? – zapytałam. – Nadal jesteśmy we Francji?

– To bretoński – wyjaśnił Yves. – W prawie całej Bretanii ludzie posługiwali się, a niekiedy nadal posługują, bretońskim, jednak mieszkańcy departamentu Morbihan w okolicach Vannes mówią w gallo. To zlepek gwary, bretońskiego i francuskich słów, takich jak La Salle. Kiedyś nie mówiono tu w żadnym innym języku, aż w końcu rząd zakazał ludziom używać gallo, nawet postawiono znaki z napisem: „Zabrania się pluć i mówić po bretońsku”, co dotyczyło też gallo. Po wojnie prawo zniesiono, ale do dziś w szkołach nie wolno mówić ani po bretońsku, ani w gallo. Mimo to nikt nie zdołał powstrzymać starszych rolników od porozumiewania się ze sobą tymi wymierającymi językami.

Uśmiechnęłam się do siebie. Gdyby zobaczyły mnie dawne przyjaciółki z Chicago, nie mogłyby uwierzyć własnym oczom. Miałam żyć dokładnie jak one, poślubić solidnego, odpowiedzialnego mężczyznę ze Środkowego Zachodu, kogoś pokroju mojego ekschłopaka Charliego, i osiąść na przedmieściu. A tu proszę, wysłałam za niezwykle francuskiego malarza i mam uroczą, dwuipółletnią francuskojęzyczną córeczkę, teraz zaś szukamy letniego domu na idyllicznej francuskiej wsi. Sama ledwie mogłam w to uwierzyć.

Droga nie chciała się skończyć. Dwanaście kilometrów ciągnęło się niczym trzydzieści, a za jednym niespodziewanym zakrętem błyskawicznie wyłaniał się następny. Nasz wybitnie miejski *deux chevaux* podskakiwał i zataczał się na wyboistej

drodze. Zastanawiałam się, jak bardzo wiejskie okaże się wybrane przez Yves'a miejsce.

– To tutaj! – wykrzyknął Yves. – To La Salle!

– Gdzie?

– Tu!

Skreśliśmy na ubitą drogę, która wspinała się na zbocze wzgórza. Za szybą widziałam tylko długi, paskudny mur z kamienia i betonu, dominujący nad okolicą niczym złowroga forteca z wypiętrzonymi wałami obronnymi. Jechaliśmy dalej. Po chwili naszym oczom ukazał się sosnowy las na szczycie wzgórza. W cieniu drzew, po obu stronach drogi wznosiły się skupiska budynków. Yves skreślił w lewo na niewybrukowane podwórze, a wtedy jęknęłam na widok olbrzymiej rudery dwadzieścia metrów przed nami. Z prawej strony znajdowało się jeszcze kilka budynków, a następny rozciągał się po drugiej stronie podwórza i był większy niż jakikolwiek gmach, który dotąd widziałam. Przy wjeździe dostrzegłam kolejne dwa i zadrżałam na myśl, ile jeszcze tego się tu zmaterializuje przed zmierzchem. Wygramoliwszy się z *deux chevaux*, stanęłam na wprost paskudztwa długości bloku mieszkalnego, które zauważyłam przed wjazdem na wzgórze. Po bliższych oględzinach paskudztwo to okazało się olbrzymim magazynem, pełnym zepsutych wózków, porzuconych taczek, nieużywanych pługów, narzędzi, połamanych motyk, pordzewiałych grabi, łopat i złomu. Skrzypiąca i trzeszcząca na wietrze konstrukcja górowała nad resztą budynków niczym umierający ze starości słoń, a jej ogromny cień na podwórzu sprawiał, że całość prezentowała się wyjątkowo przygnębiająco. Ostrożnie dreptałam za Yves'em, starając się omijać puste puszki, fragmenty porzuconych narzędzi oraz odchody bliżej nieokreślonych zwierząt. Po obejściu licznej kurzej rodziny ruszyliśmy wzdłuż budynków, które były tylko odrobinę milsze dla oka niż przerośnięte szkaradzieństwo przy wjeździe. Wszystkie budowle miały grube na metr, kamienne ściany oraz dachy z ciemnoszarych płytek łupkowych i były w mniej lub bardziej fatalnym stanie. W miejscu brakujących płytek byle jak poukładano kawałki blachy aluminiowej, okna zaś prowizorycznie zabito przypadkowymi deskami. Pierwotne kamienne framugi zostały zastąpione paskudnymi wypełnieniami z betonu. I to miał być wiejski dom naszych marzeń? Yves chyba nie rozważał kupna takiego okropieństwa? Nic nie mogłoby bardziej odbiegać wyglądem od malowniczych bretońskich zagród z obrazów Gauguina, a przecież takiego właśnie domu podobno szukaliśmy. To, co tu widziałam, to były *Grona gniewu*.

Z niesmakiem zmarszczyłam nos, ale Yves mnie zignorował, bo właśnie kiwał głową parze, która z determinacją zmierzała w naszym kierunku. Kiedy z uśmiechem ściskaliśmy sobie dłonie, przypomniało mi się, że Yves zakazał mi się odzywać. Gdyby ktokolwiek odkrył, że jestem Amerykanką, cena podskoczyłaby dwukrotnie. Pomyślałam sobie, że to bez różnicy, bo przecież i tak nie kupimy tych domów.

Mężczyzna o wyrazistym, przystojnym obliczu miał pod czterdziestkę, był wysoki i chodził wyprostowany jak struna. Jego żona z kolei była pulchna, ogorzała i rozchichotana niczym pensjonarka. Przyszło mi do głowy, że zapewne niecodziennie ma okazję rozmawiać z obcymi. Ja uwielbiałam takie pogawędki, zwłaszcza z ludźmi, których życie bardzo różniło się od mojego. Marzyłam, by zapytać ją, jak się mieszka w położonym na uboczu gospodarstwie na głębokiej wsi. Chciałam wiedzieć, gdzie robi zakupy i czy jest jedynaczką, ile ma dzieci i co gotuje na kolację. Im więcej myślałam o zakazie odzywiania się, tym bardziej narastała we mnie ciekawość i czułam się coraz bardziej spętana poleceniem Yves'a.

Zarumieniona *madame* Le Blevenec zaprosiła nas do najważniejszego budynku. Wielka prostokątna izba służyła i za kuchnię, i za salon. Na piętrowych łózkach pod ścianami spali wszyscy: *madame*, jej mąż i piątka dzieci oraz jej słabowity i przygarbiony ojciec, który snuł się po kuchni i łypał na nas podejrzliwie, podczas gdy Yves i *monsieur* Le Blevenec dyskutowali. Z kąta ciemnego pomieszczenia napływał charakterystyczny zapach kapuśniaku, który gotował się na opalonym drewnem piecu. Półmrok rozjaśniały jedynie snopy światła z dwóch wąskich okien. Z krokwi zwisał pogięty drut zakończony żarówką, sąsiadujący z poskręcany lepkiem papierem, który z powodzeniem przyciągał i więził muchy. Miliony much. Wkrótce miałam się przekonać, że tam, gdzie są krowy, tam nie zabraknie tłustych, mięsistych, krwiożerczych i niezniszczalnych gzów.

*Madame* Le Blevenec wyjęła z kredensu cztery szklanki, przetała je fartuchem i postawiła na blacie, obok bochna chleba, puszki ciastek i bryły smalcu. Zasiadliśmy na ławach po obu stronach drewnianego stołu. *Monsieur* Le Blevenec wyciągnął z roboczych spodni nóż, jego żona zaś wyjęła nóż z kieszonki w fartuchu. Zauważywszy, że najwyraźniej zapomnieliśmy zabrać z Paryża swoich noży, wręczyła Yves'owi i mnie po jednym.

Wymiana uprzejmości okazała się raczej zwięzła. *Monsieur* Le Blevenec otworzył butelkę cydru własnej roboty i ku mojemu zdumieniu mężczyźni bezzwłocznie przeszli do dyskusji o ewentualnej sprzedaży.

– *Alors, monsieur* Drumont, widział pan działkę u stóp wzgórza – powiedział *monsieur* Le Blevenec, pochylając się ku nam. Jego oczy błyszczały. – Tam właśnie

wylejemy fundamenty pod nasz nowy dom. – Odkroił pajdę chleba, posmarował ją smalcem i mi wręczył. – A za rok kupimy traktor. W całej wsi, *dame*, nasz będzie pierwszy i jedyny.

Zabraliśmy się do jedzenia i picia. Wtedy właśnie poznałam smak cydru i smalcu. Smalec fakturą przypominał mi śliskie, surowe ostrygi, a konsystencją gumowaty żel, którego używałam do mieszania farb. Cydr pachniał i smakował jak mieszanka zwiętrzałego octu i terpentyny. Przełknęłam wszystko, starając się ukryć odruch wymiotny.

– La Sallette – odezwała się *madame* Le Blevenec. Cała czerwona, odwróciła się do męża, jakby w oczekiwaniu na przyzwolenie. – Nazywamy nasz nowy dom La Sallette.

Był to jej pierwszy wkład w rozmowę. Ja nie mogłam sobie pozwolić nawet na tak oszczędny komentarz. Le Blevenecowie zapewne uznali mnie za nieśmiałą, głęboko upośledzoną lub pozbawioną własnego zdania istotę. Bardzo się mylili – marzyłam o tym, by coś powiedzieć. Wybór domu na wsi miał dla mnie kolosalne znaczenie, a to było ostatnie miejsce na całej planecie, w którym zgodziłabym się spędzić resztę życia. Niestety, wielki kawał smalcu oblepił mi podniebienie, więc byłam zmuszona milczeć.

– Wiosną będą mogli państwo przeprowadzić się do pierwszego domu po prawej od wjazdu na podwórze. Rzućmy okiem na ten budynek. – *Monsieur* Le Blevenec odepchnął się od stołu i wstał. Yves zrobił to samo i machnął na mnie ręką, żebym za nimi poszła. *Madame* Le Blevenec została w kuchni.

– *Vous voyez*, państwo Drumont – mówił *monsieur* Le Blevenec, gdy szliśmy przez podwórze. – Ta część wioski była dawniej podzielona na dwa gospodarstwa. Dom obok drogi i ten, w którym zamieszkacie, są najstarsze w osadzie. Widzi pan, jak kamienie są przyrżnięte i obłupane, żeby się łączyły na jaskółczy ogon bez żadnego spoiwa? – Przejechał kciukiem wzdłuż krawędzi kamienia. – W tej części gospodarstwa domy mają co najmniej trzysta lat.

– A więc państwa dom jest nowszy, bo kamienie łączono zaprawą – zauważył Yves.

– Owszem, ale ma dwieście lat, a to i tak niemało. Prawda, *madame* Drumont? – Uśmiechnął się.

Odpowiedziałam uśmiechem i odruchowo rozchyliłam usta do odpowiedzi, jednak w tym samym momencie Yves stanął między nami. *Monsieur* Le Blevenec szarpnął za kłamkę i gestem zachęcił mnie do wejścia. Wnętrze pogrążone było w półmroku i śmierdziało stęchlizną. Z krokwi nad głową zwisała, a jakże, naga

żarówka na drucie, a za podłogę służyła *terre battue*, czyli klepisko. Czy ludzie naprawdę mieszkali tu na ubitej ziemi? Ten dom od dawna stał pusty, więc urządzono w nim jeszcze jeden skład rupieci, równie koszmarny jak poprzedni, choć nieco mniejszy. Najgorsze jednak, że dom niemal przylegał pod kątem prostym do obory. Czy mogłabym przywyknąć do tak bliskiego sąsiedztwa krów? Oczywiście, że nie. To miał być tymczasowy dom? Śmiechu warte. Na szczęście nie musiałam się tym szczególnie przejmować, a przynajmniej o to modliłam się w duchu. Tylko oglądaliśmy, prawda?

Po powrocie do kuchni dołączyliśmy do *madame* Le Blevenec, która wyjęła filiżanki i nalewała do nich mocnej kawy o przenikliwym aromacie. Kawa była zaprawiona korzeniem cykorii, co, jak się potem przekonałam, stanowiło miejscowy zwyczaj. Znowu zasiedliśmy na ławach.

– Biorąc pod uwagę, że mamy tu siedem domów i trzy hektary, *monsieur* Drumont, przyzna pan, że siedemdziesiąt dwa miliony franków to niewysoka cena.

Odwróciłam się błyskawicznie do Yves'a.

– Naprawa dachów, instalacja ogrzewania, modernizacja, ocieplenie to koszarne wydatki. Mnóstwo roboty, *monsieur* Le Blevenec. Sześćdziesiąt pięć milionów – oznajmił Yves.

– Sześćdziesiąt dziewięć – odparł natychmiast *monsieur* Le Blevenec. – Więcej nie mogę opuścić, *monsieur* Drumont.

Zapadła cisza. Wstrzymałam oddech.

– Pomyślimy o tym – powiedział Yves.

Odetchnęłam, po czym podniosłam się z miejsca.

– Sześćdziesiąt siedem milionów – odezwał się nagle Yves. – To nasza ostateczna oferta, *monsieur* Le Blevenec.

*Monsieur* Le Blevenec odsunął ławę. Jego żona wstała i dała mu znak, by i on to zrobił.

– Zaraz wracamy – powiedział i wyszli.

– Założę się, że rozmawiają o naszej ofercie – wyszeptał mi Yves do ucha, jakbyśmy byli konspiratorami.

– Naszej ofercie? Nie spytałeś mnie o opinię!

– Ciii! Bo cię usłyszą. Posłuchaj, *chérie*. – Przyciągnął mnie do siebie i położył mi ręce na ramionach. – Wiem, że to miejsce nie najlepiej wygląda z zewnątrz, ale nie znasz francuskiej wsi tak dobrze jak ja. Nie znasz tych wiosek ani starych domów. Ja bywałem w nich jeszcze jako dziecko i dostrzegam możliwości. Po remoncie La Salle będzie cudowna, zaufaj mi.

– Yves – powiedziałaam przyciszonym tonem. – Nie możemy tego kupić. Tu wszystko jest za duże i za stare, a podłogi to klepiska! Rozumiesz? Klepiska! – W moim głosie pobrzmiwała rozpacz. Właściwie gotowa byłam paść na kolana i błagać. – Zapomniałeś, *chérie*? Chcieliśmy znaleźć niewielki domek nad morzem, gdzie moglibyśmy malować. Jeśli kupimy tę ruinę, utoniemy w uprzątku gruzowiska, a w dodatku...

– Uwierz mi, Midge – ciągnął, jak gdyby nie słyszał ani słowa. – To idealne miejsce i nieprawdopodobna okazja za te pieniądze. Tata pochwali nas za udaną inwestycję.

– Ale... Ale... – wyjąkałam.

Było już za późno. Blevenecowie wrócili.

Kiedy usiedli, byli bardzo konkretni i rzeczowi. Biorąc pod uwagę tę naradę na osobności, zastanawiałam się, czy to przypadkiem nie *madame* Le Blevenec podejmuje finansowe decyzje za zamkniętymi drzwiami, a przynajmniej wyraża swoją opinię, nim cokolwiek zostanie postanowione. Widocznie w jej rodzinie obowiązywała inna hierarcha ważności.

– *D'accord* – powiedział powoli *monsieur* Le Blevenec. – Niech będzie sześćdziesiąt siedem milionów. Przyjmuję ofertę.

Mężczyźni uściskali sobie dłonie i *monsieur* Le Blevenec przyniósł jeszcze jedną butelkę cydru. Wypili, rozluźnili się i śmiali, a potem ustalili, że Yves przekaże pierwszą płatność po podpisaniu urzędowych dokumentów. W milczeniu popijałam cydr, który z każdym łykiem coraz bardziej mi smakował. Beznamiętnie doszłam do wniosku, że równie dobrze mogę się upić.

– Moja żona jest z Chicago – oznajmił Yves teraz, gdy cena została wynegocjowana i niebezpieczeństwo minęło.

Wszystkie spojrzenia powędrowały w moim kierunku. Odkasznęłam.

– *Oui, je suis de Chicago* – potwierdziłam.

– Zna pani francuski! – ucieszył się *monsieur* Le Blevenec. – *Maître* Rowan powiedział nam, że jest pani Amerykanką. Myśleliśmy, że mówi pani tylko po amerykańsku.

Sporunowałam Yves'a wzrokiem.

– Chicago to niebezpieczne miejsce, *non*? – zauważył *monsieur* Le Blevenec.

– Było niebezpieczne w czasach Ala Capone – odparłam.

– Pierwszy raz Amerykanin postawił stopę w La Salle. Będzie pani tu mile widziana, *dame*. – Wyciągnął rękę nad stołem, by uścisnąć mi dłoń.



– *Dame, oui!* – przytaknęła *madame* Le Blevenec z nieśmiałym uśmiechem i rumieńcem na policzkach, po czym pokiwała głową.

\*

Po wymianie uścisków dłoni załadowaliśmy się do *deux chevaux* i Yves wyjechał z podwórza. Właśnie wtedy zobaczyłam ją po raz pierwszy. Stała na poboczu – staruszka w czerni, przygarbiona od harówki w polu, pomarszczona od słońca i wiatru. Uderzyło mnie, że wydaje się ponadczasowa, równie dobrze mogła tu przybyć wprost z poprzedniego stulecia. Odkręciłam pokrytą szronem szybę, żeby lepiej się przyjrzeć nieznajomej. Włosy ściągnęła w koczek, a koniec wełnianego szalika, który związała pod brodą, co chwila chłostał ją w policzek. Wychyliła się ku samochodowi. Drgnęłam, gdy nasze spojrzenia się spotkały. Wpatrywałam się w nią, dopóki nie skręciliśmy, by zjechać ze zbocza. Jej długa, czarna spódnica wydeła się na styczniowym wietrze, ale staruszka stała nieruchomo niczym jeden z wysokich, tajemniczych megalitów, które wyrastają w rozmaitych miejscach Bretanii. W dwudziestym wieku była zupełnie nie na miejscu, za to niezwykle harmonizowała z pradawnym otoczeniem. Cała z zimowych cieni, na tle wiekowej wioski wydawała się wręcz organicznie zrosnięta z kamiennymi zagrodami o dachach z płytek łupkowych.

Zadawałam sobie pytanie, co ja, na litość boską, tu robię. Nie mogłabym mieszkać w tak odległym od cywilizacji, zapomnianym przez Boga i ludzi miejscu, wśród dziwnych osób, których mowę ledwie rozumiałam.

A jednak nie potrafiłam o niej zapomnieć. Później dowiedziałam się, że nazywa się Jeanne Montrelay. Podczas jazdy do Paryża wciąż stała mi przed oczyma. Gdy ostatnie światła zimowego dnia zniknęły za horyzontem, nadal widziałam jej pomarszczoną, okrągłą niczym słońce twarz, jak w kalejdoskopie przemieniającą się w tonący w mroku bretoński krajobraz, który zostawialiśmy za sobą.

## *Zrządzenia losu*

Cztery lata wcześniej skończyłam dwadzieścia osiem lat. Mieszkałam na zamożnych, zielonych przedmieściach Chicago nieopodal jeziora Michigan. Po skończeniu college'u zostałam sekretarką w jednej ze stacji telewizyjnych, a wieczorami uczyłam się w zaocznej szkole artystycznej. Odkąd pamiętam, marzyłam o wyjeździe do Paryża i malowaniu. Zachwycało mnie wszystko, co francuskie, czytałam o Francji i tamtejszych artystach każdy tekst, który wpadł mi w ręce. Z mozołem brnęłam przez lekcje francuskiego, delektowałam się francuskimi potrawami i kręciłam majonez, dodając po kropli oleju sałatkowego do żółtka i musztardy, jak w moim przekonaniu powinna robić każda szanująca się gospodyni domowa we Francji. Mieszkałam u rodziców i ograniczyłam codzienny lunch do hot doga za dwadzieścia centów, dzięki czemu udało mi się zaoszczędzić na bilet trzeciej klasy do Francji na pokładzie Queen Elizabeth. Obliczyłam, że przy zachowaniu dyscypliny zdołam przeżyć w Paryżu aż trzy miesiące.

Był rok 1960 i większość młodych kobiet po dwudziestce myślała wyłącznie o znalezieniu męża. Na początku lat sześćdziesiątych Amerykanie udający się do Europy z reguły pochodzili z zamożnych rodzin, podróżowali pierwszą klasą z guwernantkami swoich dzieci i mnóstwem kufrów pełnych zdobionych cekinami wieczorowych sukien, przygotowanych specjalnie na wykwinne kolacje przy kapitańskim stole. W trzeciej klasie roiło się od rodzin imigrantów powracających do ojczyzny, od czasu do czasu przytrafiała się również parka żądnych przygód nauczycieli na wakacjach. Mało kto podróżował samotnie, a już na pewno nie młode kobiety. Nic dziwnego, że rodzina tak się zbulwersowała na wieść o moim zagranicznym wyjeździe w pojedynkę.

– Nawet nie chcę o tym słyszeć! – grzmiał mój ojciec biznesmen, wychylając się zza płachty „Chicago Tribune”.

Byłam blisko związana z tatą. Gdy dorastałam, w niedzielne poranki wyprawialiśmy się razem na długie spacery brzegiem jeziora Michigan. W trakcie przechadzki często zdarzało się nam zamienić parę słów z wędkarzami, którzy wystawali na pomostach sięgających w głąb jeziora. Tata, mistrz pływacki, zaraził

mnie miłością do pływania, kiedy jeszcze byłam bardzo mała. Mama powtarzała, że owinęłam sobie ojca wokół palca. Darzyłam tatę uwielbieniem i naprawdę nie chciałam go denerwować, ale czasami nie dało się na to nic poradzić.

– Dobrze wychowane młode kobiety nie podróżują samotnie, a już na pewno nie do Francji – dodała mama drżącym głosem. W jej oczach zalśniły łzy. – Wszyscy mnie pytają, kiedy się ustatkujesz i wyjdiesz za mąż. Co powiem przyjaciółkom, jeśli samotnie popłyniesz do Europy?

Usiłowałam ją podnieść na duchu, ale zdanie innych ludzi miało dla niej wyjątkowe znaczenie. Wychowywała mnie na damę, obowiązkowo nosiłam perły i białe rękawiczki, w grę nie wchodziło nawet najmniejsze odstępstwo od normy. Zdaniem matki samodzielna podróż do Europy była tożsama z grzechem.

– Mogłabyś przynajmniej okazać minimum przyzwoitości i zapisać się na wycieczkę, jak ja po skończeniu szkoły – upomniała mnie starsza siostra, ani trochę nie łagodząc sytuacji. – Naturalnie nocowaliśmy w Hôtel de Crillon – dodała. – To jedyne przyzwoite lokum w Paryżu.

Szybko też legły w gruzach moje nadzieje na wsparcie z strony Charliego, chłopaka, z którym się umawiałam. Zaczęliśmy chodzić ze sobą niespełna rok wcześniej. Żadnemu z nas nie śpieszyło się do ślubu, założyliśmy, że się pobierzemy, gdy przyjdzie odpowiednia pora. Charlie pracował jako spiker w tej samej stacji telewizyjnej co ja. Był wysoki, miał wyrazistą, fotogeniczną twarz i niski dźwięczny głos, dzięki któremu wszystko, co mówił, wydawało się niezwykle głębokie. Palił fajkę, jak mój ukochany ojciec, a wobec mamy był czarujący aż do przesady. Choć nie straciłam głowy na jego punkcie, okazał się odpowiedzialny i zaangażowany, a zresztą kiedy się poznaliśmy, miałam po dziurki w nosie randek i przeganiania niechcianych adoratorów. Charlie był inny. Okazywał mi szacunek, po każdej randce przysyłał kwiaty i podkreślał, że nasz związek pozostanie czysty aż do „stosownego momentu”. Wmówiłam sobie, że z czasem zakocham się w Charliem. Gdy jednak poinformowałam go o zamiarze wyjazdu na kilka miesięcy do Francji, jego spokój ustąpił pola nieczęstemu atakowi furii. Omal się nie rozstaliśmy podczas pełnej napięcia randki w naszej ulubionej chińskiej restauracji, kiedy Charlie zaczął machać rękami i wrzeszczeć:

– Mowy nie ma, żeby moja narzeczona jeździła za granicę do kraju pełnego latynoskich kochanków!

Mimo to byłam zdecydowana wyjechać, gdyż wiedziałam, że jeśli mam zostać artystką, muszę odbyć tę podróż, opuścić dom i przyjaciół choćby tylko na kilka miesięcy. Ani Charlie, ani moi bliscy nie mogli pojąć głębi mojej determinacji

i namiętności do sztuki. Miałam bilet, trochę pieniędzy na koncie i niezachwianą pewnością, że nic nie stanie mi na przeszkodzie. Wysłuchując niezliczonych upomnień i ultimatów, spakowałam dwie małe walizki, wskoczyłam do pociągu do Nowego Jorku, potem na pokład statku i ani razu nie obejrzałam się za siebie.

W Paryżu czułam się wolna i niezniszczalna, całkiem jakbym wypłynęła na nieznane wody, gdzie wszystko jest możliwe. Pełne hałasu i wigoru miasto stanowiło wręcz dramatyczny kontrast z bezbarwnymi, monotonnymi przedmieściami Chicago, które opuściłam. Zachwycało mnie dosłownie wszystko. Spacer brzegiem Sekwany przywoływał wspomnienie dzieł moich ukochanych impresjonistów. Nie mogłam uwierzyć, że na własne oczy widzę to samo pełne blasku miasto, które inspirowało tylu śmiałych malarzy sto lat wcześniej. Oszołomiona, dzień po dniu przemierzałam wąskie i kręte uliczki Paryża, pełne zróżnicowanych odcieni szarości i oświetlone słonecznym blaskiem, który zdołał się przedrzeć przez mgłę, unieśmiertelnione przez Pissarra, Sisleya i całą resztę. Znałam ich obrazy na pamięć. Moje szkicowniki były pełne wieżyczek katedry Notre Dame, posągów Rodina, balkonów z kutego żelaza, dziedzińców, policjantów, kochanków nad Sekwaną, słowem wszystkiego, co mi wpadło w oko. Niezmordowanie rysowałam ludzi w kawiarenkach na bulwarach. Miałam zwyczaj siadywać przy stolikach blisko chodników i nonszalanckim tonem zamawiać café crème. Twarze ludzi pogrążonych w niezrozumiałych dla mnie pogawędkach wydawały mi się odmienne od twarzy Amerykanów. Rysy paryżan były ostrzejsze, nosy bardziej szpiczaste i węższe, usta zaciśnięte i ptasie, zapewne od rozciągania i wydymania, niezbędnych do wymówienia trudnych francuskich głosek.

Niestrudzenie krążyłam po wystawach. Pewnego dnia w eleganckiej galerii na Prawym Brzegu podszedł do mnie dystyngowany, bardzo uprzejmy kurator i spytał, czy wystawa mi się spodobała. Mimo szczątkowej znajomości francuskiego zdołałam odpowiedzieć:

– *Est-ce que je dois être, hm, honnête?* (Czy mam być szczerą?)

– *Bien sûr, mademoiselle*, zawsze trzeba być szczerym – odparł z wrodzonym galijskim wdziękiem.

Prawdę mówiąc, obrazy ani trochę mi się nie podobały. Teoretycznie była to sztuka figuratywna, ale jednocześnie gruba faktura farby nałożonej szpachelką i efekt rozmycia schlebiały ówczesnej modzie na abstrakcję.

– Praca wygląda na, hm, *facile* – oznajmiłam, taktownie unikając słowa *commercial*.

– Rozumiem, co ma pani na myśli, *mademoiselle*. Hm... *Mais oui. Facile*. – Przyglądził srebrzyste włosy. – Jeśli jednak byłaby pani zainteresowana pracami

innego malarza, chętnie przyślę pani zaproszenie na przyszłotygodniowy wernisaż. To młody, utalentowany artysta, nazwiskiem Le Guerrec. Być może bardziej przypadnie pani do gustu.

\*

Otwarcie wystawy Le Guerrec trwało w najlepsze, gdy zjawiłam się w galerii. Pełna była napuszonych ekscentryków, którzy kręcili się po pomieszczeniach i żywo gestykulowali. Zachwycona tym pierwszym paryskim wernisażem chłonełam wszystko jak gąbka, gdy nagle obrazy i ludzie rozmyli się niczym we mgle. Widziałam wyraźnie tylko jednego mężczyznę, który wyróżniał się tak bardzo, jakby stał w snopie światła z reflektora punktowego w pogrążonym w mroku teatrze. Był oszałamiająco przystojnym trzydziestokilkulatkiem, miał klasyczny rzymski profil, asymetryczny, wydatny nos i wąskie, zmysłowe usta. Barczysty i muskularny, górował nad innymi mężczyznami w galerii. Ubrany z niewyszukaną elegancją, miał na sobie rozchełstaną koszulę i szykowny fular w czerwono-czarne wzorki. Biła od niego pewność siebie, coś w rodzaju wrodzonej wyższości, gdy rozglądał się ponad głowami ludzi. Zdawał się ucieleśnieniem francuskiego artysty, więc założyłam, że to bohater wystawy, nie odstępował jednak zabiedzonego młodzieńca o długich czarnych włosach i cienkim głosie. Chudzielec wystrojony był w wygniecioną, sięgającą do ziemi pelerynę z czarnego aksamitu i przy bliższym zbadaniu okazał się twórcą obrazów. Obaj nieustannie żartowali i nie ulegało wątpliwości, że się przyjaźnią.

Kilka razy powoli obeszłam wystawę, mijając tych dwóch i pozorując całkowite skupienie na zgłębianiu sztuki. Nawet mnie nie zauważyli. W westybulu wzięłam swój płaszcz i już miałam wyjść, gdy wyższy z mężczyzn nieoczekiwanie zmaterializował się w drzwiach wyjściowych i stanął mi na drodze.

– Chciałaby pani mieć swój portret? – spytał, pieszcząc mnie spojrzeniem. Poczułam, jak uginają się pode mną kolana.

– *Oui!* – pisnęłam i ku jego zaskoczeniu nabazgrałam na skrawku papieru swoje imię oraz numer telefonu hotelu. – Proszę zadzwonić – wymamrotałam z jak najlepszym francuskim akcentem i wcisnęłam karteczkę w jego wyciągniętą rękę.

Tydzień później zadzwonił.

– *Allo, Midge.* – Wymówił moje imię z francuskim akcentem, przez co zabrzmiało „Miiż”, jedwabiście miękko, jak nigdy wcześniej nie słyszałam. – *C'est Yves.* Spotkaliśmy się na wernisażu Le Guerrec. Pamiętasz mnie?

– Tak mi się wydaje. Yves... No tak, naturalnie. Wernisaż – oświadczyłam, siląc się na obojętność.

– Byłoby mi bardzo przyjemnie, gdybyś przyszła w piątkowy wieczór do mojej pracowni na kolację, a przy okazji obejrzeć obrazy. Będzie też grupka angielskich kolekcjonerów. Dołączysz do nas?

Jakoś udało mi się dotrzeć do piątku. Pojawiłam się punktualnie o ósmej. O dziwo, angielscy kolekcjonerzy w ogóle się nie pokazali.

Yves przygotował kolację w niezbyt dobrze wyposażonej kuchni. Choć moja znajomość francuskiego była ograniczona, wydał mi się najinteligentniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałam. Elokwentny i uduchowiony, studiował literaturę grecką i rzymską, a także francuską, angielską i nawet moich rodzimych amerykańskich klasyków. Kolacja jednak nie była szczytem wyrafinowania. Składał się na nią przesmażony i niedoprawiony befsztyk z grilla, podany wraz z pozbawionym smaku, sklejonym i niejadalnym ryżem, który dzięki Bogu dało się spłukać przyjemnym czerwonym winem.

Po kolacji poszliśmy do pracowni oglądać obrazy. Przestronne, lecz zagracone pomieszczenie wyglądało jak wzorcowe studio francuskiego artysty z moich wyobrażeń. Ściana od północy była w całości przeszklona, a pod wysokim sufitem ciągnęły się sękaty drewniane krokwie. Solidne belki podpierały znajdujący się za zapadniętą sofą podest, na którym Yves przechowywał obrazy, oparte jeden o drugi niczym podniszczone ukochane książki na półce. Długi drewniany stół pod ścianą zavalony był nieprzeliczonymi tubkami i słoikami pełnymi farb, co robiło jednocześnie wrażenie uporządkowania i chaosu. Pędzle w każdym kształcie i rozmiarze oraz szpachelki wetknięte były w nietypowo duże puszkę. Wszędzie pod ścianami widziałam obrazy, niektóre zapewne skończone, inne jeszcze nie.

Na początku lat sześćdziesiątych królował ekspresjonizm abstrakcyjny. W szkole artystycznej, do której chodziłam, sztukę figuratywną uważano za *dépassé* i patrzono na nią z ukosa. Malarstwo Yves'a było wyzywająco realistyczne. Wszystkie jego prace inspirowała przyroda. Na części obrazów widniały kwiaty – nie były to jednak statyczne, tradycyjne martwe natury, lecz nieznanne mi kwiaty wylewające się z płótna czerwieniami, żółcią i bielą. Czasem jego paleta ograniczała się do błękitów i granatów – te obrazy wydały mi się melancholijne. Inne malował w kolorach ochry, pełno w nich było żółci, rdzy, brązu i umbry przemieszanych na płótnie i tworzących przesycone słońcem pole, rozmigotane i błyszczące. Na niektórych obrazach widniały zapadające w pamięć ptaki: sowy, wrony i indyki, zarazem realistyczne i pełne symbolicznych znaczeń. Na sztalugę trafił świeżo ukończony wizerunek bażanta, cały

w czerwieniach, brązach, oranżach i oliwkowej zieleni. Pole w tle wyglądało tak, jakby ożyło i wyskoczył z niego bażant. Nigdy nie widziałam równie przejmującego obrazu. We wszystkich pracach Yves wykorzystywał grubą warstwę farby, nie pozostawiając wyraźnych śladów pędzla i szpachelki. Wyglądało to tak, jakby farba sama z siebie spadła na płótno, bez żadnych wyliczeń i wzorów, a jej smugi magicznie skręciły się i przeplotły, dzięki czemu powstały przepiękne wizje. Wręcz mnie zamurowało. Yves usiadł obok mnie na sofie, a ja szukałam słów zdolnych wyrazić to, co czuję na widok jego prac. Trudno byłoby mi to wyjaśnić nawet po angielsku, a co dopiero po francusku. Jeden po drugim, obrazy mną zawładnęły i przeniosły mnie do miejsca, w którym jeszcze nie byłam. Gdy próbowałam to powiedzieć Yves'owi, poczułam, jak jego ręka ukradkowo obejmuje mnie w talii.

– Cieszę się, że podobają ci się moje prace – rzekł cicho, przyciągając mnie do siebie.

– Podobają? Mało powiedziane! Nigdy nie widziałam tak niezwykłych obrazów. Robią piorunujące wrażenie. Nie sądziłam...

Yves pochylił się, żeby mnie pocałować. To był długi, czuły, niezapomniany pocałunek. Nie przyszło mi do głowy, by zaprotestować. Po chwili pocałowaliśmy się raz jeszcze. Yves wstał, bez żadnych ceregieli wziął mnie za rękę i poprowadził zupełnie oszołomioną do sypialni w głębi mieszkania. W tym momencie mgła opadła mi z oczu, czar prysł. Zawsze uważałam się za światową kobietę, która w takiej sytuacji nie straci zimnej krwi. Zamiast jednak zachować wyniosły spokój, bez ostrzeżenia wybuchnęłam płaczem. Całkiem straciłam panowanie nad sobą.

– Jesteś taki sam jak wszyscy! – usłyszałam swój piskliwy głosik.

Wzburzona wyrwałam mu się, chwyciłam płaszcz i nie czekając na windę, zbiegłam z piątego piętra, po czym wypadłam na ulicę.

To był pierwszy wieczór. Następnego dnia Yves zadzwonił do hotelu, przeprosił mnie za swoje prostackie zachowanie i zaproponował następną kolację. Poszłam do jego pracowni, ugotowałam coś do jedzenia, a potem się kochaliśmy, całkiem jakby to było nieuniknione. Choć zrobiliśmy to po raz pierwszy, oboje odnosiliśmy wrażenie, że jesteśmy razem od zawsze, że nasze ciała należą do siebie. Straciłam poczucie czasu i przestrzeni, nie myślałam ani o przeszłości, ani o przyszłości. Liczyła się tylko ta chwila, tu i teraz razem z nim. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że mogę aż tak kogoś pragnąć. Yves był najpiękniejszym i najbardziej zmysłowym mężczyzną, jakiego spotkałam, ale nie chodziło tylko o to. Wszystko w nim mi odpowiadało. Uważnie słuchał tego, co mówiłam, nawet gdy znalezienie odpowiednich francuskich słów przychodziło mi z trudem. Nazywał mnie swoją czarodziejką, gasił lampy

i zapalał świece, by czytać mi swoje wiersze – niektóre nawet mi zadedykował. Zachwycały mnie jego niezwykle poruszające obrazy, a także sama świadomość, że jestem z francuskim artystą. Kochałam nasze wielogodzinne dyskusje o sztuce. Jego pomysły były dla mnie źródłem natchnienia i zaczęłam wierzyć, że kiedyś zostanę taką artystką, jaką pragnęłam być. Czułam się bardziej kochana przez niego niż przez kogokolwiek na całym świecie, a w jego ramionach ani przez chwilę nie wątpiłam, że znalazłam mężczyznę, którego nigdy nie przestanę darzyć miłością.

Zależało mi już tylko na nim. Nigdy nie zamierzałam pozostać na stałe we Francji. Założyłam, że kiedy skończą mi się pieniądze, wrócę do Chicago, znajdę pracę i wyjdę za Charliego, jeśli nadal będzie mnie chciał. Kochany, cierpliwy Charlie. Jego listy tydzień w tydzień pojawiały się w moim hotelu, ciepłe i pełne wieści całkiem nieistotnych w moim nowym życiu. Nim nadeszło lato, spędzałam niemal każdą noc w mieszkaniu Yves'a. Zwykle pojawiałam się wieczorem, żeby przygotować kolację, a rankami, przed powrotem do hotelu, gdy Yves znikał w pracowni, siedziałam nad kawą i karmiłam jego kotkę Grande Moustache. Yves znalazł ją na ulicy. To był pospolity dachowiec o zdumiewających, dzikich żółtych oczach, których spojrzenie paliło niczym ogień. Grande Moustache szalała na punkcie Yves'a. Kiedy się kochaliśmy w jej obecności, odwracała wzrok, zrezygnowana, bierna, zatopiona w myślach. Była jedynym stworzeniem, które Yves wpuszczał do pracowni podczas pracy. Kiedy malował, kotka siedziała spokojnie, jakby stężała w bezruchu, nie zmieniając pozycji, dopóki nie skończył i nie dał jej znaku, że może się poruszyć. Gdy pisał eseje i poezje, Grande Moustache bezszelestnie spacerowała po długim stole, z gracją i precyzją linoskoczka stawiając jedną łapę za drugą i omijając stosy kartek oraz farby. Prawdopodobnie uważała się za mużę Yves'a.

Wczesną jesienią postanowiliśmy poddać się konwenansom i wziąć ślub. W końcu byliśmy w sobie do szaleństwa zakochani i w zasadzie mieszkaliśmy razem już od pół roku. Mimo różnic w pochodzeniu oraz bariery językowej oboje byliśmy artystami i łączyły nas liczne zainteresowania, podobnie myśleliśmy i reagowaliśmy na ludzi. Poza tym w czasach, gdy przyjechałam do Francji, „życie w grzechu” uważano za poważny występki. Wścibska konsjerżka w budynku Yves'a piorunowała mnie wzrokiem i za każdym razem demonstracyjnie pytała, do kogo przysłam, choć po tylu miesiącach nie mogła tego nie wiedzieć. Poza tym ukrywanie naszego związku przed moimi rodzicami również stanowiło nie lada wyzwanie. Kończyły mi się już wymówki dotyczące tego, czemu nigdy nie ma mnie w hotelu, gdy dzwonią, więc nabierali podejrzeń. Uznaliśmy, że małżeństwo rozwiąże wszystkie nasze problemy.



Ślub był zwykłą formalnością przed *le mairie*, sędzią pokoju, a po nim urządziliśmy przyjęcie weselne dla garstki bliskich przyjaciół i krewnych w Closerie des Lilas, popularnym miejscu spotkań artystów i pisarzy na Lewym Brzegu. Po otrząśnięciu się z początkowego szoku wywołanego wieścią, że wychodzę za Francuza, moja rodzina postanowiła koniecznie przyjechać do Paryża na ślub. Yves sprytnie zaprosił na przyjęcie barona o dźwięcznym głosie, wraz z żoną, panią baronową, oraz pewnego markiza. Po tym, jak obecni dżentelmeni zgodnie z obowiązującymi zasadami zaprezentowali *savoir-faire*, całując dłoń mojej matki, zyskała pewność, że obracam się w odpowiednim towarzystwie. Zadowolona, że nie uwiodło mnie życie bohemy, gotowa była podzielić się z przyjaciółkami w Chicago nowiną o szczęściu córki. Ojciec nieufnie podchodził do wszystkich mężczyzn, którym okazywałam zainteresowanie, teraz jednak byłam przecież mężatką, więc dał się oczarować mojej teściowej, a Yves podbił jego serce. To właśnie wtedy narodziła się ich długoletnia przyjaźń. Moja siostra była zachwycona możliwością popisywania się szkolną francuszczyzną i realizowała się w roli tłumaczki, gdyż moi bliscy nie mówili po francusku, a rodzina Yves'a – po angielsku. Wszyscy komunikowali się za pomocą uśmiechów i gestów, mocno podlanych szampanem. Mimo moich obaw przyjęcie okazało się sukcesem.

Teraz byłam *madame* Drumont. „Drumont”, powtarzałam raz za razem. Moje nowe nazwisko zawierało gardłowe „r”, ściągnięte „u” oraz nosowe „ą” – te wszystkie niemożliwe francuskie dźwięki w jednym słowie. Niestety, nie umiałam go wymówić. Tak czy owak, byłam w siódmym niebie. Urodziłam się, aby zostać żoną artysty, zatem moje przeznaczenie się wypełniło – przynajmniej tak wtedy uważałam.

### *Królestwo zwierząt*

Wraz z odwilżą po mroźnej paryskiej zimie 1964 roku przyszedł list napisany z wielkim trudem przez *monsieur* Le Bleveneca.

„Zaczęliśmy już prace przy La Sallette – donosił. – *Merci bien* za pierwszą ratę. Pan i rodzina możecie się wprowadzić do domu przy stajni w każdej chwili. *A bientôt*”.

– Wysłałeś im pierwszą ratę? I nic mi nie powiedziałeś?

Walcząc ze łzami, zadawałam sobie pytanie, czy to na pewno ten sam mężczyzna, za którego wysłałam. Czyżbym nieświadomie zakochała się w despotcie, który nie miał zamiaru konsultować się ze mną w sprawach istotnych dla nas obojga? Może nie słyszał o prawach wyborczych dla kobiet? Nie posiadałam się ze złości.

– Naprawdę chcesz, żebyśmy spędzali każde lato w tej rozpadającej się, beznadziejnej, gigantycznej ruderze? – krzyknęłam.

– Uspokój się, *chérie*. Któregoś dnia mi podziękujesz.

– Nigdy.

– Z czasem przywykniesz.

– Nigdy!

– Będziesz musiała. Nie masz wyboru.

Wzdrygnęłam się.

W tym momencie Yves przypomniał mi, że wzięliśmy ślub we Francji, a zgodnie z prawem napoleońskim to mąż uważany jest za *lieu conjugal*.

– To oznacza, że kobieta zobowiązana jest iść za małżonkiem, czyli w twoim przypadku za mną, dokądkolwiek się on uda, w każde miejsce na świecie, czy to jej się podoba, czy nie – oświadczył z łobuzerskim uśmiechem i posadził mnie sobie na kolanach.

– Dokądkolwiek? – powtórzyłam z niedowierzaniem.

– Tak stanowi prawo, *ma chérie*. Dokądkolwiek. No, chyba że zdecyduje się on zamieszkać tam, gdzie jest niebezpiecznie.

– Co jest bardziej niebezpieczne niż mieszkanie tam, gdzie za podłogę służy klepisko i gdzie można zostać stratowanym przez krowy przy każdej próbie wyjścia?

Wśród zalewu pocałunków i pieścizot na próżno starałam się protestować. Gdy pojawiły się pierwsze zwiastuny wiosny, załadowaliśmy nasz nowy samochód, półciężarówkę volkswagena z fotelami wysokimi jak w ciężarówce terenowej, na tyle przestronną, by można nią było przetransportować cały nasz dobytek. Nadal złorzeczyłam pod nosem na przewrotne napoleońskie prawo, kiedy wsiadaliśmy do auta, aby o świcie wyruszyć do departamentu Morbihan.

Wczesnym popołudniem dotarliśmy do serca Bretanii, pełnej zapadniętych drózek, wiekowych wiosek, lasów i gospodarstw. Tego roku wiosna nadeszła wcześnie. Żywopłoty i pobocza dróg były obsypane złocistymi dzwonkami *genêt*, kolczastego krzewu, kwitnącymi wśród delikatniejszych żółcieni forsycji. Pola musztardowego rzepaku sąsiadowały z bujnymi łąkami, przez co krajobraz przypominał zielono-żółtą szachownicę, która przykrywała pofałdowaną okolicę niczym haftowana narzuta. Zbliżając się do La Salle, skręciliśmy na biegnącą wzdłuż łąki nieutwardzoną drogę. Nagle, bez ostrzeżenia, z dróżki zacienionej przerośniętym żywopłotem wyłonił się wóz ciągnięty przez dwa woły. Wysoki, barczysty mężczyzna trzymał wodze na stojąco, niczym rzymski żołnierz na rydwanie. Przejechał na drugą stronę drogi i spokojnie wtoczył się na inne pole.

– Obudź się, skarbie. – Delikatnie przebudziłam Danielle z popołudniowej drzemki. – Popatrz, woły.

Dotąd widywałam woły wyłącznie na obrazkach w licealnym podręczniku do geografii. Teraz ciągnęły wóz przez pole, a gdy patrzyłam, jak pochylały potężne łby i napinały muskularne ciała, miałam wrażenie, że zanurzam się w odległej, nieznannej przeszłości. Yves powiedział, że wieśniacy w tej części Bretanii do dzisiaj posługują się średniowiecznymi metodami. Zafascynowana obserwowałam, jak wóz znika w oddali, niczym fatamorgana na Saharze, i zastanawiałam się, jak bardzo oddalamy się od znanego nam świata.

Kiedy wjeżdżaliśmy do La Salle, zwodniczo romantyczne, popołudniowe światło spowijało domy morelową poświatą. Nic jednak nie mogło zamaskować ruiny przed naszymi oczami, a moje początkowe wątpliwości powróciły w chwili, gdy wysiedliśmy z auta na podwórzu. Poza ojcem *madame* Le Blevenec, który wyrывał coś w warzywniku, w wiosce nie było żywej duszy. *Monsieur* Allanic przykuśtykał do płotu, żeby nas powitać. Wytarłszy ręce o ogrodniczki, zalatujące ostrą wonią obornika, wsunął jedną między sztachety, by uścisnąć nam dłonie. Na jego pomarszczonej, bezzębnej twarzy pojawił się uśmiech. Potem powiedział coś niezrozumiałego, zapewne w gallo. Nawet standardowy francuski był dla mnie trudny do zrozumienia, przez męskie i żeńskie formy, nieregularne czasowniki i wręcz

niemożliwą do opanowania wymowę oraz gramatykę. Dawałam sobie radę z pojedynczym rozmówcą, lecz w tłumie albo w zetknięciu z lokalną gwarą po prostu kapitulowałam.

– Przeprowadzamy się do tamtego domu – oświadczył Yves radośnie. – Pewnie już jest gotowy.

*Monsieur* Allanic podrapał się po szczecinie na brodzie, a potem mruknął coś o dwóch gościach z Theix, którzy tu przychodzili, ale niewiele udało im się zrobić.

„Gośćmi”, o których wspomniał, byli murarz i hydraulik z pobliskiej wioski, których *monsieur* Le Blevenec polecił nam do ułożenia podłogi z płytek i zainstalowania hydrauliki w naszym tymczasowym domu. Yves dzwonił do nich z Paryża i wymusił na nich obietnicę, że skończą, nim zjawimy się na wiosnę. Najwyraźniej w ogóle nie zaczęli. Wszędzie wznosiły się piramidy rdzawych płytek, żadna jednak nie została przyklejona. Na środku pokoju poniewierały się popsute narzędzia i stare części przeznaczone do zamontowania w przyszłej toalecie. Nigdzie nie dostrzegłam ani śladu zlewu. Wściekła, bezskutecznie szukałam w pamięci francuskich przekleństw, podczas gdy Yves oglądał kąt pokoju, który miał być kuchnią.

– Popatrz! – wykrzyknął. – Hydraulik chyba zaznaczył, gdzie zamontować zlew. Dopilnuję, żeby to załatwili do końca przyszłego tygodnia. – Przytulił mnie. – Nie przejmuj się, Mijoux, wszystko będzie dobrze. Wykopię dziurę w lesie za domem i będziemy z niej korzystać, dopóki nie zainstalują sedesu.

Patrzyłam, jak chwyta łopatę opartą o ścianę i rusza do lasu. Wbrew sobie nie mogłam ani na chwilę przestać podziwiać jego długich palców artysty i uderzająco galijskiego profilu z krzywym nosem, który przydawał twarzy charakteru. Silny i muskularny Yves poruszał się z kocią gracją. Po trzech latach małżeństwa ten wrażliwy, nieprzewidywalny poeta nadal był najbardziej fascynującym i atrakcyjnym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek znałam. Rozproszyłam się jednak tylko na moment. Gdy tylko zniknął mi z oczu, usiadłam ciężko na progu.

– Co my robimy w tym przeklętym miejscu? Chcę wracać do Paryża. Chcę wracać do domu! – zawodziłam żałośnie, kładąc szczególnie nacisk na słowo „dom”.

Danielle przysiadła obok i popatrzyła na mnie oczami pełnymi złotych płamek. Jej długie kasztanowe włosy musnęły mój policzek. Nadąsała się identycznie jak ja, a potem otarła się o mnie niczym kotek, który pragnie zaznaczyć swoją obecność. Z wdzięcznością objęłam ją ramieniem.

– *Venez ici!* Podejdź tutaj! – krzyknął *monsieur* Allanic od furtki warzywnika, machając do nas obiema rękami.

Obok niego stała kobieta, którą już wcześniej widziałam. Ubrana była dokładnie tak samo jak wtedy, w czerni, a jej długą spódnicę zasłaniał oliwkowy fartuch. Mały, czarno-biały kundel u jej stóp skakał na tylnych nogach i ujadał.

Pełna ciekawości, a jednocześnie obawy, wzięłam Danielle za rękę i przeszłyśmy przez podwórze. Zbliżając się do *monsieur* Allanica i kobiety, usłyszałam chrapliwy, gardłowy język.

– To gallo – wyszeptałam. – Może ona nie mówi w żadnym innym języku.

– To Jeanne Montrelay – oznajmił *monsieur* Allanic po francusku, gdy podeszliśmy. – Wszyscy nazywają ją Mémé.

– *Demad. Bonjour* – powiedziała kobieta wysokim głosem, jakby próbowała przekrzyczeć wiatr, i zmrużyła oczy. – Widziałam już panią – oświadczyła, a potem powiedziała coś, czego w ogóle nie rozumiałam. Jej głos opadł o oktawę i dodała po francusku: – Ten tu stary Martin gada, że się wprowadzacie do wioski.

Poklepała Danielle po głowie i wyciągnęła do mnie szorstką dłoń. Była niższa niż zapamiętałam, lekko przygięta po wieloletniej pracy na roli, przez co skojarzyła mi się z krasnoludkiem, który mógłby zamieszkiwać sosnowy las nad wsią. Doszłam do wniosku, że ma pod siedemdziesiątkę, chociaż nie byłam tego pewna.

Wskazała na niewielki dom po drugiej stronie drogi, za żywopłotem.

– Tam mieszkamy. Marcel i ja.

Nie rozumiałam, co następnie powiedziała do *monsieur* Allanica. Szturchnęła go, a kąciki jej ust rozciągnęły się w uśmiechu, pogłębiając siatkę zmarszczek na policzkach.

W tym momencie serce zamarło mi w piersi. Po zboczu wdrapywało się leniwie dziesięć obojętnych krow, choć z mojego punktu widzenia mogły być ich setki. Nad łąkami zwierząt krążyła dziwnie niepokojąca chmura much. *Madame* Le Blevenec szła obok stada, machała kijem i nazywała każdą krowę po imieniu. Dziewczynka o słomianych włosach przyciętych tuż za uchem, niewiele starsza od Danielle, zamykała pochód, wykrzykując polecenia i kierując krowy na podwórze.

– Nie zrobią nam krzywdy? – Danielle chwyciła mnie za rękę.

Jeanne Montrelay szybko stanęła tuż obok nas.

– Widać, żeście nie oglądały krowy z bliska. *N'aie pas peur, petite* – zwróciła się do Danielle. – Nie bój się. Są duże, ale nie gryzą. Dobra robota, Monique! – krzyknęła do dziewczynki. – Popatrz tylko! W La Salle jest ktoś nowy do zabawy.

Odwróciwszy się do mnie, powiedziała coś, ale tak szybko i urywanymi słowami, że znów nie rozumiałam.

– Pani się nie przejmujcie krowami, *madame* Drumont – dodała nieco wolniej. – Prędeż wy je zjecie niż one was.

– Ale kopia, prawda?

– *Dame*, nie. Tylko jeśli to pomoże szybciej pozbyć się mleka.

Gdy krowy powróciły do obory i zostały bezpiecznie zamknięte na noc, Jeanne Montrelay powiedziała: *Kenavo*, co zapewne znaczyło „do widzenia” w gallo, odwróciła się i powoli przeszła na drugą stronę drogi, a czarno-biały kundel podreptał u jej boku.

\*

Pod koniec następnego tygodnia ponaglany przez Yves’a murarz krzywo i niestarannie położył płytki na podłodze, a w kącie sąsiedniego budynku hydraulik zainstalował działającą tylko od czasu do czasu toaletę. Z niewytłumaczalnego powodu umieścił ją na szczycie kilku stromych schodków, niebezpiecznie blisko niskiego sufitu, przez co korzystanie z niej wymagało zachowania nieustannej czujności. Tak czy owak, cieszyło mnie, że wieczorami nie muszę błądzić po ciemnym lesie. Potem wytłumaczyłam hydraulikowi, jakiego zlewu potrzebuję: z oksydowanego metalu, głębokiego na dwadzieścia centymetrów i umieszczonego na wysokości odpowiedniej dla osoby mojego wzrostu. Następnego dnia hydraulik pojawił się z popękany, niewątpliwie używanym zlewem z białej emalii, o głębokości ośmiu centymetrów. Przerzucił go przez ramię i minął mnie w drodze do domu.

– Tylko proszę nie płukać w nim warzyw, nie prać ubrań i nie zmywać – rzucił do mnie.

– To po co mi zlew? – wrzasnęłam za nim.

Kiedy po jakimś czasie wyłonił się z domu, powlókł się do pikapa i wyciągnął z niego wąskie, przezarte rdzą rury. Następnie zabrał się do wiercenia otworu w metrowej grubości ścianie naszej kuchni. Poprowadził przez otwór cienkie, gołe rurki, które biegły zygzakiem wzdłuż krawędzi domu i kończyły się na podwórzu.

– Nie zamarzną zimą? – spytałam, a on coś wybełkotał.

Po jego wyjściu siadłam przy kuchennym stole, piorunując wzrokiem zlew, i zabrałam się do mycia oraz krojenia warzyw nad wiadrem wody.

– *Merde!* – zakląłam i w końcu kopnęłam wiadro. – Chodź, Danielle. Wyjdźmy stąd!

Nasza sąsiadka z naprzeciwka była w ogrodzie. Nie przyznawałam się do tego, ale mieszkańcy wsi początkowo mnie onieśmialali, zwłaszcza ci starsi, których ledwo

rozumiałam. Yves twierdził, że ludzie z miasta, tacy jak my, zawsze będą tu odszczepieńcami. Ze strachem myślałam o tym, że cała wioska najprawdopodobniej pęka ze śmiechu na myśl o mimozowatej amerykańskiej paniusi, która omal nie zemdląca na widok krowy.

– Co mam do stracenia? – Wzruszyłam ramionami. – Może sprzeda mi jakieś jajka.

Przeszliśmy przez drogę.

– Jajka? – Jeanne Montrelay oparła łopatę o drzewo. – *Dame, oui*. Proszę za mną.

Poszliśmy za nią do obory. Kiwnęła głową w kierunku trzech krów, które żuły siano, obojętne na nasze przybycie.

– Ta brązowo-biała to Moomoot – oznajmiła, jakby przedstawiała przyjaciółkę. – Obok jest La Petite Belle, a ta wstydliva w kącie to Cocotte. – Widząc, że trzymam się na dystans, dodała: – Pani się nie boi, *madame* Drumont. Są delikatne jak łapka niemowlęcia.

Kury, które nie plątały się nam pod nogami, przysiadły na występie po drugiej stronie obory. Sąsiadka wyciągnęła jajka z gniazd i włożyła je do fartucha, który zwinęła i związała na kształt koszyka. Potem odwróciła się do mnie.

– Mam dzbanek świeżej kawy na piecu i sok owocowy dla malutkiej. Chodźcie.

Poprowadziła nas wąskim korytarzem do niewielkiej kuchni, w której czuć było swojski aromat drewna w palenisku i aromatycznego kapuśniaka, bulgoczącego w kociołku na piecu. Danielle i ja przycupnęliśmy na ławce ustawionej przy wiekowym stole z drewna, a sąsiadka wyjęła dla nas dwa kubki z kredensu, przetarła je fartuchem, jak *madame* Le Blevenec, i nalała kilka kropli syropu owocowego do szklanki z wodą dla Danielle.

– Widzę, że macie robotników w La Salle – powiedziała. – Jak idzie?

Przechyliła głowę, przyglądając mi się podczas nalewania mocnej kawy zaprawionej cykorią, do której zaczynałam się powoli przyzwyczajać. Oczy Jeanne miały głęboki, ciepły odcień szarości i lśniły jak u znacznie młodszej kobiety. Słońce i wiatr dodały lat jej twarzy, ale pod zmarszczkami rysy były ostre i wyraziste. Bez trudu wyobraziłam sobie, jak mogła wyglądać za młodu. I choć wciąż się wściekałam, że muszę mieszkać w tak odrażającym miejscu, coś w Jeanne mnie wzruszało i dzięki temu wizje składowisk rupieci, zrujnowanych budynków, krów oraz much wydawały się mniej straszne.

– Okropnie! – wyrzuciłam z siebie, zanim zdołałam ugryźć się w język. – Naprawdę nie wiem, co mam zrobić z hydraulikiem.

– *Ya!* To Joël.

– Zna go pani?

– *Dame, oui*. Znałam tego wypierdka, jak jeszcze lał w pieluchy.

Gdy się wysilałam, mogłam zrozumieć, co mówi, a przynajmniej pojąć sens jej słów.

– To najdurniejszy wieśniak w okolicy – ciągnęła. – Widziałam, jak kilka razy jechał do La Salle tą kupą złomu, co ją nazywa furgonetką. Sama byłam ciekawa, co, u licha, knuje. Teraz niby hydraulik z niego? Co schrzanił tym razem?

– Wszystko – odparłam. – W zeszłym tygodniu zamontował toaletę, która właściwie nigdy nie działa. Dziś zainstalował zlew, w którym nie mogę zmywać naczyń, prać ani płukać warzyw. Jest bezużyteczny!

– Nie dziwota. Pomyliłby własny zadek z czołem. – Pochyliła się ku mnie i położyła spracowaną rękę na mojej. – Po mojemu, *madame* Drumont, nie nadaje się nawet do malowania wychodka!

Roześmiałyśmy się i wypiliśmy kawę.

– Jeśli ma pani wystarczająco dużo jajek, chciałabym kupować je regularnie, *madame* Montrelay.

– Jak kury będą robić swoje, *madame* Drumont, pani bierze tyle jaj, ile trzeba.

– Proszę mi mówić po imieniu. Jestem Midge.

– Mitch. – Tak to wymówiła, postukując pięścią o blat. – A ty mów mi Jeanne.

\*

– Nie wytrzymam z nim – oznajmiłam Yves’owi tego wieczoru, gdy rozkładaliśmy materac na podłodze. – To zwykły chłop, tylko nazywa siebie hydraulikiem. Nie ma bladego pojęcia, co robi.

– Nie jest taki zły, jak ci się wydaje, *chérie*. Poza tym instaluje hydraulikę u większości okolicznych rolników.

– Pewnie, tyle że w domach nie ma bieżącej wody.

– Posłuchaj, jesteś dziewczyną z miasta, a teraz mieszkasz na wsi. W sercu Bretanii nie możesz oczekiwać luksusów Chicago. – Podciągnął kołdrę.

– Wcale nie oczekuję.

– Owszem, ale ich nie dostaniesz. Przyzwyczajaj się do innego stylu życia. Musisz nauczyć się dogadywać z tymi ludźmi.

– Chcę porządnego zlewu i porządnego hydraulika. Sąsiadka, która sprzedała nam jajka, zna go od małego, i twierdzi, że to idiota. Tak czy owak, nie dogadam się z nim. Załatwię nam hydraulika z Vannes.



– Wierz mi, Midge, tylko stracisz czas. Żaden hydraulik, ani z Vannes, ani z okolicy miasta, nie zpuści się na głęboką wieś. Zapomnij – oznajmił Yves i zgasił światło.

\*

Następnego dnia, przebudzona przez cichy, monotony szum wiatru wśród sosen nad La Salle, zerwałam się o świcie i wyruszyłam do Vannes. Znalazłam w książce telefonicznej firmę budowlaną Enterprise Frères Calaix, „Pełny zakres usług – murarze, hydraulicy, malarze”. Pojechałam pod wskazany adres i weszłam do wielkiego magazynu, który wyglądał jak autentyczny skład drewna. W biurze jeden z braci Calaix siedział za zawalonym stosami dokumentów biurkiem. Krępy i niski, promieniował energią i od razu wydał mi się niezwykle kompetentny. Gdy mu powiedziałam, gdzie mieszkamy, bez wahania wstał, zabrzączał kluczykami i oznajmił:

– *Allons*, pojedę za panią i od razu rzucę na to okiem.

Yves usłyszał warkot parkujących na podwórzu aut i wyszedł nam na spotkanie.

– *Fantastique!* – wykrzyknął *monsieur* Calaix. – Te budynki zbudowano tak, żeby przetrwały jeszcze ze dwa wieki albo dłużej!

– Są solidne – przyznał Yves i z dumą wypiął pierś.

– Przyślę robotników, którzy doceniają te stare gospodarstwa – obwieścił *monsieur* Calaix.

Wyjaśniliśmy, że dysponujemy ograniczonym budżetem i musimy szukać oszczędnych rozwiązań przy planowaniu remontu.

– Poszukamy sposobów na obniżenie kosztów – zapewnił nas. – Będziemy musieli zdecydować, czym pokryć klepisko i gdzie postawić ściany. Zapowiada się prawdziwe wyzwanie, takie lubię najbardziej!

Nim odjechał, przystanęliśmy jeszcze przy tymczasowym domu, a ja pokazałam gościowi zlew.

– *Mon Dieu!* – jęknął. – Jutro przyślę kogoś, kto usunie ten złom i zainstaluje porządną, działający zlew, wymieni te żałosne rurki i wstawi przepisowo izolowane rury. W życiu nie widziałem czegoś podobnego!

– Zapowiada się większa robota, niż się spodziewaliśmy – zauważył Yves, kiedy odprowadzaliśmy *monsieur* Calaix do samochodu. – Może na dłuższą metę zaoszczędzimy, jeśli poszukamy architekta.

Chociaż po raz pierwszy wspomniął o zatrudnieniu architekta, zgodziłam się, że samodzielna odnowa siedmiu budynków na własną rękę nas przerasta.

*Monsieur* Calaix zapisał na kartce papieru dwa nazwiska.

– Jeśli zdecydują się państwo na wynajęcie architekta, proszę się zastanowić nad nimi – powiedział. – Pracowaliśmy razem w przeszłości. Jeden i drugi to solidni fachowcy.

Odjechał, a Yves cmoknął mnie w czoło.

– Ruszyliśmy z miejsca, Mijoux.

Lokalni specjaliści zostali odprawieni i więcej o nich nie wspominaliśmy. Pogratulowałam sobie, że tego dnia na francuskiej prowincji zajaśniał promyk nadziei na zrównanie praw kobiet i mężczyzn.

## Wielki mur

– W porównaniu z tymi starymi kamiennymi schodami nowoczesne budynki wznosi się w okamgnieniu – powiedział *monsieur* Le Blevenec, z czułością poklepując ścianę z kamieni. – Prace remontowe w nowym domu i oborze idą zgodnie z planem. Jak tak dalej pójdzie, do końca września wprowadzimy się do La Sallette.

– Chodźmy do środka, tam jest chłodniej – zaproponował Yves. Obaj weszli do domu i usiedli naprzeciwko siebie przy stole. – Kiedy tylko przeprowadzi się pan na dół wzgórza, *monsieur* Le Blevenec, zabierzemy się do pracy przy głównych budynkach. Nie mogę się doczekać.

– Wszystkim nam śpieszno, prawda, *madame* Drumont?

Skinęłam głową i nalałam kawy do filiżanek.

Minęły już trzy miesiące. Ku mojemu zdumieniu życie w tymczasowym domu nie okazało się tak straszne, jak się tego obawiałam. Jakoś wytrzymałam brak wygod i sąsiedztwo krów, w czym pomogły mi idealna cisza na wsi, długie spacery z Yves'em przez sosnowy las, rozciągający się na przestrzeni wielu kilometrów za osadą, a także fantastyczne wschody i zachody słońca, które zainspirowały mnie do namalowania najbardziej udanych akwareli, jakie kiedykolwiek wyszły spod mojego pędzla. Co się tyczy krów, na szczęście trzymały się na dystans i ze względny spokojem wchodziły do swojej prywatnej kwatery i z niej wychodziły. Najwspanialsze jednak było to, że wiejskie powietrze odmieniło Danielle, która już w niczym nie przypominała dawnej bladej paryżanki. Jej buzia się zaokrągliła, na policzkach wykwitły rumieńce. Przewróciwszy się, natychmiast wstawała, otrzepywała się i biegła dalej bez jednego jęknięcia. W przeciwieństwie do swojej matki bez lęku przebywała w pobliżu zwierząt, pomagała karmić kurczaki i „nadzorowała” dojenie krów. Zgodnie z przewidywaniami Yves'a, Danielle i najmłodsza latorośl Bleveneców natychmiast się polubiły i chętnie spędzały czas na wspólnej zabawie.

Danielle wdrapała się na ławkę i usiadła obok ojca.

– Kiedy Monique się przeprowadza? – spytała z powagą *monsieur* Le Bleveneca.

– Jeszcze nie teraz – zapewnił ją. – Ale nawet gdy się przeniesie, to całkiem niedaleko, tylko kawałek drogi w dół wzgórza.

\*

Na miesiąc przed planowaną instalacją ostatniej z prefabrykowanych ścian La Sallette *monsieur* Le Blevenec rozpuścił wieści, że po niedzielnej mszy zamierza zburzyć gigantyczny magazyn, który górował nad podwórzem La Salle. Przez całe lato mieszkałam w cieniu tej rudery i miałam jej dosyć. Gmach powstał na szczątkach starego kamiennego muru. Kamienie oblepiono zaprawą, a całość zwieńczono potężnymi drewnianymi belkami, które pełniły funkcję podpór pod aluminiowe płyty. Dach znajdował się obecnie w opłakanym stanie, był pordzewiały i przegniły i nadawał się wyłącznie do rozbiórki. Przez dziesięciolecia nic nie ograniczało rozbudowy konstrukcji, więc kwitła, rozrastała się na wszystkie strony, pojawiały się przybudówki, aż w końcu zyskała wątpliwą reputację najbardziej charakterystycznego punktu we wsi.

*Monsieur* Le Blevenec oświadczył, że ten, kto pomoże przy rozmontowywaniu magazynu i znoszeniu narzędzi oraz sprzętu po zboczu do nowego domu Le Bleveneców, będzie mógł zabrać sobie tyle kamieni, drewna i zardzewiałego metalu, ile mu się spodoba. Nowina rozeszła się po sąsiednich osadach, a także po niewielkich gospodarstwach, niewidocznych zza gęstych żywopłotów i oddalonych od wiejskich dróg. Zdumiewało mnie, że mimo braku gazet, telefonów czy radia – wiele gospodarstw nie miało dostępu do prądu – informacje przepływały wręcz błyskawicznie. O świcie w niedzielny poranek na podwórzu pojawili się mężczyźni z taczkami i na traktorach, by podjąć się tego heroicznego zadania. Na pomoc ściągnęli wszyscy chłopci z La Salle, w tym Jeanne i Marcel. Przy polnej drodze, mniej więcej trzydzieści metrów za ich gospodarstwem, mieszkał najstarszy syn Jeanne Roger z żoną Thérèse i dwiema córkami, Claudine oraz Jacqueline. Oni także chcieli pomóc. Młodszy syn Jeanne, również Marcel, i jego żona, również Thérèse, mieszkali w gospodarstwie w pobliskiej wiosce, i też się zjawili.

Przez cały dzień na nasze podwórze wlewał się strumień wieśniaków. Niektórzy przyszli pieszo, inni przyjeżdżali na rowerze albo na traktorze. Zjawiały się całe rodziny. Część przynosiła ze sobą zapakowane posiłki na niedzielny piknik. Inni wpadali z ciekawości, chcąc tylko popatrzeć, a koniec końców przyłączali się do pracy. Wyglądało na to, że na podwórze ściągnęli mieszkańcy całego regionu. Do południa w naszej połowie osady tłoczył się tłum chłopów i poza niemowlętami w koszykach oraz staruszkami wspartymi na prowizorycznych laskach wszyscy

gorliwie rozbierali magazyn. Niczym tłumy liliputów wspinających się po śpiącym Guliwerze, mężczyźni wdrapywali się na dach, aby go odrywać, kruszyli ściany młotkami oraz śrubokrętami, a następnie wydłubywali i wyszarpywali niższe fragmenty budowli. Staralam się pomagać, a Yves kręcił się tam, gdzie potrzeba było dodatkowej pary rąk. Praca trwała przez cały ranek i popołudnie, a zapał sięgnął zenitu, gdy wielospadowy dach został odłączony od murów i wreszcie, przy akompaniamencie wiwatów młodych i starych, ściany zawałyły się z hukiem, jedna po drugiej. Archaiczna konstrukcja runęła i nic już nie przesłaniało widoku na pofałdowane wzgórza oraz pola rozciągające się aż do Oceanu Atlantyckiego po lewej i zatoki Morbihan po prawej. Kiedy stary skład legł w gruzach na ziemi, z której powstał, a jego szczątki leżały wokoło niczym zwłoki powalonego olbrzyma, wstęga morza zaśniła na horyzoncie, odbijając promienie chylącego się ku zachodowi słońca. Byłam urzeczona. I choć czekał nas jeszcze przyłaczający ogrom pracy, a dom nie przestał nagle wymagać gruntownego remontu, to nagle poczułam się tak, jakbym ujrzała La Salle po raz pierwszy, i zabrakło mi tchu. Wystarczył jeden zamaszty gest, by osada ukazała się moim oczom jako skupisko starych, lecz solidnych domostw z bezkresnym widokiem, wyniośle dominujących na zboczu i spoglądających na wieś z góry, tak jak trzy wieki temu, kiedy powstały.

W tym samym czasie na podwórzu pojawił się ni stąd, ni zowąd jeszcze jeden wieśniak, w tradycyjnym bretońskim stroju, złożonym z czarnych spodni i kolorowo haftowanej kurtki. Zaczął grać na *binou*, a wtedy powietrze wypełniło się odświętnym, celtyckim i, jak dla mnie, melancholijnym dźwiękiem dud. Niczym na ożywionym płótnie Bruegla, kobiety w długich spódnicach i koronkowych czepcach oraz mężczyźni w roboczej odzieży oparli narzędzia o stodołę i płoty, po czym ruszyli do tańca. W tym samym czasie *monsieur* i *madame* Le Blevenec częstowali zebranych cydrem z dużych baniaków.

Jeanne pracowała przez cały dzień, jak wszyscy. Teraz cisnęła młotek i przyłączyła się do pływającego tłumy wieśniaków. Kiwała głową z boku na bok, a jej stopy mknęły lekko i szybko podczas tradycyjnych tańców Morbihanu. Łatwo było wyobrazić ją sobie jako młodą dziewczynę, wdzięczną i kokieteryjną, tańczącą z zalotnikiem. Marcel, jej mąż, stał w tłumie, póki dwóch mężczyzn nie chwyciło go za ręce i nie wepchnęło w sam środek podrygującej grupy.

– Na co czekasz, stary? – wykrzyknął jeden z nich. – Wywijaj ze swoją żoną!

Tylko trochę wyższy niż Jeanne, Marcel był krępy i krzepki. Miał kanciastą, steraną twarz człowieka, który spędził całe życie na świeżym powietrzu. Z uśmiechem zmrużył oczy i zajął miejsce u boku Jeanne. Znał kroki, ale jego ruchy

były sztywne i nie dało się nie zauważyć, że w tej rodzinie to Jeanne potrafi tańczyć. Nie mogłam przestać się na nich gapić, dopóki Yves nie objął mnie w talii i nie zmusił do tańca, którego w ogóle nie znaliśmy, jednak ani trochę nam to nie przeszkadzało. Danielle skakała wśród innych dzieci, wirowała jak nakręcona niemal do oporu mechaniczna zabawka, a zabawa wciąż trwała, póki nie zaczął zapadać zmrok. Wtedy, wzbogacone o materiały i kawałki złomu, ostatnie rodziny ruszyły na powrót do swoich wsi i gospodarstw. Osada znowu opustoszała i ucichła. Gdy wraz z Yves'em spoglądałam na słońce nurkujące za sosnowe lasy, ocean i zatoka w oddali lśniły niczym latarnie morskie. Wyglądało na to, że tego dnia La Salle odrodziła się na nowo.

\*

Nie zdawałam sobie sprawy ze skali przeprowadzki całego gospodarstwa, w którym rodzina mieszkała i żyła od wielu pokoleń. Choć Le Blevenecowie nie opływali w dobra materialne, wielość zebranych przez nich narzędzi i sprzętu rolniczego była wręcz oszałamiająca. Same przenosiny zwierząt zniechęciłyby większość ludzi do zmiany adresu. Mimo że krowy zachowywały się bez zarzutu, nie czułam smutku, gdy je wyprowadzano. Szły stadkiem, obojętne na zamieszanie wokół siebie, w dół wzgórza do pięknych, nowych kwater. Był wczesny październik i Le Blevenecowie znajdowali się na ostatnim etapie przeprowadzki. Tak jak podczas zapełniania arki przez Noego, za krowami szły świny, kurczęta, parę indyków i kozy. Rodzina Le Bleveneców zamykała ten pochód w dół zbocza, objuczona stertami ubrań i koców, naczyniami i łózkami.

I nagle było po wszystkim. Gdy Yves, Danielle i ja zostaliśmy sami, rozejrzeliśmy się wokół siebie. La Salle należała do nas. Siedem olbrzymich kamiennych domów oraz trzy hektary ziemi nigdy dotąd nie wydały mi się tak wielkie. Czuliśmy radość, oszołomienie, lęk. Trzypółletnia Danielle była najmniej onieśmielona. Gibka i silna niczym miniaturowa balerina, kręciła piruety po naszych nowo nabytych budynkach, by zdecydować, który z nich najlepiej nadaje się do zabawy. Ja stałam jak sparaliżowana, Yves zaś odbiegł na chwilę i przyniósł dwa krzesła, a następnie ustawił je przed byłym domem Le Bleveneców. Potem zniknął w budynku na skraju lasu, gdzie *monsieur* Le Blevenec wytwarzał cydr, skąd wrócił z butelką zimnego blanc de blancs. Nalał wina do dwóch szklanek, wziął mnie w ramiona, pocałował i wznosił toast.

– *Salut*. Za nasz nowy dom. No, za siedem nowych domów. Udało się, Mijoux. Teraz musimy tylko to wszystko wyremontować.

– Drobiazg – mruknełam, stukając szklanką o jego szklankę.

## *Prawdziwa miłość*

Yves nie tracił czasu. Oświadczył, że las za głównym budynkiem Le Bleveneców to teraz jego pracownia, i od razu przystąpił do pracy nad obrazami przeznaczonymi na marcową wystawę w Paryżu. Na fundamentach dawno zburzonej małej szopy wznosił ściany i częściowy dach, aby osłonić płótna przed żywiołami i jednocześnie móc tworzyć na otwartej przestrzeni. Na murach namalował niebotyczne, goyowskie stwory, które miały „oczyścić przestrzeń z zabłąkanych złych duchów”. Ja urządziłam sobie pracownię w tłoczni cydru na skraju lasu. Jej skośny sufit wznosił się wysoko niczym sklepienie miniaturowej katedry, światło wlewało się przez okno z widokiem na drzewa i panowała tu specyficzna cisza, niczym pod powierzchnią wody. W tym moim prywatnym świecie mogłam się skoncentrować jak nigdy dotąd. Do ścian przykleiłam taśmą swoje akwarele, które przedstawiały groty i zatoczki u wybrzeża zatoki. Wyjęłam farby olejne, naciągnęłam płótno na blejtram i robiłam szkice do przyszłych obrazów. Czasem tkwiłam w tłoczni godzinami, jakby pogrążona w modlitwie, zasłuchana w ciszę. Delektowałam się możliwościami. To była moja pierwsza własna pracownia.

Pewnego zapierającego dech w piersiach wieczoru, gdy słońce chyliło się ku horyzontowi, siedzieliśmy obok siebie na trawie, a Danielle bawiła się nieopodal. Oboje malowaliśmy jaskrawocynobrowe i seledynowe niebo zawieszony nad roziskrzoną łąką sięgającą aż do morza. Przez całe życie marzyłam, że kiedyś będę dzieliła taką właśnie chwilę z ukochanym, i teraz to marzenie się ziściło. Po zakończeniu pracy, podczas porównywania obrazów, przekonaliśmy się, że każde z nas zupełnie inaczej widziało tę scenę. W mojej akwareli skupiłam się na uchwyceniu zachodu słońca za pomocą gamy delikatnych i lśniących barw, zachodzących na siebie niczym szklane płytki. Yves namalował gwasz, wykorzystując ostre kąty i gryzące się kolory, aby stworzyć piękny, mroczny i burzliwy rapsod sławiący ostatnie chwile światła. Tego wieczoru La Salle była naprawdę magiczna.

Wraz z Yves'em wypracowałam pewną rutynę, a Jeanne Montrelay stopniowo stawała się jej częścią. Pomagając jej zbierać jajka w oborze, siedząc u niej w kuchni przy kawie czy też gawędząc z nią przez płot warzywnika, uświadomiłam sobie, że



Jeanne jest nierozzerwalnie powiązana z naszym życiem w La Salle. Już nie umykała mi połowa jej wypowiedzi, chociaż od czasu do czasu Jeanne przechodziła na gwarę, a wtedy kapitulowałam. Na widok mojej pytającej miny mrugała i dziwiła się: „Myślałam, że już nauczyłaś się mówić w gallo”. Czasem odnosiłam wrażenie, że zdołałam pokonać niewidzialny mur i znalazłam za nim tę przemiłą kobietę, którą w końcu zaczęłam rozumieć i poznawać. Niekiedy zjawiała się późnym popołudniem przed naszymi drzwiami, z garnkiem zupy albo butelką cydru domowej roboty w rękach. Kiedy z kolei ja gotowałam coś wyjątkowego na kolację, odkładałam trochę dla niej na następny dzień. Yves twierdził, że marnuję czas. Upierał się, że na zawsze pozostaniemy outsiderami dla tutejszych chłopów, i dodawał, że nie da się z nimi zaprzyjaźnić. Rzeczywiście, Jeanne i ja nie miałyśmy ze sobą nic wspólnego. Mogłaby być moją babką. Nie umiała czytać ani pisać. Poza trzykilometrowymi spacerami na msze w kościółku w Sulniac nigdy nie zapuściła się poza osadę. Nieustannie mnie zdumiewało, że zadowala się życiem w jednym miejscu, zwłaszcza tak odizolowanym jak La Salle.

Szczerze mówiąc, dawniej nawet nie przypuszczałam, że istnieją miejsca równie odległe od cywilizacji jak nasza osada. Zawsze wydawało mi się, że tłumy ludzi i korki to element codzienności, tymczasem poza rzadkimi wizytami komiwojażerów i tamtym dniem, kiedy rozbieraliśmy magazyn, w La Salle prawie nigdy nie zjawiali się goście. Trudno mi było przywyknąć do tej izolacji, jednak Yves’owi wyjątkowo ona pasowała. Wybrał tak głębokie odludzie przede wszystkim po to, żeby uniknąć wizyt przyjaciół i kolekcjonerów, którzy w Paryżu często odrywali go od pracy. W La Salle miał to, czego tak pragnął.

Przynajmniej do pewnego popołudnia, kiedy to na naszym podwórzu zaparkował siwy, pulchny nauczyciel w średnim wieku wraz z drobniutką żoną. Przyjechali z miasteczka Questembert, gdyż słyszeli o dwójce malarzy spędzających wakacje w Morbihanie i postanowili nas poznać, a także obejrzeć nasze prace.

– Nieczęsto się zdarza, że mamy przywilej gościć w okolicy aż dwoje malarzy – powiedział *monsieur* Le Roux, gdy już się sobie przedstawiliśmy.

– Cóż, niezupełnie dwoje. – Yves z uśmiechem prowadził gości do swojej pracowni. – Moja żona traktuje malarstwo jak hobby. To Amerykanka.

Nie mogłam uwierzyć, że to powiedział. Zanim jednak zdążyłam zareagować, *madame* Le Roux objęła mnie i oznajmiła:

– Och, *madame*, jest pani Amerykanką! Nawet nie wie pani, jak wszyscy tutaj jesteśmy wdzięczni, że wasi chłopcy zjawili się u nas w czterdziestym piątym. Pamiętam to tak, jakby wydarzyło się wczoraj. Nawet kuląc się w kryjówce, jeszcze

przed inwazją, cieszyliśmy się z amerykańskich bomb, które spadały nieopodal naszej wioski.

– *C'est vrai* – dodał *monsieur* Le Roux. – Byliście naszymi wybawcami, *madame* Drumont. Nigdy nie zapomnimy odwagi, z jaką ci chłopcy lądowali na plażach i wspinali się po urwiskach, by nas oswobodzić. Tak wielu straciło życie. Tak wielu... – Umilkł i pokręcił głową.

Yves stawiał na sztalugach jedno płótno po drugim, a my się rozsiedliśmy, by podziwiać jego prace na nadchodzącą wystawę w Paryżu. Pokazał nam surowe krajobrazy pełne jałowych pól i karłowatych krzewów, które tak znakomicie malował, a także inne, przedstawiające chłopów kulących się pod szkieletami drzew na tle burzowego nieba. Choć uwielbiałam oglądać jego płótna, słowa „moja żona traktuje malarstwo jak hobby” dudniły mi w głowie i nie mogłam ich zapomnieć.

Podczas gdy Yves i *monsieur* Le Roux dyskutowali o malarstwie i polityce, *madame* Le Roux pochyliła się do mnie i szepnęła:

– Chętnie zobaczyłabym pani prace, *madame* Drumont.

Zaprowadziłam ją do tłoczni, gdzie pokazałam jej szkice zachodów słońca oraz widoków na zatokę.

– *Madame*, są cudowne! *Merveilleux!* – Pobieгла po męża. – Henri! Chodź obejrzyć obrazy *madame!*

*Monsieur* Le Roux dołączył do nas w tłoczni i zareagował równie entuzjastycznie jak jego małżonka. Po chwili zerknęłam w bok i zobaczyłam, że Yves stoi na progu z beznamiętną miną i obserwuje nas w milczeniu.

– Dlaczego im to powiedziałaś? – spytałam po odjeździe gości. – Przecież wiesz, że malowanie to dla mnie nie tylko hobby.

– Przecież to bez znaczenia, *chérie*. – Wzruszył ramionami. – Po prostu nie chcę, żeby ludzie się rozpraszali, kiedy pokazuję im swoje obrazy.

– Rozumiem, ale przecież oboje możemy pokazywać nasze prace. Malujemy zupełnie inaczej.

– Sama przyznasz, że to było absurdalne, kiedy tak się rozpływali nad tymi twoimi akwarelkami.

– Cieszyłam się, że im się spodobały. Posłuchaj, twoje prace są głębokie i ważne. Jestem bardzo dumna z tego, co tworzysz, ale chciałabym, żebyś i ty był dumny z moich osiągnięć.

– Jestem, *Mijoux*.

Wziął mnie w ramiona, pocałował w usta i zmienił temat. Dlaczego nie zaprotestowałam gwałtowniej? Dlaczego nie dałam mu jasno i raz na zawsze do

zrozumienia, że nie pozwolę lekceważyć swojej twórczości? Podświadomie czułam niepokój, powątpiewanie, które uporczywie się mnie trzymało, jednak oszołomiona prawdziwą miłością, zignorowałam te wątpliwości. W końcu oboje byliśmy artystami, ludźmi stworzonymi dla siebie, a małżeństwo z malarzem – ba, francuskim malarzem – wydawało się tak cudowne, że aż nierzeczywiste.

## *Goście, goście*

Nim pierwsze promienie słońca przesączyły się przez poranną mgłę, mieszkańcy La Salle już dawno byli na nogach – doili krowy albo szli na pola. Uwielbiałam malować w świetle poranka, więc szybko przywykłam do wczesnych pobudek. Każdego rana, gdy wychodziłam na podwórze, jeszcze zamroczona snem, widziałam, jak po drugiej stronie drogi Jeanne pochyła się w warzywniku, wzruszając glebę i wrywając chwasty. Patrzyła na mnie i machała, co sygnalizowało oficjalny początek dnia.

Każdy dzień w La Salle był identyczny jak poprzedni. Wszechobecną wiejską ciszę od czasu do czasu zakłócały jedynie świst wiatru lub żalosne ryki krowy, której cielaka wleczono na targ. Nigdy wcześniej nie słyszałam takiego dźwięku. Wycie przesywało okolicę, roznosząc się echem niczym zmarszczki na nieruchomej tafli wody, aż wreszcie po trochu cichło, jakby krowa traciła nadzieję, i znowu zapadała cisza. W La Salle godziny toczyły się powoli. Wieśniacy nigdy się nie śpieszyli. Chodzili i gestykulowali jakby w rytmie bębnienia niewidzialnego dobosza, który grał na swoim instrumencie w zwolnionym tempie. Yves i ja również stopniowo odwykaliśmy od nerwowego pośpiechu, aby znaleźć ukojenie w leniwym tempie wiejskiego życia. Niekiedy wydawało się, że czas w La Salle całkiem się zatrzymał i wszystko zamierało, póki coś nieoczekiwanego na powrót nie wprawiło zegara w ruch.

Odgłosy ruchu ulicznego były tak rzadkie, że ludziom z okolicy wystarczał warkot motoru, by rozpoznać, kto jedzie wiejską drogą, na długo zanim auto pokazało się na wzgórzu. Jeśli chodzi o zaopatrzenie w artykuły spożywcze i przemysłowe, wszyscy polegali na obwoźnych sprzedawcach, którzy jeździli po okolicy, zatrzymując się w każdej osadzie i leżących na uboczu gospodarstwach. Jean Bonbon, czyli Jean Cukierek, jak go nazywano, we wtorkowe i piątkowe popołudnia objeżdżał nasz region furgonetką w bladobłękitnym kolorze. Na dzień dobry rozdawał słodkie owocowe łakocie, czym zaskarbił sobie sympatię dzieciaków i zapracował na przydomek. Tył furgonetki pełen był rozwalających się kremowych półek oraz kartonów, które pękały w szwach od ciastek, cukierków, serów, mydeł, oleju sałatkowego, taniego wina stołowego, cukru, mąki i innych podstawowych dóbr. Gdy

Jean zjawiał się w La Salle, wszyscy w wiosce z daleka słyszeli krztuszenie się i prychanie furgonetki i czekali na niego przed obejściem Jeanne i Marcela, na długo nim wjechał na podwórze. Potem tłoczyli się wokół samochodu, by zrobić zakupy, a także poznać informacje i plotki, które mógł usłyszeć w innych wioskach po drodze. Marie z Locqueltas w końcu uporała się z grypą. Wieść gminna niosła, że Henri Le Braz zamierza sprzedać gospodarstwo, bo żadne z jego dzieci nie chce zostać na wsi. Zanim przyjechała akuszerka, żona Benoit Giroux zdążyła urodzić piąte dziecko, *quelle misère* – co za nieszczęście – jeszcze jedną dziewczynkę. Pojawienie się Jeana Bonbona zawsze było dużym wydarzeniem, podobnie jak wszystko, co przełamywało codzienną monotonię wiejskiego życia.

Od czasu do czasu do wsi wpadał listonosz Meurice. Zanim się tu sprowadziliśmy, do La Salle czy okolicznych osad rzadko przychodziła poczta. Teraz pojawiała się częściej, ale nawet gdy Meurice nie miał dla nas żadnego listu, zajeżdżał się przywitać, o ile był w pobliżu. Niski i łagodny, wyhodował sobie niesforne wąsiska, które maskowały jego seplenienie. Szczególną trudność sprawiało mu wymawianie „r”. Gdy zniekształcił jakieś słowo, jego dwa grube paluchy zaczynały szarpać wąsy, co miało odwrócić uwagę słuchających od wady wymowy Meurice’a. Jeździł na rozklekotanym rowerze i zatrzymywał się w każdym gospodarstwie, gdzie częstowano go szklaneczką cydru lub dwiema. Przystając przed frontowym wejściem La Salle, krzyczał: „*Bonjou, madame Dumont!*”. Yves polecił mi, bym natychmiast rzuciła wszystko, co robię, jeśli Meurice zjawi się pod drzwiami, i zaproponowała mu szklaneczkę cydru.

– Przecież pije od rana do wieczora – zaprotestowałam.

– Musisz go poczęstować, bo inaczej się obrazi.

Meurice nigdy nie odmawiał. Z upływem dnia coraz bardziej seplenił i coraz mniej pewnie pedałowiał. Unikanie jadącego wężykiem listonosza stanowiło nie lada wyzwanie i w zasadzie często powinno kończyć się wypadkiem, nigdy jednak o żadnym nie słyszałam.

Znacznie większym zagrożeniem na drodze był Lucien, starzejący się rzeźnik z Elven, jeżdżący poobijaną i zarysowaną kamionetką, który już od ponad trzech dekad rozwoził po wioskach mięso i podroby. Jak na alkoholika z krwi i kości przystało, popijał już od świtu, a w południe był nieuważny i agresywny za kółkiem. Podczas naszego pierwszego lata w La Salle miał dwa lub trzy wypadki, w jednym z nich prawie skasował auto. Cudownym zrządzeniem losu zarówno on, jak i pozostali uczestnicy wypadku wyszli z niego bez obrażeń, choć chwiejnym krokiem. Mrużąc oczy w czerwonej, napuchniętej twarzy, ledwie widoczny znad kierownicy,

Lucien z maksymalną prędkością szarżował na wąskich zakrętach i mknął po pustych wiejskich drogach niczym nieustraszony kierowca rajdowy na torze Le Mans. Znacznie bardziej niż zderzenia z Meurice'em i jego rowerem bałam się kolizji czołowej z rzeźnikiem, który mógł w dowolnym momencie wyłonić się niespodziewanie zza zakrętu. Zawsze trzymałam się prawej strony jezdni, trąbiąc, ile wlezie, całkiem jakbym jeździła po ostrych łukach Nadbrzeżnej Drogi Amalfi, i modliłam się do współczującego Boga, aby strzegł wiejskich dróg w Morbihanie.

Do ochrony i patrolowania wiosek od Elven po Theix, a nawet aż do Questembert, wyznaczono dwóch korpulentnych żandarmów. Nazywałam ich Tweedledum i Tweedledee<sup>[1]</sup>, bo wszystko robili jednocześnie i wyglądali jak bliźnięta, tyle że ten wyższy miał brzuszek i łysinkę. Wpadali do nas raz czy dwa razy w miesiącu, żeby się pokazać i poplotkować. Nigdy nie wypili proponowanej szklaneczki cydru, ostentacyjnie spoglądając na zegarek i wyjaśniając, że są na służbie. Problem polegał na tym, że tu nie było żadnych przestępstw ani żadnych kryminalistów do ścigania. Nie działo się nic, co poddałoby próbie ich talenty śledcze. Jeden jedyny raz zamordowano w łóżku pewną staruszkę z sąsiedniej wsi. Tej szokującej i ponurej zbrodni dokonał niegodziwy siostrzeniec, który, jak mówiono, zszedł na złą drogę po przeprowadzce do miasta. Przyjechawszy do domu na wakacje, postanowił obrabować śpiącą ciotkę, ale w środku nocy zachciało się jej siusiu. Usiadła na łóżku i przyłapała go na gorącym uczynku. Zdjęty przerażeniem, chwycił nóż kuchenny i zadźgał staruszkę. Potem, zżerany wyrzutami sumienia, ściskał ją, całował i na próżno starał się ożywić. Szalał z rozpacz, więc cały we krwi ciotki powlókł się na posterunek policji i oddał w ręce dwóch żandarmów, którzy dla zabicia czasu grali w karty. Ograbieni z przyjemności śledztwa, mogli jedynie wsadzić mordercę do nigdy nieużywanej celi i czekać na komendanta policji z Rennes, aby go zabrał. Ludzie z okolic byli przerażeni na wieść o zbrodni i nieustannie przeżywali ją na nowo.

– *Sacrée misère!* – wzdychali z bólem. – Grzechy miasta w końcu dopadły nas, biedaków ze wsi.

\*

Było późne i rześkie jesienne popołudnie, kiedy *monsieur* Le Blevenec przespacerował się z La Salette na wzgórze i zapukał do naszych drzwi.

– Wszyscy zbierają się dzisiaj w domu Rogera – oznajmił. – Zwykle spotykamy się na *veillée* zimą, ale chłód już wisi w powietrzu i pomyśleliśmy, że w tym roku zaczniemy wcześniej. Jesteście teraz częścią wsi, więc serdecznie zapraszamy.

Po wyjściu Le Bleveneca Yves wyjaśnił mi, że *veillée* to stary zwyczaj, który ma korzenie w czasach sprzed wynalezienia elektryczności, gdy zimowe noce były lodowate i pępne. Chłopi zbierali się w jednym z domów, by pić cydr, opowiadać znane legendy oraz historie o duchach i ogólnie zacieśniać więzy. Po wczesnej kolacji minęliśmy pogrążony w ciemnościach dom Jeanne oraz Marcela i ruszyliśmy ścieżką do Rogera. Jego żona Thérèse powitała nas w drzwiach kuchni. Jeszcze nigdy nie widziałam jej uśmiechu. Jej czoło było permanentnie zmarszczone, a zaciśnięte usta ledwo się ruszały podczas mówienia. Z powodu zachowania Thérèse nabrałam podejrzeń, że Yves mógł mieć rację, twierdząc, iż miejscowi nigdy nas nie zaakceptują. Roger, który siedział u szczytu długiego drewnianego stołu, pomachał nam na powitanie. Ich dwie córki Claudine i Jacqueline biegały po kuchni i napełniały szklanki gości cydrem. Starsza Claudine miała osiem lat, była wysoka jak na swój wiek, piegowata i promieniała zdrowiem oraz energią. Na jej ramiona opadała kaskada aksamitnych czarnych włosów. O dwa lata młodsza, blada i apatyczna Jacqueline odziedziczyła po matce grube rysy. *Monsieur* i *madame* Le Blevenec zajęli miejsca na ławie po jednej stronie stołu. Obok nich zasiadał ich jedyny syn Jean oraz jego cztery młodsze siostry: Huguette, Jeannine, Yolande i Monique, od najstarszej do najmłodszej. Wszyscy gadali jedno przez drugie, a ja na próżno usiłowałam zrozumieć o czym. Jeanne podeszła do pieca i zerknęła tam, by sprawdzić patykiem, czy quatre quarts, proste ciasto, które piekła każda chłopka w Bretanii, jest już gotowe. Claudine podbiegła do niej.

– Mémé, powiedz nam historyjkę – poprosiła.

– Nie teraz, *ma fille* – odparła Jeanne. Jej policzki poczerwieniały od gorąca. – Twoja mama potrzebuje mojej pomocy.

– Sama dam sobie radę – burknęła oschle Thérèse. Odwróciwszy się do stołu, wrzuciła ramionami i dodała: – Mémé jak zawsze chce, żeby ją prosić.

– No, dalej, Mémé! – krzyknął jeden z gości.

– *Vas-y!* – wrzasnął ktoś inny.

– Tylko żadnych zmyślonych bajeczek, jak ostatnio! – zawołał *monsieur* Le Blevenec i pogroził jej palcem.

– Joseph ma rację, Mémé – dodał Roger. – Zrobiłaś z nas kompletną cielęcinę!

– Przesmażoną i twardą! – *Monsieur* Le Blevenec zachichotał.

– Bo wtedy można cię schrupać, Josephie Le Blevenec – odcięła się Jeanne i klepnęła się po udzie.

Wróciła na swoje miejsce przy stole, rozkoszując się zainteresowaniem wszystkich, upiła łyk kawy i wierzchem dłoni otarła usta.

– Wiele lat temu stary Fotreau i jego żona Annick mieszkali we wsi niedaleko naszej – zaczęła. – Lat im nie ubywało, ale choć bardzo się starali, dzieci mieć nie mogli.

– Może nikt im nie pokazał, jak się je robi! – krzyknął Roger.

Wstał i rozpiął pasek, jakby zamierzał ściągnąć spodnie, na co wszyscy zaczęli wiwatować. Jeanne uniosła ręce, żeby ich uspokoić.

– Najbliższy ich krewniak to był siostrzeniec, paskudny sukinkot o potarganych kłakach, co przypominały bardziej stóg siana niż włosy. I tak pewnego dnia stary Fotreau obudził się i zaraz umarł. Wiadomo, jak źle się dzieje samej kobiecie w gospodarstwie, więc Annick ryczała jak bóbr, aż tu nagle zjawił się chytrus siostrzeniec i powiedział słodkim głosem, że zostanie i pomoże w obejściu. Annick patrzeć na niego nie mogła, ale że aż się z boleści ślaniała, to i się zgodziła. A ten siostrzeniec, chciwa łajza, wcale nie zamierzał pomagać. Doił tylko krowy i wybierał jaja. Annick uprzętała po nim, gotowała mu i możecie się założyć o własne zadki, że wzięła na siebie całą robotę w warzywniku, w stajni, oborze i w polu. Myślała, że przedtem była nieszczęśliwa, *dame*, ale dopiero teraz zobaczyła, co to prawdziwe nieszczęście. No i kiedy stary Fotreau zobaczył, że wpakowała się w okropne kłopoty, wziął i zaczął kombinować, jak tu pomóc swojej biednej Annick.

– Myślałam, że Fotreau umarł – wtrąciła Thérèse szorstko.

– Był martwy jak kamień – oświadczyła Jeanne z emfazą i potarła dwa palce o kciuk, całkiem jakby ścisnęła krowie wymię. – Tej nocy stary Fotreau rzucił urok na krowy, no i następnego ranka dały kwaśne i popsute mleko. „Jak nie będzie mógł sprzedać mleka, uzna, że gospodarstwo jest do chrzanu, i się wyniesie”, pomyślał i zachichotał do siebie. „A jak już weźmie nogi za pas, *dame*, mleko będzie słodziutkie jak zawsze”.

– Mémé znowu bredzi – zauważył Roger.

– Pst! – syknęła Claudine.

Jeanne pochyliła się ku nam.

– Zamiast się wynieść, sukinkot siostrzeniec powiedział Annick, że teraz ona ma doić krowy. Jak stary Fotreau to zobaczył, rzucił urok na kury i następnego dnia złożyły same zbuki. „Ożeż ty, stary śmierdzielu!”, wrzasnął siostrzeniec i dawaj wygrażać piąchą niebiosom. „Przejrzałem twoje sztuczki! A rób, co chcesz, ja się stąd nie ruszam. Zostaję na zawsze!” I z miejsca zagonił starowinkę do zbierania jajek. Teraz robiła wszystko, a siostrzeniec posadził zadek w starym fotelu Fotreau przed kominkiem i stawał się coraz grubszy i bardziej leniwy. – Jeanne odchyliła się i uniosła wzrok ku niebu. – *Mes enfants*, nigdy nie zapomnę tamtej nocy. Psy wyły,



a błyskawice i grzmoty były takie straszne, że pobudziły wszystkie żyjące stworzenia poza siostrzeńcem, co się nazarł i urznął w trupa. Kiedy się obudził, zawył: „Auuu! Ho je?”. Nie mógł mówić, bo w środku nocy wypadły mu z dziąseł wszyściutkie zęby i rozsypały się na pościeli. I jakby tego było mało, następnego dnia przy kolacji wyleciało mu lewe oko prościutko do talerza z kapuśniakiem.

– Łeee, ohyda! – pisnęła Jaqueline i zakryła oczy.

– To okropne – powiedziała Danielle.

– Nie ma się czego bać, *petite* – zapewniła ją Jeanne. – *Mes enfants*, widziałam to na własne oczy. Był bezzębny jak niemowlak i miał przepaskę na lewym oku. Jednego dnia odpadła mu ręka. Następnego noga. Nie będę wam gadać o tych wszystkich odpadających kawałkach, powiem tylko, że stara Annick co rusz musiała zamiatać je miotłą. Pod koniec lata zostały z niego tylko łachy, kapelusz, no i te jego sianowate włosy. I co zrobiła Annick? – Jeanne umilkła, rozejrzała się i klasnęła w dłonie. – Ano, *dame*, wypchała go i zatknęła na kiju w ogrodzie. Możecie go oglądać, jak wyje i wymachuje na wietrze, napędzając wronom pietra!

Część gości klaskała, część tylko jęknęła. Claudine doskoczyła do Jeanne, by ją wyściskać, a Jeanne puściła do mnie oczko. Uwielbiałam na nią patrzeć. Była nieprzewidywalna i miała innych w nosie. Jej oczy błyszczały, a twarz kojarzyła się ze słońcem, które promienieje ciepłem i rozświetla wszystko wokół siebie.

Thérèse i Claudine podawały ciasta oraz kawę, podczas gdy goście ze śmiechem opowiadali dowcipy oraz co bardziej szokujące fragmenty historyjek Jeanne z przeszłości. Po pewnym czasie rozmowa zeszała na pogodę i wszyscy spoważnieli.

– Jak długo można czekać, Roger? – *Monsieur* Le Blevenec westchnął. – Bóg mi świadkiem, że ziemia jest wyschła na wiór w tym sierpniowym słońcu.

Marcel pokręcił głową.

– Jeśli wkrótce nie zacznie padać, kapusta będzie bez szans.

– My, wieśniacy, pomarlibyśmy bez naszej kapusty – powiedziała Jeanne.

Mówiła o sobie „wieśniaczka”, podobnie jak wszyscy inni we wsi poza *monsieur* Le Blevenkiem, który nazywał siebie ekspertem agrokulturowym. Początkowo wydawało mi się to pretensjonalne, ale szybko uświadomiłam sobie, że jako marzyciel pragnął poprawić swoją pozycję społeczną. Yves tłumaczył mi, że słowo „wieśniak” ma nieco pogardliwy wydźwięk. Ja tego nie pojmowałam, może dlatego, że niuanse są ostatnią rzeczą, którą rozumie się w obcym języku.

– Nic dobrego się nie zapowiada – zauważył Roger.

– Zakosztujemy biedy w tym roku – dodał Marcel, a wszyscy pokiwali głowami.

Słyszałam już wcześniej to sformułowanie: „*On va connaître la misère!*”. Niczym smętny refren piosenki wciskało się do każdej rozmowy, było nieustanną i nieuchronną zmorą wiszącą ludziom nad głowami. Na wsi życie kręciło się wokół pogody, a ona rzadko okazywała łaskawość. Tak silne było magnetyczne przyciąganie księżycy nad Morbihanen, że ludzie zdawali się tkwić w jego uścisku jak morze, które nie z własnej woli cofa się podczas odpływu. Chłopi odczytywali pogodę z faz księżycy, z jego kształtu bądź poświaty. Ostre kontury zapowiadały słońce, mgiełka wokół księżycy zwiastowała deszcz. Ubolewali nad suszą, która pustoszyła pola, a z kolei burze zatapiały uprawy i rujnowały plony. Życie niepewnie balansowało między tymi dwiema skrajnościami. Od niepamiętnych czasów zależni od sił pozostających poza ich kontrolą, chłopi pogodzili się z losem. Skoro nie mogli ujarzmić pogody, jak mieliby kontrolować inne kaprysy losu?

Zrobiło się późno. Roger odepchnął krzesło od stołu, wstał i się przeciągnął.

– Dla moich krów poranek zaczyna się o świcie, *mes amis*, tak jak każdego innego dnia – oznajmił.

– Moje krowy też się nie wylegują do późna, synu. *Nozvad* – powiedziała Jeanne w gallo, pacnęła dłonią w blat i wstała.

Wszyscy pożegnali się dwukrotnym cmoknięciem w każdy policzek, co razem dawało cztery pocałunki. Yves, Danielle i ja uścisnęliśmy innym dłonie i w ciemnościach dobrnęliśmy do domu.

## *Duchy przeszłości*

W naszej ulubionej restauracji w Vannes podawano najokazalszą *plateau de fruits de mer*, jaką kiedykolwiek jadłam. To właśnie tam miałam przełomowe spotkanie z delikatnie podgotowanymi langustami w świeżym majonezie domowej roboty. Sala urządzona była w niezagraconym, rustykalnym stylu, który odpowiadał zarówno Yves'owi, jak i mnie. Popytaliśmy tu i tam, i okazało się, że za projekt wystroju jadalni odpowiadał architekt z Vannes, niejaki *maître* Guerain. Założywszy, że *monsieur* Calaix nie wspomniał nam o nim przez przeoczenie, następnego dnia Yves zadzwonił do architekta i zaprosił go do La Salle, by rzucił okiem na nasze gospodarstwo. Ujmująco grzeczny, przedwcześnie posiwiwały pan Guerain miał wyraziste rysy twarzy, piękne, wypielęgnowane dłonie i emanował pewnością siebie. Gdy gestykulował, kojarzył się z arcykapłanem udzielającym błogosławieństwa.

– Właśnie w takich projektach celuję – zapewnił nas.

Decyzja zapadła. Teraz mieliśmy architekta do nadzoru nad pracami remontowymi, a Enterprise Frères Calaix do wykonywania jego poleceń. Kiedy jednak przekazałam panu Calaix, że zatrudniliśmy *maître* Gueraina, po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza.

– Bardzo mi przykro, *madame*, ale przypuszczam, że *maître* Guerain będzie chciał zatrudnić własnych robotników – powiedział w końcu *monsieur* Calaix.

– To zwykła małomiasteczkowa zawiść – wyjaśnił mi Yves. – Nie mamy wyjścia, musimy spełnić życzenie architekta.

Wkrótce jednak zaczęły wypływać niepokojące informacje na temat przeszłości *maître* Gueraina. Przypadkowo usłyszeliśmy, że po wojnie siedział w więzieniu.

– Tylko tego nam brakowało – jęknęłam. – Przestępca będzie doglądał pracy!

– Zapewne chodziło o politykę – powiedział Yves. – Musisz wiedzieć, że niemiecka okupacja rozdarła ten kraj. Większość ludzi wykazała się odwagą i oparła Niemcom, inni jednak doszli do wniosku, że okupanci zwyciężą i nie warto trzymać z pokonanymi.

Zaczął rozwodzić się nad tym, że niewielki odsetek Francuzów dołączył do niesławnych francuskich batalionów, które walczyły u boku Niemców i zostały

wyeksponowane na front wschodni. Naziści traktowali je jak mięso armatnie i przetrzucili pod Stalingrad. Większość Francuzów zginęła w bitwie, a ci, którzy przetrwali, powrócili, czasem piechotą, do ojczyzny, gdzie potraktowano ich jak zdrajców. Musieli stawić czoło wściekłości rodaków i albo się ukryli, albo zmienili tożsamość. Po wojnie wielu kolaborantów znaleziono i ukarano. Kobietom, które sypiały z niemieckimi żołnierzami, golono głowy, były też publicznie upokarzane. Niektóre oskarżano fałszywie, wyłącznie przez zazdrość lub z zemsty. Wielu ludzi siedziało w więzieniach, często niesłusznie, rozpadały się rodziny i długoletnie przyjaźnie.

– Kiedy wojna się skończyła, każdy utrzymywał, że bohatercko walczył w ruchu oporu. – Yves zacisnął pięści. – Ale mnóstwo ludzi kłamało w kwestii tego, co zrobiło, a czego nie zrobiło podczas okupacji. Gdyby wierzyć we wszystko, co się słyszy, można by pomyśleć, że nikt nie sympatyzował z Niemcami i nie było żadnych kolaborantów. A z kolei wielu oskarżonych o zdradę wcale się jej nie dopuściło!

Nie przestawał mówić. W tamtym okresie dojrzywał, a ja nigdy nie widziałam, żeby był aż tak wzburzony. Słuchałam go z fascynacją. Dotąd nie przyszło mi do głowy, że wojna i okupacja odcisnęły tak wyraźne piętno na ocalałych.

W końcu doszliśmy do wniosku, że Guerain najprawdopodobniej padł ofiarą zawodowej zawiści, i postanowiliśmy zlekceważyć plotki na temat przeszłości niepokornego architekta. Tydzień później spotkaliśmy się w jego biurze. Rozrysował już końcowy projekt, który wydał nam się rozsądny i realistyczny, więc podpisaliśmy umowę.

W drodze powrotnej do La Salle Yves jechał kamionetką, ja zaś wraz z *maître* Guerainem podróżowałam jego szybkim, luksusowym czarnym mercedesem. Na spokojnych wiejskich drogach rozmowa prędko zeszła na politykę.

– Naturalnie, *madame*, jako Amerykanka pewnie nie zdaje sobie pani sprawy, jakie to niefortunne, że Bretania pozostała pod francuskim zwierzchnictwem.

Zdumiona doborem słów, przypominałam sobie opowieści Yves'a o tym, jak sporna była kwestia okupacji, zwłaszcza w Bretanii, gdzie latami funkcjonował niewielki, ale prężny ruch niepodległościowy. Za sprawą organizacji Breton Libre, jak ją nazywano, Niemcy nabrali przekonania, że zostaną powitani przez Bretończyków jako oswobodziciele. W większości wypadków się mylili.

– Pamiętam tamte bolesne lata, *chère madame* – głądził Guerain. – Ale Niemcy dali nam wielką nadzieję, gdy się pojawili, aby nas wyzwolić.

– Wyzwolić?

– *Mais oui*. Niestety, nie odnieśli sukcesu, ale bez obaw, pewnego dnia dokończymy dzieła.

Zaraz, zaraz, pomyślałam. Czy on mówi to, co myślę, że mówi?

Gadał dalej, z upodobaniem wspominając okupację. Ku mojemu narastającemu zaniepokojeniu opowiadał o inspirującym przykładzie, jaki niemieccy żołnierze dawali młodym Bretończykom. Po chwili refleksji na jego twarzy pojawiła się promienna błogość.

– Pewnego dnia świat doceni wyjątkowe moralne przywództwo, którego kierunek wytyczył Adolf Hitler – oznajmił.

Jęknęłam z przerażeniem. Guerain był nazistowskim kolaborantem!

Zjawiliśmy się na miejscu przed Yves'em – kamionetka nie miała szans z mercedesem. W chwili gdy Yves wjechał na podwórze, odciągnęłam go na bok, podczas gdy *maître* Guerain przechadzał się dumnie po naszym gospodarstwie.

– Co się dzieje, *chérie*? – spytał Yves. – Jesteś blada.

– Patrz, jak paraduje w tych buciorach po kolana! Całkiem jak komendant obozu koncentracyjnego! Jak mogliśmy być tak ślepi?

– Mijoux, co się stało?

Powtórzyłam mu naszą rozmowę.

– Nie... Nie mogę uwierzyć, że ten człowiek ma remontować nasz dom – wyjąkałam z trudem. – Nigdy nie byłam szczególnie religijna, ale jak Boga kocham, słyszę chór moich żydowskich przodków zawodzący na wzgórzu!

– Guerain nie jest wart twoich łez, *chérie*. Oczywiście, że nie chcemy, by pracował w La Salle. Ani nawet żeby jeszcze kiedykolwiek postawił tu nogę.

– Przecież podpisaliśmy tę cholerną umowę!

– Zapłacimy mu za projekt i powiemy, że skończyły się nam pieniądze. A poza tym może wcale nie potrzebujemy architekta. Pomyśl, ile zaoszczędzimy, jeśli się dogadamy z Frères Calaix!

I tak załatwiliśmy sprawę. *Maître* Guerain został odprawiony, Frères Calaix ponownie zatrudnieni, a lamenty żydowskich przodków zagłuszył świszczący pośród sosen wiatr. Bolesne rany, które odniosła Francja podczas wojny, otworzyły się na moich oczach. Mimo upływu czasu wciąż niezauważalnie ropiąły i nie mogły się zagoić.

\*

Aż do przybycia robotników z warsztatu braci Calaix pomyśl odrestaurowania naszej połowy osady leżał w sferze abstrakcji i nie wyszedł poza fazę projektów. Stanowił

wyzwanie, któremu mieliśmy zamiar stawić czoło pewnego dnia w bliżej nieokreślonej przyszłości. Teraz jednak remont La Salle stał się przytłaczającą rzeczywistością, a ogrom czekającej nas pracy zawisł nad naszymi głowami niczym cień niedawno rozebranego magazynu. Nigdy jeszcze nie widziałam, żeby Yves tak się niepokoił. Martwił się o wszystko: jak sobie poradzimy bez architekta, czy nasze fundusze wystarczą do pokrycia wzrastających kosztów, jak zdoła namalować wymaganą liczbę obrazów na wystawę w Paryżu.

Pewnego wieczoru, po długim i frustrującym dniu w pracowni, wpadł do kuchni, gdzie przygotowywałam kolację.

– Musimy porozmawiać – oznajmił.

– O co chodzi, *chéri*?

– Nie mogę dłużej angażować się w remont La Salle. Będziesz musiała samodzielnie doglądać prac.

– Ależ Yves, nie dam sobie rady sama!

– Posłuchaj, przygotowuję się do wystawy. Po niej wszystko się zmieni, ale teraz muszę się skupić na malowaniu.

– Jasne, że tak. Lecz dopóki dzielimy się pracą nad domem, to obciążenie nie jest zbyt duże.

– Nawet nie chcę o tym słyszeć. Od teraz to twój dom i ty go remontuj.

– Co takiego?

– Już postanowiłem.

– Ależ Yves...

– Moja decyzja jest ostateczna.

\*

Czasami, zanim Danielle się obudziła lub po odwiezieniu jej do szkoły, po zakupach, sprzątanii i gotowaniu, a także po spotkaniach z *monsieur* Calaix oraz między jedną a drugą inspekcją pracy murarzy i cieśli, udawało mi się wygospodarować kilka krótkich chwil na malowanie. Delikatne poranne światło i pełne niuansów, zapierające dech w piersiach zachody słońca, jak również tajemnicze lasy wokół La Salle coraz bardziej mnie intrygowały i znalazły odbicie w moich obrazach. Teraz w tłoczni wszędzie wisiały szkice, a płótna, ledwie rozpoczęte lub już ukończone, stały oparte o ściany. Pracownia była moją odskocznią, moim wymarzonym domem.

Tymczasem napięcie między mną a Yves'em narastało. Chyba przeszkadzał mu fakt, że znajdowałam czas na malowanie, i często gdy wracałam z krótkiej wizyty na kawę albo szklaneczkę cydru u Jeanne, niecierpliwie wyczekiwał mnie przy drodze

i od razu przechodził do niekończących się pytań i wyrzutów. A kiedy już myślałam, że bajkowe małżeństwo rozpada się na moich oczach, pewnego popołudnia wpadł do tłoczni z ogromnym wazonem pełnym polnych kwiatów w dłoniach. Nigdy w życiu nie widziałam równie ekstrawaganckiego bukietu. Yves chciał zobaczyć, nad czym pracuję. Chwalił akwarele, prosił, żebym zaprezentowała mu swoje techniki. Zachowywał się tak, jakby nic się nie stało, był uroczy i czuły. Może zdecydowało zainteresowanie moją pracą, może ofiarowany bukiet albo oszałamiająca woń polnych kwiatów. A może rozpaczliwie pragnęłam wierzyć, że nie dzieje się nic złego. Cokolwiek to było, moje lęki rozplynęły się bez śladu, wyparowały niczym poranna rosa w słońcu.

\*

Pobyty na wsi potrwał o miesiąc dłużej, niż zaplanowaliśmy. Potem zrobiło się zimno i prace w La Salle straciły impet. Yves rąbał drewno do kominka, a gęstniejące mgły i chłody późnego października zasygnalizowały powrót do miejskiego życia.

### *Kilka czerwonych kropek*

Nasze mieszkanie między Denfert-Rochereau i Place d'Italie wychodziło na tory metra, które wylaniało się ponad ziemię na długości kilku stacji i nikło z powrotem w podziemnym labiryncie Paryża. Co cztery minuty pociąg przejeżdżał z łoskotem pod naszymi oknami, przez co budynek drżał z niezmienną regularnością i nawet jeśli któryś ze składów wypadał z kursu, ja i tak się trzęsłam. Podczas lata niemal zapomniałam o tumultie Paryża. Teraz miasto wydało mi się bardziej hałaśliwe niż dotąd. Tej zimy tkwiło w oparach mżawki zwanej *la petite pluie*. Światło od czasu do czasu z trudem przedzierało się przez ciemne chmury i po niekończących się ponurych tygodniach czułam potrzebę wymalowania smętnych, szarych murów stacji metra. Znalazłyby się tam dzikie, ekstatyczne plamy kadmowych i chromowych żółcieni, niosących się od stacji do stacji niczym głoszona przez plemiennego szamana inwokacja do słońca. Byłby to zuchwały manifest artystyczny, który wstrząsnąłby spoczywającym na laurach paryskim światem sztuki i zmusił go, żeby mnie zauważył. Podobnie jak wiele moich wcześniejszych projektów, i ten nie opuścił wygniecionych kartek szkicownika. Zbyt wiele czasu pochłaniało mi żonglowanie kolidującymi ze sobą rolami żony, matki i artystki, poza tym w Paryżu nie miałam własnego kąta do malowania. Pracownia Yves'a zajmowała większość przestrzeni w naszym mieszkaniu. Obok były kuchnia, maleńka jadalnia oraz dwie małe sypialnie – nasza i Danielle. Pracowałam zwykle na świeżym powietrzu, choć zdarzało mi się szkicować lub kończyć obraz w kuchni. Tak bardzo brakowało mi tłoczni! Pocieszałam się jednak, że Paul Klee też malował w kuchni i tworzył arcydzieła, choć byłam ciekawa, czy *madame* Klee czuła podobną irytację jak Yves na widok rozbabranych farb na kuchennym stole.

Nie po raz pierwszy próbowałam odnaleźć równowagę między sztuką a życiem. W Chicago, choć miałam się rozmaitych zajęć, tuż po przebudzeniu o świcie biegłam malować, a po powrocie z pracy znowu zajmowałam się sztuką aż do północy. Yves nigdy nie robił niczego poza malowaniem. Nie znałam bardziej zdyscyplinowanego artysty. Nawet w latach, kiedy rzadko udawało mu się coś sprzedać, konsekwentnie odmawiał podjęcia jakiegokolwiek pracy zarobkowej. Miasto kontrolowało wysokość



czynszu w jego mieszkaniu, podobnie jak w wielu innych paryskich lokalach przeznaczonych dla malarzy i rzeźbiarzy z rodzinami. Dzięki temu właściwie nie musieliśmy się martwić o opłaty. Gdy się poznaliśmy, żył skromnie z malowania i tylko ono się dla niego liczyło. Świetnie to rozumiałam. Ja również nie mogłam przestać myśleć o obrazie, nad którym akurat pracowałam, i marzyć o tym, którego jeszcze nie zaczęłam. Zastanawiałam się nieraz, skąd bierze się ten nieustanny przymus tworzenia. Czy wcześnie kromanińscy artyści rezygnowali z posiłków, snu, wszystkiego, byle tylko dokończyć rysunki byków i bizonów hasających po jaskiniach Lascaux?

\*

Wystawę Yves'a zorganizował Barnet Conlan, krytyk sztuki, który od lat śledził karierę mojego męża, pisał artykuły o jego twórczości i nieustannie go wspierał. Ten łagodny i świątki irlandzki poeta w swojej cotygodniowej kolumnie na łamach „London Daily Mail” opisywał paryskich artystów i z biegiem lat poznał każdego z nich, od Picassa, przez Amadea Modiglianiego, po Fernanda Légera. Choć nie miał specjalnych wpływów w świecie sztuki najnowszej, okazywano mu szacunek i sympatię. Dobiegał osiemdziesiątki, był wysoki i niezwykle chudy, wierzył bowiem, że z wiekiem ludzie powinni jeść coraz mniej. Obdarzony niezwykłą zdolnością przewidywania, czym powinien zająć się malarz, na długo nim on sam zdecydował, jaki obrać kierunek, Conlan wspierał artystów, w których talent wierzył. Yves należał do tego nielicznego grona. Wystawa w Galerie Rive Droite miała potrwać przez dwa pierwsze tygodnie marca i Yves znajdował się pod coraz większą presją, gdyż musiał dokończyć wymaganą liczbę obrazów. Galeria wydrukowała zaproszenia, my mieliśmy już afisze przedstawiające namalowany przez Yves'a intensywnymi, wibrującymi barwami wspaniały wizerunek dostojnego bażanta na migotliwym tle pszenicy.

Dwóch przyjaciół zaoferowało pomoc podczas przygotowań do wystawy. Pierwszym z nich, naturalnie, był Le Guerrec, który znał Yves'a jeszcze z czasów studenckich w École des Beaux-Arts. W moim przekonaniu Le Guerrec uosabiał idealnego przedstawiciela bohemy artystycznej. Posługiwał się niezrozumiałą grypserą, a sądząc z reakcji ludzi, jego słownictwo pozostawiało wiele do życzenia, wygląd zresztą też. Jednego dnia wkładał workowate spodnie i koszulkę z prześwitującego materiału, dzień później zjawiał się w sportowym podkoszulku bez rękawów, obcisłych, wściekle różowych spodniach i z fryzurą, która zaprzeczała prawu ciężenia. Jeśli chodzi o maniery przy stole, najlepiej było nie jadać z nim

publicznie. Uwielbiał łamać zasady: od jego bekania puchły uszy, a jadł palcami, gardząc nożem i widelcem. Nigdy nie spotkałam nikogo takiego jak Le Guerrec. Był jednak lojalnym przyjacielem, wielkodusznym i zabawnym. Darzyłam go ogromną sympatią, ponieważ to dzięki wernisazowi jego prac poznałam Yves'a.

Drugim przyjacielem był David, młody Szkot, który niedawno pojawił się w naszym życiu. Wysoki, chudy i piegowaty, miał marchewkowy kucyk i niechlujną kocią bródkę. To dzięki nim wyróżniał się z tłumu Francuzów. Rodzina w Aberdeen wydziedziczyła go w dniu, w którym wyjechał do Paryża malować. Nie miał pieniędzy, lecz wcale się tym nie przejmował i od razu uznał Yves'a za swojego mentora. Pewnego wieczoru przyniósł do naszej pracowni stertę rysunków i obrazów. Wyciągał jeden po drugim delikatne, nieco bajkowe pastele pełne szkockich miast, krajobrazów oraz wyimaginowanych wiejskich scenek i zerkał zza papieru lub płótna, niecierpliwie czekając na nasz werdykt. Oboje chwaliliśmy prace i przekonywaliśmy go, by poświęcił się sztuce. Wziąwszy pod uwagę gwałtowny sprzeciw rodziny Davida wobec jego malowania, zastanawialiśmy się, czy przypadkiem nie jest to jedna z nielicznych okazji, gdy otrzymał wsparcie i słyszał pochwały. Przypadkowo lub specjalnie, zawsze zjawiał się w naszym progu w porze jedzenia. Błyskawicznie pochłaniał wszystko, co podałam, więc zapewne były to jego jedyne posiłki, choć zapewniał mnie, że daleko mu do głodującego artysty. Spędzał z nami coraz więcej czasu. Danielle go uwielbiała i traktowaliśmy go jak członka rodziny.

Le Guerrec, David i ja całymi dniami rozlepialiśmy afisze w kawiarniach, bistrach i galeriach. Na widok naszej osobliwej trójki Francuzi unosili brwi, gdy zawieszaliśmy plakaty w sklepach i restauracjach na lewym oraz prawym brzegu Sekwany, a także w okolicy galerii, w której zaplanowano wystawę. Paryscy sklepikarze i restauratorzy rzadko odmawiali naszym prośbom, wyzwaniem okazało się jednak znalezienie skrawka pustej przestrzeni na oknach czy murach pełnych afiszy. David był specjalistą od pełzania po parapetach – z kocią zwinnością docierał do ostatnich wolnych miejsc na plakat. Napisałam biogram Yves'a do zaproszeń, Le Guerrec pomógł je porozsyłać, a David i ja biegaliśmy na posyłki i zanosiliśmy ukończone obrazy ramiarzom. To były gorączkowe, radosne dni. Nie mogliśmy się doczekać wystawy Yves'a.

Wieczorem w dniu wernisazu Galerie Rive Droite była pełna ludzi. Oprócz niewielkiej grupy kolekcjonerów pojawili się bywalcy, krewni i znajomi. Barnet Conlan też przyszedł i z rodzicielską dumą przedstawiał wszystkim Yves'a, chwając głębie i siłę każdego z obrazów. David wymachiwał rękami, witał gości z typowym dla siebie entuzjazmem i patrzył z nabożną czcią na płótna Yves'a. Jaskrawe włosy

i bródka Szkota zdawały się płonąć niczym pochodnie na tle nocnego nieba. Zjawił się również Le Guerrec. Wyglądał jak niechlujny bitnik i denerwował wszystkich w zasięgu słuchu bezwstydną grypszą. Kilka potencjalnych klientek z książeczkami czekowymi w dłoniach, ubranych w minispódniczki i ciągnących za sobą futrzane płaszcze, otoczyło Yves'a, by rozpuścić się z zachwytem nad nim i jego nowymi dziełami. Przypominały rozgładane kury, które w porze porannego karmienia zbiegły się z całego gospodarstwa. Przy czterech obrazach widniały czerwone kropki, co oznaczało sprzedaż, przy kilku innych czarne – informujące o rezerwacji. Po zgaszeniu świateł marszand galerii zaprosił Barneta, Davida, Le Guerrec, Yves'a i mnie, a także kilku zwlekających z wyjściem przyjaciół, na, jak się okazało, hałaśliwe i euforyczne świętowanie w miejscowym bistro. Wystawa miała potrwać przez kolejne trzy tygodnie, aby udało się sprzedać jeszcze więcej obrazów. Wernisaż okazał się sukcesem, Yves wiedział jednak, że jego twórczość nie mieści się w głównym nurcie. Potrzebny byłby cud, aby jego prace przyciągnęły uwagę najbardziej wpływowych krytyków, obecnie zainteresowanych wyłącznie sztuką abstrakcyjną.

A jednak mimo przeszkód, które napotykał przez lata, Yves nigdy w sobie nie zwątpił. Może brak akceptacji w oficjalnym świecie sztuki sprawił, że stał się jeszcze bardziej nieustępliwy i zdeterminowany. Przynajmniej takie odnosiłam wrażenie.

## *Elektryczność*

Rodzice Yves'a wydawali się wyjęci wprost z kart powieści *Pani Bovary*. Jego ojciec Cyril miał jedną z największych aptek w Paryżu. Chwalił się, że przez całe życie nigdy nie dał nikomu prezentu ani też nie kiwnął palcem, by pomóc swej żonie Maud – nawet gdy była chora lub ciężarna. Maud, wysoka i zdecydowana kobieta o mocnych, orlich rysach, od wczesnej młodości marzyła, żeby zostać zakonnica. Ku rozczarowaniu Maud jej ojciec, zamożny producent francuskich beretów i zagorzały antyklerykał, uparł się przy zamążpójściu córki. Ostatecznie zgodziła się wyjść za Cyrila, którego uważała za nieciekawego osobnika o jednej niewątpliwej zalecie – co niedzielę chodził na mszę. Cyril dał się skusić na potężny posag i przeznaczył go na kupno pierwszej apteki. Aby umocnić kruche podstawy związku, bezzwłocznie zapłodnił świeżo poślubioną żonę. Urodził się Yves, a po nim jeszcze dwóch synów, jeden po drugim. Gdy chłopcy dorastali, Maud powtarzała im, że jej pierwszą miłością jest Kościół i że po śmierci ich ojca natychmiast wstąpi do klasztoru. Zanim jednak Cyril, który miał końskie zdrowie, odszedł pół wieku później, jej pragnienie przywdziania habitu stało się odległą dziewczęcą fanaberią. Nie nadawała się do siedzenia w domu i wychowywania dzieci – od tego miała pokojówki oraz guwernantki – zajęła się więc prowadzeniem sklepu z antykami i świecidełkami przy Place des Vosges. Yves, jako pierworodny, skupiał na sobie największą uwagę, a pokojówkom nakazano nigdy nie kwestionować jego poleceń. Panicz Yves wcześniej nauczył się stawiać na swoim.

Byłam pierwszą cudzoziemką w tej rodzinie i dopasowanie się nie należało do łatwych. Najtrudniej było mi przywyknąć do rozróżnienia na formalne *vous*, „wy”, i przyjaźniejsze *tu*, „ty”. Jako Amerykanka przyzwyczaiałam się do używania tylko jednej formy – *you*. Rodzice Yves'a zwracali się per *tu* do wnuków, pokojówek, kotów, psów, kur i innych zwierząt domowych, ale w stosunku do synowych używali formy *vous*.

– Moje bratowe nie czują się urażone – zauważył Yves. – To Francuzki i rozumieją, że *vous* oznacza szacunek.

– Szacunek! – burknęłam.

To słowo zdawało mi się wyniosłą językową barierą, która krzyczała: „Trzymaj się na dystans w tej rodzinie!”.

Tak czy inaczej, okazywali mi sympatię na inne sposoby i po pewnym czasie przywykłam do tego *vous*, a zresztą i tak odnosiłam wrażenie, że właśnie tu jest moje miejsce. Nigdy dotąd się tak nie czułam i nie do końca potrafiłam to pojąć.

Francja wydawała się idealnym krajem dla malarza. Otaczały mnie duchy artystów, którzy odeszli. Ich obecność była wręcz namacalna, całkiem jakby wystarczyło wyciągnąć rękę, aby dotknąć van Gogha, Pissarra lub Berthe Morisot, spacerujących tuż obok i zatopionych w rozmowie na temat obrazu, z którym właśnie zmagало się jedno z nich. Artysta – nawet tak powątpiewający w swoje siły jak ja, był tutaj kimś. Gdy szkicowałam Place de Furstenberg albo Ogród Luksemburski, przechodnie z sympatią kiwali mi głowami, ale nie zakłócali spokoju. Mówienie po francusku szło mi już całkiem sprawnie i podziwiałam siłę tradycji, cementującą francuskie rodziny i społeczeństwo. Od samego początku nie myślałam o sobie jak o cudzoziemce. Życie we Francji, czy to w Paryżu, czy na wsi, wydawało się moim przeznaczeniem, tak samo jak bycie artystką i żoną Yves’a.

A jednak we wczesnych latach to życie coraz bardziej popadało ze skrajności w skrajność. Raz było idylliczne, raz nieznośne. Yves czasami zachowywał się kompletnie irracjonalnie i wtedy powtarzałam sobie, że muszę odejść, choć nie miałam pojęcia, dokąd pójdę. W następnym momencie jednak znowu był oszałamiająco romantyczny, zupełnie jakby małżeństwo nie zdusiło ognia, który rozgorzał między nami. Kiedy nazywał mnie swoją czarodziejką, lwicą podróżującą z nim przez równinę, swoim natchnieniem i największą miłością, zapominałam o napięciu oraz wątpliwościach dnia poprzedniego i znowu wierzyłam, że to mój życiowy partner. Podejmując gości, wymienialiśmy ukradkowe spojrzenia i posługiwaliśmy się dyskretnymi sygnałami pod stołem, by nie zapomnieć, że znajomi wkrótce wyjdą i znowu zostaniemy we dwoje. W takich chwilach nie mogłam wyobrazić sobie rozstania choćby na jeden dzień. Każde z nas wiedziało, co myśli drugie, zanim jeszcze myśl została ubrana w słowa. Pasowaliśmy do siebie idealnie – wszyscy tak twierdzili.

Pokrzepiony sukcesem wystawy Yves malował lepiej niż kiedykolwiek. W najwspanialszych obrazach wykorzystywał skromną paletę pokrewnych barw. Mocną stroną Yves’a było zaangażowanie, gruba faktura farby i ograniczona do minimum kolorystyka. Z biegiem czasu moje oko się wyostrzyło. Często wołał mnie do pracowni i pokazywał powstający obraz, po czym pytał o opinię. Czy jest skończony? Czy coś zbytnio dominuje nad resztą? Czy postać jest niezbędna, czy

może rozmywa przekaz obrazu? Nie posiadałam się z radości, że ceni sobie moje sugestie i z nich korzysta, mimo to było mi przykro, że sam mnie bardziej nie wspiera. Bez zastanowienia zrezygnowałam z malowania, by pomagać mu przy wystawie, ale cieszyłoby mnie większe uznanie Yves'a dla moich prac. Na przykład mógłby powiedzieć: „Przykro mi, że przez ostatnie miesiące zabrakło ci czasu na malowanie, Mijoux. Pewnego dnia sama będziesz miała wystawę i już teraz możesz liczyć na moją pomoc”.

Nigdy czegoś takiego nie powiedział. Sugestia, żebym mniej wydawała na papier do akwareli, zupełnie mnie zaskoczyła, a kiedy ludzie podziwiali moje prace, tak jak tamten nauczyciel z Questembert i jego żona, wyraźnie czułam niechęć Yves'a, maskowaną obojętnym wyrazem twarzy. Nadal jednak pocieszałam się, że z czasem, kiedy Yves już zyska sławę – czego pragnął i na co zasługiwał – będziemy się wzajemnie wspierali i ramię w ramię tworzyli piękne dzieła sztuki.

– Jesteś kobietą stworzoną do życia z geniuszem – powiedział pewnego ranka przy śniadaniu.

Niewątpliwie był to szczerzy komplement, gdyż Yves uważał siebie za geniusza. Choć nie miałam powodu w to powątpiewać, przyszło mi do głowy, że geniusz twórcy powinna ocenić historia, a nie sam zainteresowany. Oboje jednak zgodziliśmy się, że Yves jest wielkim malarzem.

– Nie może już dłużej być tak, że malujemy oboje, i ty, i ja – ciągnął tym samym, rzeczowym tonem.

– Podaj mi croissanta, *s'il te plaît* – rzekłam, zmieniając temat.

– Słuchasz mnie? Powiedziałem, że nie możesz już malować.

Posmarowałam rogalik masłem.

– Słyszałaś?

– Skarbie, spoważnij.

– Nigdy nie byłem bardziej poważny.

– Yves, przecież to absurd. Kiedy mnie poznałeś, nie ukrywałam, że jestem malarką. Wiedziałeś o tym, żeniąc się ze mną!

Podeszłam do kuchenki, żeby podgrzać kawę.

– Teraz jest inaczej – oświadczył cichym, opanowanym głosem. – W tej rodzinie jest miejsce tylko dla jednego malarza.

– A niby dlaczego jest inaczej? – zapytałam, nalewając mu kawy. – Nie wchodzę ci w drogę, maluję poza domem, a na wsi każde z nas ma pracownię. Ty masz swoją w lesie, ja mam tłocznię. Przecież to jeden z powodów, dla których kupiliśmy La Salle.

Nie odpowiedział. Po chwili postanowiłam rozładować napięcie:

– Posłuchaj, od teraz będę sprzątała bałagan na stole w kuchni. Słowo. – Chciałam położyć rękę na jego dłoni, ale natychmiast ją odsunął.

– Nie mówię o tym, gdzie malujesz, tylko o tym, że w ogóle malujesz.

– Jasne, że maluję...

– Nie słuchasz! – Teraz w jego głosie dało się słyszeć wzburzenie. – Twoim zadaniem w tym małżeństwie jest pomagać mi przy pracy, a nie marnować nasz czas i pieniądze na malunki.

– Yves, nie mów tak.

– *Tu ne comprends pas!* Nie rozumiesz! Jesteś kobietą przeznaczoną do życia z geniuszem i masz się realizować przez moje dzieła!

– Przecież wiesz, że nie mogłabym przestać...

– Nic nie słyszysz! – wrzasnął. Popchnął stół i zerwał się z miejsca. – Jesteś żarówką, a ja elektrycznością! – Wymachiwał rękami, rysując w powietrzu zygzaki symbolizujące prąd. – Beze mnie nie istniejesz! *Moi, je suis un génie!* – Rąbnął pięścią w stół. – Maluję, a ty nie. W Paryżu czy w La Salle, gdziekolwiek. To postanowione!

Wpatrywałam się w niego z niedowierzaniem. Nie po raz pierwszy Yves rozkazywał niczym dyktator, by w następnej minucie na powrót przemienić się w czułego poetę, w którym się zakochałam. Jednak wyraz jego oczu i ton głosu podpowiadały mi, że teraz mówił stuprocentowo poważnie. Co mogłam zrobić? Chciałam powiedzieć, że uwielbiam fakt, iż jest malarzem, i dotąd sądziłam, że i on czuje to samo w stosunku do mnie. Pragnęłam przypomnieć mu, że zawsze malowałam, więc nie może żądać ode mnie takiego poświęcenia. Kazał mi przestać być sobą!

Milczałam. Czy jego słowa tak mną wstrząsnęły, że straciłam głos? Czy obawiałam się utraty ukochanego Yves'a, z którym ramię w ramię malowałam zachód słońca? Yves'a, z którym miałam dziecko, który zmienił moje życie i urzeczywistnił fantazje? Czy pocieszałam się, że nasza miłość ukoji jego niepokoje i z czasem wszystko znowu będzie dobrze? Czy wmawiałam sobie, że to minie, tak jak wcześniej, i że jutro Yves będzie sobą? Nie mogłam jednak przestać się zastanawiać, która z tych zmiennych osobowości jest prawdziwa.

Od tamtego czasu nadal malowałam niewielkie akwarelki, ale nie mówiłam o nich nikomu i ukrywałam je w małej teczce w kolorze khaki, która leżała w komodzie pod moimi swetrami. Trzymanie tego w sekrecie mnie przygnębiało, lecz jak mogłabym całkiem przestać malować? Kolor znaczył dla mnie wszystko. To za jego pomocą

odczytywałam świat i własne emocje. Niezależnie od tego, gdzie byłam, na wsi czy w Paryżu, każda skalista plaża, polanka w sosnowym lesie, rząd betonowych budynków czy ukryty dziedziniec otwierały się na świat, który po prostu musiałam naszkicować lub namalować, zagłębić się we własną wizję i wyrazić to, co było tylko moje. Odkąd pamiętam, zawsze pragnęłam zostać malarką. Ślub z Yves'em jedynie potwierdził, że to, w co wierzyłam i na co liczyłam, nie jest wyłącznie płonną nadzieją bez pokrycia. Teraz nagle wszystko to, co zdawało się słuszne i nieuchronne, stało się zabronione. Jak mogłam dokonać wyboru między malowaniem a ukochanym? Miłość – co za anemiczne słowo. Nie da się ująć w nim obezwładniającego pociągu i niezbadanych wcześniej emocji, które przywiązały mnie do Yves'a. Czekałam na niego przez całe życie, a teraz zakazał mi malować. Sama myśl o tym była nie do zniesienia. Czułam się rozdarta na dwoje, związana i zakneblowana. Malowanie było jak oddychanie. Dusiałam się.

\*

Raz w tygodniu Barnet Conlan wpadał do nas na kolację. Jego ściągniętą, kościstą, lecz nadal przystojną twarz okalały białe kosmyki, które wyglądały jak namalowane szybkimi pociągnięciami pędzla. W wieku siedemdziesięciu pięciu lat był uderzająco urodziwy, choć kruchy. Jadł ryż i uprzejmie próbował odrobiny wszystkiego, co przyrządziłam. Nigdy jednak nie odmawiał kieliszka wina i do późna rozmawiał z ożywieniem i zapałem, nawet po drugiej w nocy. Ochoczo dyskutował o filozofii, polityce, niepokojach społecznych, literaturze, a także o przeszłości, teraźniejszości i przyszłości sztuki – czyli właściwie na każdy temat. Pewnego wieczoru popatrzył na mnie pytająco nad deserem i kawą.

– Nigdy nie widziałem nic twojego, Midge – odezwał się. – Może pokażesz mi jakieś prace?

– Już od dawna nie maluje – wtrącił Yves i lekceważąco machnął ręką.

– No to pokaż mi coś starszego – upierał się Barnet z zagadkowym uśmiechem.

– Pewnie, *chérie*, pokaż Barnetowi swoje akwarelki. – Yves protekcjonalnie pokiwał głową, jakby pozwolił trzylatce pochwalić się dzisiejszymi bazgrołami z przedszkola.

Podeszłam do komody po ukrytą teczkę i zaczęłam pokazywać gościowi akwarele namalowane w La Salle, a także te, nad którymi pracowałam potajemnie w Paryżu. Przez cały czas Yves siedział nieruchomo, z obojętną miną i rękami skrzyżowanymi na piersi.



Barnet pochylił się i bez słowa patrzył na akwarele. W końcu na jego twarzy wykwitł ciepły uśmiech.

– Dlaczego nie pokazałaś mi ich wcześniej, Midge? Dzisiaj nikt w Paryżu nie maluje równie znakomitych akwareli. Jutro rano wybierzemy się na rundkę po galeriach, przedstawię cię marszandom. Twoje prace powinny być tu znane. Nie wstydz się ich – dodał, widząc obawę na mojej twarzy. – Zresztą i tak nie chcę słyszeć o odmowie.

Zerknęłam na Yves'a. Widziałam, że był wściekły, bo Barnet dotąd zabierał właśnie jego na obchód galerii.

– Doigrałaś się! – wybuchnął po wyjściu Barneta. – Co w ciebie wstąpiło?

Zebrałam akwarele i wsunęłam je do teczki. Wiedziałam, że Yves nie okaże gniewu w obecności gościa. Teraz jednak w jego oczach dostrzegłam furję.

– Barnet poprosił mnie, bym mu pokazała prace, a ty powiedziałaś, że mogę. Skąd miałam wiedzieć, że mu się spodobają? Jeśli to ci sprawia przykrość, nie pójdę.

– Jak to nie pójdiesz? Jeśli się nie pokażesz, pomyśli, że to ja ci zabroniłem. Masz się zjawić, ale od teraz nigdy nikomu nie powiesz, że malujesz. – Chwycił mnie za ramiona. – Rozumiesz? – Mocno zacisnął dłonie. – Więcej nie pokażesz nikomu swoich obrazów. Nikomu!

Bieganie po galeriach z Barnetem Conlanem przypominało szaleńcze przejażdżki karuzelą w kolejnych wesołych miasteczkach, bez chwili przerwy. Kiedy przedstawił mnie pewnemu marszandowi jako ważną współczesną artystkę amerykańską, postanowiłam na dobre poświęcić się malowaniu. Jednak już po kilku sekundach przypomniały mi się słowa Yves'a i zrozumiałam, że to marzenie ściętej głowy.

Idąc wzdłuż rue de Beaux-Arts i rue de Seine, wstępowaliśmy do jednej galerii za drugą. Barnet przedstawiał mnie moim panieńskim nazwiskiem.

– Nie posługuj się nazwiskiem Yves'a – powiedział później. – Masz własne życie jako artystka. Nie tkwisz w cudzym cieniu.

Wspominaliśmy wydarzenia z porannej rundki po galeriach nad café crème w La Coupole, gdy Barnet nagle zadeklarował, że poświęci moim akwarelom jeden ze swoich wierszy. Jego tytuł miał brzmieć *L'Aube*, czyli *Świt*.

– Bo to poranek twoich nowych początków jako artystki – wyjaśnił i na odchodnym uścisnął mi dłonie.

Walcząc ze łzami, patrzyłam, jak idzie, przygarbiony i kruchy, przez tętniące życiem i obojętne tłumy na bulwarze Montparnasse.

## *Quatre quarts*

Liczyłam dni do powrotu do La Salle. Paryż, który tak kochałam, stał się dla mnie za ciasny. Tęskniłam za przestrzenią na wsi, za promieniami słońca przedzierającymi się przez mgiełkę nad zatoką, za mgłą nad łąkami, zapachem mokrych sosen, za popołudniową i wieczorną ciszą. Czasem, kiedy nie mogłam wytrzymać bez malowania, przenosiłam się myślami do tłoczni i zatraciałam w wyobrażaniu sobie szaleńczo ekstrawaganckich płócien, pełnych oszałamiających kolorów i nieznanymi kształtów. Do rzeczywistości przywracały mnie dopiero przenikliwe wycie syreny albo odgłosy ulicznego ruchu. Spacerując po zatłoczonych ulicach Paryża, wyobrażałam sobie Jeanne Montrelay u boku. Ubrana w długą czarną spódnicę i koronkowy czepiec, przyciskałaby dłonie do uszu, żeby zagłuszyć ryk metra. Trącałaby mnie łokciem, aby z niedowierzaniem wskazać na wysokie budynki wzdłuż bulwaru, tak ściśnięte, że niemal całkiem zasłaniały niebo. Przez szczeliny między konstrukcjami przenikały tylko wąskie strugi światła. Jeanne spędziła całe życie w La Salle, gdzie rządziły cisza i bezkresne niebo, więc odebrałoby jej mowę na widok hałaśliwego, pełnego tłumów miejskiego krajobrazu.

Tęskniłam za wioską i zastanawiałam się, jak Roger i Thérèse dawali sobie radę podczas surowych zimowych miesięcy. Wyobrażałam sobie *monsieur* i *madame* Le Bleveneców oraz piątkę ich dzieci w nowiutkim domu u stóp wzgórza. Nie mogłam przestać rozmyślać o tym, czy pomiędzy domem a oborą, bez osłony w postaci sosnowego lasu powyżej, szaleje wiatr. Tęskniłam za głosami dzieci. Wyobrażałam sobie, jak Danielle wybiega z domu na podwórze, by się pobawić albo wraz z Monique nakarmić kury. Tęskniłam nawet za krowami, ale przede wszystkim brakowało mi Jeanne, jej uśmiechu i powitania z drugiej strony drogi. Kiedy byłam zbyt zabiegana albo skupiona na własnych problemach, wydawała się odległa, ale potem pojawiała się w moich myślach tak realistycznie, jakbyśmy właśnie ucinęły sobie długą pogawędkę u niej w kuchni, podczas gdy ona dorzucała do ognia i czekała, aż zaparzy się kawa. Napisałabym do Jeanne list lub pocztówkę, jednakże nie umiała czytać. Co się tyczy telefonowania, pamiętam dzień, w którym na zlecenie

Yves'a zainstalowano w La Salle przewody telefoniczne. Mój mąż powiedział wtedy wszystkim w wiosce, że w razie potrzeby mogą korzystać z naszego aparatu.

– Ja na pewno będę dzwonił – oznajmił na to Roger. – To o wiele lepsze niż ganiecie po okolicy i szukanie lekarza dla dziewczynek albo weterynarza dla chorej krowy.

Marcel podniósł słuchawkę, zagapił się na nią, obrócił ją kilka razy i ostrożnie odłożył na widelki.

– *Merci bien*, Yves – rzekł. – Ale dawaliśmy sobie radę bez tego ustrojstwa przez wiele lat. Nie wiem, po co byłoby nam ono teraz.

– Powiedz, Mémé... – Na twarzy Rogera pojawił się przewrotny uśmieszek. – Nie chciałabyś zadzwonić do starej przyjaciółki w Questembert i się przywitać?

Chwycił za telefon i przycisnął słuchawkę do jej ucha. Jeanne zbladła i odskoczyła, jakby ją ukąsił wąż.

– *Sacré diable!* – wrzasnęła. – Nie celuj tym we mnie, Rogerze Diquero. Nawet do tego nie podejść! Będę gadać twarzą w twarz, a nie krzyczeć jak jakaś wariatka przez zwój drutów, co w każdej chwili mogą mnie posłać do ognia piekielnego i jeszcze gorzej!

Nie, telefonowanie nie wchodziło w grę, ale miałam wobec Jeanne pewne plany. Postanowiłam, że po powrocie do La Salle zabiorę ją do Vannes. *Gwenet*, jak nazywała miasto, leżało zaledwie dwanaście kilometrów od La Salle, a jednak nigdy tam nie była. Wezmę ją na zakupy, pokażę jej centrum Vannes, pełne sklepów wyciosanych w starych wałach obronnych. Pójdziemy na spacer po wąskich i krętych uliczkach, wijących się pod potężnymi łukami z kamienia i opadających aż do nabrzeża. Wyobrażałam sobie, jak jej szare oczy błyszczą, twarz się rozpromienia, a kąciki ust unoszą w uśmiechu.

Tamtej wiosny Yves opóźnił nasz wyjazd z miasta, żeby wykorzystać kontakty nawiązane w trakcie wystawy. Przez dwa przedłużające się w nieskończoność miesiące podawałam herbatę wszystkim kolekcjonerom i krytykom sztuki w Paryżu, którzy raczyli przyjąć nasze zaproszenie. Niechętnie spakowałam farby olejne i bez entuzjazmu ukryłam akwarele oraz ukochane sobolowe pędzle w dolnej szufladzie, wśród swetrów, majtek i staników. Nie mogłam się doczekać powrotu do La Salle, gdzie miałam więcej kryjówek na nielegalne materiały i więcej okazji do ukradkowego malowania. W pierwszym tygodniu czerwca, po wykorzystaniu wszystkich możliwości promowania obrazów Yves'a, załadowaliśmy kamionetkę i wyruszyliśmy w podróż.

Wjeżdżając na podwórze, zerknęłam na drugą stronę drogi i zobaczyłam, jak Jeanne wybiega z domu i pędzi do nas ile sił w nogach.

– Wieki temu się was spodziewałam – powiedziała bez tchu, przytulając Danielle i witając mnie dwoma pocałunkami w każdy policzek. – *Dame, sùr*, ale się gryzłam! No, nieważne, jesteście i nic się nie stało. Macie przyjść na kolację, żebyś nie zawracała sobie głowy szykowaniem jedzenia zaraz po powrocie.

Kilka godzin później siedzieliśmy w kuchni, którą podczas zimy wiele razy przywoływałam w myślach. Aromatyczna para unosząca się z garnków na piecu mieszała się z poświatą z kominka, gdy Marcel odkorkowywał butelkę musującego cydru własnej roboty. Jeanne podała nam tradycyjną zupę na kości szynkowej, z kapustą, ziemniakami, marchwią, rzepą, cebulą, porem i świeżym tymiankiem z ogrodu. Postanowiła przywitać nas w wyjątkowy sposób, więc dodała do zupy mięso z jednej ze swoich kur. Z pewnością skrycie wrzuciła do potrawy jeszcze jakiś tajemniczy składnik, gdyż danie smakowało lepiej niż cokolwiek, co dotychczas jadałam. Gdy tak siedzieliśmy przy stole po kolacji, Roger wpadł na kawę i na quatre quarts Jeanne.

– Starość jeszcze cię nie dopadła, Mémé – powiedział, częstując się kawałkiem ciasta. – Nadal pieczesz najlepsze quatre quarts w okolicy.

– Dlatego się z nią ożeniłem – oznajmił Marcel i poprawił okulary.

– Szczęściarzu. Najlepsza decyzja w twoim życiu. – Jeanne szturchnęła go łokciem.

– Wspaniale! Pokażesz mi, jak się je robi? – spytałam.

– Pewno, Mitch. Następnym razem.

– Oprócz Marcela ja jestem największym szczęściarzem w okolicy – powiedział Yves.

Usiadł wygodniej, zaciągnął się gauloisem. Od wielu miesięcy nie wydawał się tak odprężony. Może miejskie napięcie zaszkodziło nam obojgu. Może wszystko miało się odmienić po powrocie na wieś.

– A skoro o szczęściu mowa – wtrącił Marcel. – Nigdy nie zgadniecie, jaka ważna osobistość wpadła dzisiaj rano się przywitać.

– Na pewno *le curé* z Sulniac – odparł Roger. – Do mnie też zająrzył, żeby się ukłonić.

– Ukłonić się? Któremukolwiek z was? – Jeanne pokręciła głową. – Od małego nie byliście w kościele. Pewno przyleciał was zrugać.

– *Dame*, nie, Mémé. Głowę zaprzętały mu gorsze grzechy. – Roger wychylił się ku nam. – Słuchajcie no, przyjechał i zaparkował na skraju pola. Wygramolił się

i powlókł do płotu, i cały czas gderał, że mu się te księżę szaty uwalają w błocie. Machnął na mnie. „Ile masz dzieci, synu?”, pyta się jak dobry ojczulek. „A dwie córeczki, proszę księdza”, ja mu na to bardzo grzecznie. „*Pas plus que ça?*”, pyta się zdziwiony i głową kręci. „Tylko dwie po dziesięciu latach świętego związku małżeńskiego?” Policzki mu się kołyszają, zupełnie jakby zliczały te lata. „Na razie tyle, proszę księdza. Zdrowo się chowają”. Twarz mu się zachmurzyła, można by pomyśleć, że kto umarł. Podszedł do płotu i przechylił się nad sztachetami. Potem rozejrzał się po pustym polu, jakby chciał sprawdzić, czy kto nie podsłuchuje, i mówi niby w wielkiej tajemnicy: „Kiedy człowiek ma żonę od dziesięciu lat i tylko dwójkę potomstwa, to muszę zapytać, *mon fils*, co ty właściwie robił przez ten cały czas ze swoim bożym darem?”. „To, co Bóg mi akurat wziął podszeptnął”, odpowiadam i przysuwam się bliżej. „A teraz muszę spytać: co ojciec robił ze swoim?”

– *Merde!* – wykrzyknęła Jeanne. – Pewnie pomyślał, że szatan porąbał ci we łbie na amen! – Odwróciła się do Yves’a i do mnie. – Moi chłopcy może i nie są bardzo religijni, ale bluźniercy z nich jak się patrzy! – Klepnęła się w kolano.

Marcel zsunął z nosa okulary w drucianych oprawkach i przetaił szkła chusteczką.

– Powinien mieć więcej rozumu w głowie i nie przyjeżdżać tu, żeby dawać nam rady.

– Dawniej ludzie bali się pyskować księdzu – zauważył Roger. – Teraz już nie. Wieś się zmienia.

– Co prawda, to prawda. – Marcel znów włożył okulary. – Młodzi co rusz jeżdżą do miasta pracować w fabrykach. Wkrótce na wsi zostaną tylko starcy do roboty na roli.

– A ja i tak wolę żyć jak chłop, a nie robotnik w fabryce – mruknął Roger. – Po co się wynosić do miasta? Niedługo wszyscy będziemy mieli traktory i telewizję, i całą resztę.

– Telewizja. – Jeanne z pogardą machnęła ręką. – Nikt mnie nie zmusi, żebym siadła i godzinami gapiała się w to czarne pudło.

– Nawet go nie widziałas, Mémé – zauważył Roger. – Joseph Blevenec kupił sobie takie do nowego domu. Mówi, że tam są śpiewy, tańce i filmy do oglądania.

– Sama sobie tańczę i śpiewam – oznajmiła Jeanne i strzeliła palcami.

– Pracowałem kiedyś w biznesie muzycznym, pisałem słowa do piosenek Édith Piaf – wtrącił Yves.

Wszyscy odwrócili się do niego.

– Pisałeś piosenki? – spytał Roger.

– Tylko dla Piaf. Georges Moustaki to mój stary przyjaciel. Tworzył muzykę dla Piaf i poprosił mnie o tekst do piosenek. Nadal dostaję z tego tantiemy.

Na widok pytających spojrzeń wyjaśnił wszystkim, co to są tantiemy, a potem, gdy uprzejmie słuchali, opowiadał, że Piaf przetrwała trudne dzieciństwo, uzależnienie od narkotyków i biedę, by zostać światowej sławy piosenkarką. Roger poczęstował się kolejnym kawałkiem ciasta, Jeanne podeszła do pieca, żeby zaparzyć jeszcze jeden dzbanek kawy, a Marcel skręcił sobie papierosa. Yves i ja popatrzyliśmy na siebie. Było oczywiste, że historia, która nieodmiennie fascynowała znajomych w Paryżu, tu nikogo nie interesuje. Nikt nie wiedział, o kim mowa. Ci ludzie nie słyszeli ani o Édith Piaf, ani o Georges’u Moustaki, bo i skąd? Nawet nie widzieli telewizora, nie bywali w kinie ani na koncertach, nie słuchali płyt. Ich troski i rozmowy dotyczyły nowego ciągnika Bleveneca, dziwactw księdza i quatre quarts Jeanne. Przejmowali się kształtem halo wokół księżycy, pogodą, niepewnym stanem upraw i zdrowiem nowo narodzonego cielaka, a nie gwiazdkami, które dziś były popularne, jutro zaś odchodziły w zapomnienie.

Dobrze było wrócić tam, gdzie grunt nie usuwał mi się spod nóg. Nieważne, co się wydarzyło w ostatnich miesiącach, La Salle była prawdziwa i dodawała nam otuchy. Miała uleczyć nasze rany.

\*

Danielle chodziła do przedszkola w Paryżu, a teraz musieliśmy znaleźć dla niej szkołę na wsi. Wszystkie dzieci z La Salle i prawie wszystkie z okolicznych wiosek uczęszczały do parafialnej szkoły w Sulniac, w której uczyły zakonnice. Większość z nich wychowała się w pobliskich gospodarstwach i wsiach i nie miała nawet podstawowego wykształcenia. Wiele było przesądnych i okraszało lekcje zasłyszanyymi w dzieciństwie opowiastkami ku przestrodze – o wilkach i demonach wyskakujących zza drzew w lesie, by ukarać dzieci, które ośmieliły się odpyskować rodzicom, okazać nieposłuszeństwo nauczycielom czy kwestionować Pismo Święte. Pracy domowej nie zadawano, gdyż wszyscy wiedzieli, że wcześniej rano i po szkole dzieci muszą pomagać w obejściu. Nikt nie oczekiwał od nich kontynuacji nauki i nie były do niej przygotowywane, więc mało kto z okolicy dalej się kształcił. Niedawno weszło w życie nowe prawo, zgodnie z którym chodzenie do szkoły było obowiązkowe. Mimo to wiele starszych osób uważało naukę za stratę czasu. Na wsiach po raz pierwszy pojawiły się świeckie szkoły, choć prawie nikt do nich nie uczęszczał. Zakonnice jasno dawały do zrozumienia, że jeśli ktoś posyła dzieci do „tych innych” szkół, jest albo poganinem, albo komunistą.

Doszły nas słuchy, że żona jedynego innego malarza w okolicy, Jacques'a Le Brusque'a, prowadzi świecką szkołę w salonie małego, zagraconego domu Le Brusque'ów na skraju miasteczka Sulniac. Miała na imię Noël. Do szkoły zazwyczaj uczęszczało ośmioro uczniów w wieku od czterech do czternastu lat, ale trzy razy w roku, kiedy do Sulniac przybywała wędrowna rodzina Cyganów z siódmką dzieci w zatłoczonej przyczepie, liczba uczniów wzrastała do piętnastu.

– Wszystkie dzieci uczą się w tym samym pokoju – wyjaśniła nam Noël, gdy się sobie przedstawiliśmy. – Młodszy uczniowie słuchają, jak starsi recytują lekcje. Informacja utrwała się w ich głowach, więc kiedy nadchodzi ich pora na przerobienie materiału, są już z nim zaznajomieni.

Ta surowa, praktyczna kobieta potrafiła jednak okazywać czułość i już na wstępie wyciągnęła ręce do Danielle, aby ją przytulić i ucałować. Bez wahania zapisaliśmy córkę do szkoły i poszliśmy do warsztatu poznać męża Noël. Malarz Jacques Le Brusque był smukłym, niewysokim mężczyzną o gęstych, czarnych wąsach i brodzie. Ucieszył go kontakt z innymi artystami, nas zresztą też, więc reszta popołudnia zeszła nam na oglądaniu obrazów oraz rozmowie o sztuce i życiu w Morbihanie.

Po załatwieniu kwestii szkoły wróciliśmy do wiejskiego życia. Na osobności, bez niczyjzego towarzystwa, w otoczeniu sosnowych lasów, Yves rzucił się w wir pracy. Nareszcie miał pracownię malarską, o jakiej zawsze marzył, zabrał się również do rzeźbienia. W wielkich granitowych kamieniach, które tworzyły wejście do tłoczni – gdzie teraz nie wolno mi było malować – wyrył postaci zainspirowane piosenką *Ol' Man River*, którą często śpiewałam na jego prośbę. Osoba na jednym kamieniu przedstawiała mnie, śpiewaczkę, na innych widnieli niewolnicy taszcący barkę albo podnoszący bele. Po obu stronach wejścia na podwórze Yves wbił w ziemię dwa wielkie i ciężkie drewniane słupy; na jednym wyrzeźbił swoją podobiznę, na drugim moją. Wyniosłe i dumne, strzegły bramy i pokazywały światu głębię naszej miłości.

Chowałam szkicowniki, a także farby olejne, w piwniczce tłoczni. Dzięki długim wycieczkom na targ w Vannes od czasu do czasu udawało mi się przemycić do domu nielegalne akwarele oraz nieduże obrazy olejne z pejzażami, malowane nad zatoką. Nikomu o nich nie mówiłam ani ich nie pokazywałam. Często powtarzałam sobie, że pora się zbuntować, stanąć do konfrontacji z Yves'em i oświadczyć mu, że malowałam potajemnie, ale nie mam zamiaru dłużej godzić się na jego skandaliczne żądania. Kiedy jednak wydawało się, że nadeszła odpowiednia chwila, dopadały mnie wątpliwości. Tak dobrze nam się układało. Jak mogłam zaryzykować zachwianie podstaw małżeństwa? Nawet jeśli Yves coś podejrzewał, to milczał, więc powróciła harmonia, która nam umykała w ostatnich miesiącach w Paryżu.

\*

Poranna kawa z Jeanne stała się dla mnie rytuałem. Po odwiezieniu Danielle do szkoły w Sulniac każdego dnia wjeżdżałam na podwórze i w tym samym momencie Jeanne dawała mi znaki z naprzeciwka, że kawa już się parzy. Jej dom był najmniejszy w całej wsi. Podobnie jak inne, zbudowano go z kamienia i miał pochyły dach z ciemnogramatowych kamiennych płytek. Ścieżka od frontu prowadziła do gospodarstwa Rogera i Thérèse, a obok płotu ogradzającego warzywnik stała wiekowa, uszczknięta zębem czasu drewniana wygódka. Przy furtce do ogródka rósł ogromny i pachnący krzew tymianku, niemal zagrządzając wejście. Warzywnik Jeanne nie miał sobie równych – jej cebule były rozmiarów grejpfrutów, a kapusta – dyni. Nigdy nie jadłam równie słodkich pomidorów, marchewek i porów. Błyszczące, miedzianożółte i aromatyczne szalotki zachowywały jędrność przez okrągły rok.

Pomalowane na modry kolor drzwi wejściowe były zawsze otwarte, gdyż w wiejskich domach Morbihanu nie znano zamków ani kluczy. Za każdym razem, kiedy wchodziłam do kuchni, ogarniały mnie spokój i zadowolenie, jak nigdy wcześniej. I choć za podłogę służyło klepisko, co początkowo mnie przerażało, dom był nieskazitelnie czysty. Na kuchennej ścianie nad długim drewnianym stołem wisały spłowiałe rodzinne fotografie z dawnych lat, w tym jedna przedstawiająca młodszego i szczuplejszego Marcela w wojskowym mundurze. Sąsiadowało z nią podniszczone sepiowe zdjęcie ślubne Jeanne i Luca, jej pierwszego męża. Stał dumnie i sztywno obok Jeanne w tradycyjnym bretońskim stroju, czarnej sukni z haftami na przedzie i rękawach. Panna młoda miała płaski czepiec z koronki, wyjątkowo kunsztowny i piękny, przeznaczony specjalnie na śluby. Po drugiej stronie pomieszczenia znajdował się piec opalany drewnem, obok kamienne palenisko, gdzie nad rozmigotanym żarem mieściła się żeliwna krata, a na niej duży czarny kocioł. Maleńki zlew z kranikiem, z którego leciała zimna woda, był jedyną instalacją hydrauliczną w całym domu. Stara drewniana drabina prowadziła na strych, gdzie na wąskich łózkach spali Jeanne i Marcel. Światło wpadało do kuchni przez pojedyncze okienko. Za firankami rozpościerał się widok na piękne krzewy hortensji Jeanne, których bladoniebieskie kwiatki kwitły jeszcze długo po tym, jak wszystkie inne we wsi już zwiędły.

Jeanne powitała mnie przy drzwiach z glinianą misą w ręce, wymachując długą, solidną łyżką z drewna.

– W samą porę! – Rozpromieniła się. – Właśnie robię quatre quarts.



Składniki leżały schludnie uporządkowane na stole: szklanka mąki, szklanka cukru, cztery jajka i rondel z czterema łyżkami roztopionego masła.

– Cztery równe części – powiedziała. – To stąd się wzięła nazwa ciasta.

Wsypała mąkę i cukier do miski i je wymieszała. Potem zrobiła wgłębienie w samym środku, a ja wbiłam tam jajka. Znowu wymieszała masę, aby powstało ciasto. Gdy było już gładkie, wlałam do niego roztopione masło. Nie przestając mieszać, Jeanne przechyliła głowę i przycisnęła do siebie misę tak mocno, że ta zdawała się tworzyć jedność z jej ciałem. Gdy ubijała ciasto drewnianą łyżką, miała osobliwy wyraz twarzy, który już zawsze nazywałam „katrkartową” miną Jeanne, pełną skupienia i satysfakcji. Moja przyjaciółka była w pełni skoncentrowana na wykonywanym zadaniu, które wychodziło jej lepiej niż innym. Podczas gdy mieszała, dodałam proszek do pieczenia i odmierzyłam łyżeczkę wanilii. Kiedy ciasto było już w sam raz, nie za gęste i nie za rzadkie, na dnie wysmarowanej masłem blachy rozłożyłyśmy w kształcie wachlarza plasterki jabłek. Nadal ubijając, wylała ciasto na jabłka, posypała całość cukrem i ostrożnie wstawiła blachę do piekarnika.

– A teraz pora na kawę. – Z westchnieniem i zadowolonym uśmiechem opadła na ławę. – Poczujemy, jak będzie gotowe.

Czekając, aż quatre quarts upiecze się w tej maleńkiej kuchni, i wdychając unoszące się w powietrzu słodkie zapachy, czułam się tak, jakbym spędziła w tym domu całe dzieciństwo. Rozmawiałyśmy o wielu sprawach, o wszystkim, co tylko przyszło nam do głowy, i coraz lepiej się poznawałyśmy. Słuchając jej opowieści, czułam się tak, jakbym cofnęła się w czasie o setki lat i siedziała naprzeciwko kogoś, kogo znałam i kochałam w odległej przeszłości. Na samą myśl o tym przeszywał mnie dreszcz zachwytu.

Dwuletnią Jeanne posyłano na pola, żeby pilnowała krów, które wydawały się jej gigantyczne. Początkowo bardzo się ich bała, ale była posłuszna. Od tamtego czasu nigdy nie przestała pracować – ani w dzieciństwie, ani po ślubie, ani po urodzeniu dwóch synów, ani po śmierci męża i po drugim ślubie, ani na starość. Była pierwsza z szóstki dzieci i z każdym kolejnym bratem lub siostrą pojawiało się coraz więcej obowiązków. Kiedy skończyła osiem lat, jej matka zmarła przy porodzie. Od tamtej chwili to Jeanne musiała wychowywać rodzeństwo. Jej ojciec pracował w polu i nikt poza nią nie zajmował się domem i maluchami. Jak wszyscy biedni wieśniacy, nie miała dzieciństwa. Nie chodziła do szkoły i nie nauczyła się czytać ani pisać.

Trzasnęła dłonią w stół i oznajmiła rzeczowym tonem:

– Nawet podpisać się nie umiem.

– Posłuchaj, Jeanne. Mogę pokazać ci, jak to się robi – zaproponowałam. – Wystarczy jedno popołudnie, a będziesz umiała napisać swoje nazwisko. Poważnie.

– Na to już za późno, Mitch.

– Dlaczego? Przecież kiedyś może ci się to przydać. A jeśli będziesz musiała podpisać jakąś umowę?

– Nie będę. Marcel jest od tego, ale i on nie musi się podpisywać. Na targu starczy, że jeden z wieśniaków da słowo i uściska rękę, żeby dobić interesu. To nawet lepsze niż jakaś mazanina na świstku papieru.

Ciasto się upiekło. Miało ciemnozłotą skórkę, a w środku było miękkie i wilgotne. Gdy ostygło, trafiło na półmisek, a każda z nas poczęstowała się wielkim kawałkiem do następnego kubka kawy. Nigdy w życiu nie jadłam czegoś równie smacznego.

– Jeanne, czy kiedykolwiek czułaś się samotna, gdy byłaś sama w gospodarstwie? – zapytałam.

Przez chwilę milczała. Jej twarz się zachmurzyła i pojawił się na niej smutek, ale szybko odgoniła go machnięciem ręki.

– Nawet jeśli, to nigdy tak tego nie nazywałam. Może jak Luc został jeńcem tych tam Niemców, albo jak umarł, a dzieci były małe. Ale Bóg mi świadkiem, za dużo roboty w obejściu, żeby się przejmować takimi rzeczami.

– Jak zesłałaś się z Marcelem?

Uśmiechnęła się, wyjmując z koszyka druty i sweter, który robiła dla Danielle.

– Łatwizna. Marudny był z niego stary kawaler i się nie bronił. Mieszkał w gospodarstwie dwa kilometry stąd, a jakiś czas po śmierci Luca zaczął przychodzić. – Z kokieteryjnym uśmiechem przechyliła głowę. – Mało kto się zdziwił, jak stanęliśmy przed ołtarzem.

Zerknęłam na jej ślubne zdjęcie na ścianie kuchni. Była silna, ładna i energiczna. Wdowy na wsi rzadko ponownie brały ślub, ale Jeanne bez trudu znalazła drugiego męża.

– Jak długo znałaś Marcela przed ślubem? – spytałam.

– Jak długo? Od zawsze. Obu moich mężczyzn znałam całe życie.

– A ja poznałam Yves'a zaledwie pół roku przed ślubem. Na początku prawie nie mówiłam po francusku. Kłopoty pojawiły się, gdy zaczęłam rozumieć, co on wygaduje.

Obie wybuchnęłyśmy śmiechem.

– Co cię tu sprowadziło, Mitch, taki szmat drogi z Chicago? – Wymawiała to „Szi-kago”, z akcentem na „szi”.

– To było tak dawno temu – westchnęłam. – Przyjechałam do Paryża malować.

– Jak się zastanović, to coś ostatnio nie widać, żebyś malowała. W zeszłym roku ciągle latałaś z farbami.

– Nadal czasem maluję, tylko... Jeanne, muszę poprosić cię o przysługę. To zabrzmi głupio, ale czy zgodzilibyście się, żebym zostawiła kilka małych płócien w kącie waszej obory? Nie zajmą dużo miejsca.

– *Dame, sūr.* Trzymaj tam sobie tyle obrazków, ile chcesz. Ale dlaczego, Mitch? Coś mi się zdaje, że masz siedem domów, więc miejsca ci nie brakuje.

– Wiem, że to idiotyczne. Problem w tym, że Yves nie lubi, kiedy maluję. Muszę chować obrazy.

– Wsadzimy je do pudła i postawimy na półce z kurami. Będą bezpieczne. – Odłożyła robótkę i zmarszczyła brwi. – Przecież malunki to twój zawód. Nie mówiłaś kiedyś, że malujesz od maleńkości?

– Nie pamiętam czasów, kiedy nie malowałam. Ale on bardzo się złości.

– Tak się nie godzi. Nie wolno przycinać skrzydeł ptakom. – Znowu zmarszczyła brwi, kręcąc głową. – Czyli przyjechałaś do Paryża malować. Znałaś tam kogo?

– Nikogo nie znałam, ani jednej osoby.

– No to ja już nie wiem, która z nas bardziej upadła na głowę. – Odstawiła koszyk z robótką i wzięła mnie za rękę. – Ty biegasz po świecie jak kura z odrąbanym łbem, a ja siedzę w jednym miejscu jak kwoka z zadkiem przyklejonym do gniazda. Ale grunt, że znalazłaś drogę do La Salle! – powiedziała Jeanne i mocniej uścisnęła moją rękę.

*Muza*

– Biedna Grande Moustache – westchnęłam. Właśnie opowiadałam Jeanne o kotce Yves’a. – W dniu naszego ślubu uciekła. Pewnie wyczuła, że nowa pani przejęła dom.

– Koty wszystko wiedzą – rzekła Jeanne, kiwając głową.

– Dopóki byłam dziewczyną Yves’a, jakoś mnie tolerowała – ciągnęłam. – Zawsze była trochę zbzikowana, ale kiedy moi bliscy przyjechali na ślub i zobaczyła, że wprowadzam się z walizkami, zaczęła szaleć jeszcze bardziej niż zwykle. Gwoździem do trumny było wesele. Jak zaszczuta tygrysica przez cały wieczór ukrywała się pod stołem w pracowni Yves’a. Jej oczy przypominały ogniste reflektory w nocy. Nie mogła znieść widoku tych wszystkich ludzi, którzy śmiali się, pili szampana i wznosili toasty za nasze szczęście. Biedactwo. Pewnie pękło jej serce. Tamtej nocy, gdy nikt nie zwracał na nią uwagi, czmychnęła z mieszkania, zbiegła z piątego piętra i zniknęła w nocy. Początkowo nie wątpiliśmy, że wróci. Już wcześniej zdarzało się jej zwiewać i po kilku dniach zawsze zjawiała się z powrotem, pokryta ranami bitewnymi i ani trochę nieskruszona. Tym razem jednak mijają tygodnie, a ona nie wracała. Porozwieszaliśmy szkice z jej portretem w sklepach i na drzewach w okolicy, lecz nic to nie dało. Poszukiwania trwały całymi miesiącami, ale się nie znalazła. Wolę nie myśleć, jaki los ją spotkał.

– Koty uciekają, ale zawsze wrócą, jak je głód chwyci.

– Może na wsi, jednak miasto jest pełne niebezpieczeństw zagrażających kotu. Mógł ją przejechać samochód albo autobus. Mogła się zgubić albo ktoś ją ukraść. Najgorzej się poczułam, kiedy konsjerżka Yves’a powiedziała mi, że pewna włoska rodzina mieszkająca w okolicy gustuje w kocim mięsie. O, Boże. Mam nadzieję, że Grande Moustache nie skończyła w ich sosie do makaronu.

– Naprawdę myślisz, że złapali ją i posiekali?

– Nie. Nie! Jasne, że nie. – Ta perspektywa wydała się nam tak koszmarna, że jednocześnie zaczęliśmy się śmiać, ścisnąć się i jęczeć. – Poza tym nigdy nie wierzyłam konsjerżce – dodałam, ocierając łzę. – To była okropna plotkara. A zresztą Grande Moustache nie pozwoliłaby się złapać tym ludziom, nawet gdyby próbowali.

To był najsprytniejszy kot na świecie. Założę się, że na ulicy przyczepiła się do kogoś miłego, kto wziął ją ze sobą i zapewnił jej dach nad głową. Pewnie jakiś malarz albo pisarz. To był artystyczny kot. Czasem naprawdę wydaje mi się, że była muzą.

– A co to?

– Ktoś, kto stanowi dla artysty inspirację albo podsuwa pomysł, kiedy nie wiadomo, co dalej robić.

– Tak czy siak, po mojemu kotu lepiej na wsi jak w mieście. – Jeanne chwyciła pręt oparty o ścianę i poruszyła drwa w piecu, aż ogień zaczął strzelać. Z polan wzbily się iskry i pofrunęły w górę komina. – Jak to jest, Mitch, mieszkać w takim dużym mieście jak Paryż? – zapytała, siadając naprzeciwko mnie przy stole.

– Pokochałam go w chwili, gdy się w nim znalazłam – odparłam.

Opowiedziałam jej o tym, że od razu po przybyciu wynajęłam pokój na piątym piętrze taniego hoteliku na lewym brzegu Sekwany.

– Piąte piętro? – Sceptycznie zmrużyła oczy. – To chyba jeszcze gorsze banialuki niż moje bajeczki.

– Poważnie – zapewniłam ją. – Hotel miał pięć pięter, mój pokój był na samej górze. Z wąskiego okienka roztaczał się widok na dachy miasta, a łazienka znajdowała się na końcu korytarza.

Przez całe życie Jeanne miała tylko wygodkę na zewnątrz, kanalizacja była jej nieznaną. Po wyjaśnieniu jej, kim jest goniec hotelowy, opowiadałam, jak poprosiłam recepcjonistę o pozwolenie na malowanie w pokoju i jak niemal w tej samej chwili w moich drzwiach stanął drobny siwowłosy staruszek, który pracował tam jako goniec. W rękach trzymał podarte koce i przyczepił je do ścian, żebym ich nie poplamiała przyskającą farbą. Powiedziałam Jeanne, że pewnego dnia zabiorę ją do Paryża, na co roześmiała się i wzruszyła ramionami.

– A co taka stara chłopka miałaby do roboty w wielkim mieście?

Opisałam jej wysokie budynki z windami i wysadzone drzewami bulwary o dwukierunkowych jezdniach. Mówiłam o piskliwych, donośnych klaksonach małych samochodów walczących o miejsce na wąskich uliczkach i o niekończącej się paradzie przytulonych do siebie par, które spacerują brzegami Sekwany.

– Jak ty i Yves się poznaliście? – spytała.

Poszła po butelkę cydru, po czym napełniła nam szklanki.

Opowiedziałam jej o wernisażu Le Guerreca i o tym, jak od razu zauważyłam Yves'a w galerii. Jak zaprosił mnie do pracowni, żebym obejrzała jego dzieła, i jak bardzo mi się podobały. Wszystko jej wyjawiałam – no, może nie do końca wszystko, pewne kwestie dyskretnie pominęłam. Na przykład nie wspomniałam, że

uprawialiśmy seks i mieszkaliśmy razem przed ślubem. Pochodziła z innego środowiska i z innego pokolenia, więc nie chciałam jej zaszokować. Mówiłam jednak, jak bardzo go pokochałam i choć ona nigdy o tym nie wspomniała, było dla mnie jasne, że Jeanne i Marcel też darzą się uczuciem. Świadczyły o tym ich filuterne spojrzenia i żartobliwe uwagi. Spytałam Jeanne, jakie jej zdaniem cechy powinien mieć dobry mąż, a ona bez wahania odparła:

– Nie może być podły i ma ciężko pracować.

Z rozbawieniem przypominałam sobie, że to samo powtarzała mi babcia.

– Oczywiście na początku słabo mówiłam po francusku – dodałam. – Yves i ja ledwie się rozumieliśmy. Ciebie też kiedyś nie mogłam zrozumieć.

– Tak samo było ze mną i chłopcami – zauważyła, gdy szliśmy do warzywnika po kapustę na kolację. – Mówiłam tylko w gallo, póki nie poszli do szkoły, a tam kazali im gadać po francusku.

– Roger i Marcel mówili w gallo we wczesnym dzieciństwie, prawda?

– Tak, ale w szkole dostawali za to burę. Musieli nosić na szyi drewniany chodak. I tak z nim chodzili, póki inny biedny dzieciak się nie zapomniał i nie palnął czegoś w gallo.

– Nauczyciele chcieli ich upokorzyć?

– *Dame, oui*. Wszyscy się nabijali z tego, który nosił chodak, więc chłopcy migiem nauczyli się mówić tylko po francusku. Wpierw to rozumiałam tak pół na pół i często nie mogłam się połapać, co, u licha, wygadują.

– Widzisz, jaka jesteś bystra? – Zamknęłam za nami furtkę. – Nigdy nie poszłaś do szkoły, a posługujesz się dwoma językami.

– Kto tam wie, w ilu bym gadała, gdybym poszła. – Mrugnęła do mnie.

– Naucz mnie jakichś słów w gallo – poprosiłam.

– No dobrze. *Demad*. To znaczy *bonjour*.

– *De-mad*.

– *Kenavo*.

– *Kenavo* – powtórzyłam.

– To znaczy *au revoir*. *Garçon* to w gallo *paotr*.

– *Pa-o...* Trudno to powiedzieć – westchnęłam. – Uwielbiam uczyć się wymowy.

– Niedługo będziemy trajkotały w gallo. – Zaśmiała się i wbiła łopatę pod kapustę.

Palcami otrzepała ziemię z korzeni, po czym owinęła kapustę fartuchem. Przy płocie zerwała gałązkę tymianku z olbrzymiego krzewu i wróciłyśmy do kuchni.

– Jak się urodziła Danielle, postanowiliście kupić chałupę na wsi? – zapytała.

– Szukaliśmy małego, łatwego do utrzymania siedliska. Nadal nie mogę uwierzyć, że kupiliśmy pół osady.

– Jak tutejsi usłyszeli, że miastowi kupują stare gospodarstwo Bleveneca, to myśleli, żeście upadli na głowę.

– Tylko poczekaj. Wyremontujemy te stare budynki i ludzie zmienią zdanie, kiedy zobaczą, jakie są wygodne.

Mówiąc te słowa, wiedziałam jednak, dlaczego miejscowi chłopi brali nas za szaleńców. Zniszczone budynki były bolesnymi relikami trudnej przeszłości, życia, od którego pragnęli uciec i o którym chcieli zapomnieć. Oborę i chlew warto było zostawić dla krów i świń, ale dlaczego ktokolwiek przy zdrowych zmysłach miałby wydawać pieniądze na te rudery, skoro można było je zrównać z ziemią i zrobić miejsce pod jeden z nowoczesnych półprefabrykowanych domów dostępnych w trzech wariantach. Takie budynki mnożyły się w całym regionie jak wypuszczone z klatki króliki. Dorso i Spółka, przedsiębiorstwo rozbiórkowe z Theix, pracowicie krążyło po okolicy z buldożerem, wyburzając stare gospodarstwa z gorliwością, której nie powstydziliby się Savonarola, całkiem jakby byli narzędziem piekielnej klątwy rzuconej na bretońską ziemię. Właściciel firmy, Dorso, ucieleśniał francuskiego chama. Jego nabrzmiały brzuch wylewał się nad paskiem, a kark pęczniał pod kołnierzykiem koszuli. Bijące od niego prostactwo jak ułamek pasowało do niszczycielskiej siły buldożera, którym zrównywał z ziemią budynki. Ten człowiek uosabiał wszystko, co zagrażało dziewiczej piękności Morbihanu. Zaledwie w kilka godzin, bez żalu i skruchy, z powodzeniem obalał ponadczasowe budowle i drzewa, które dotąd przetrwały całe wieki. Chłopi wydawali krocie na wyburzanie pięknych starych domów o krytych płytkami ukośnych dachach i na kruszenie grubych murów z granitu. Tymczasem za ułamek przeznaczanych na rozbiórkę sum mogliby zainstalować nowoczesne udogodnienia w starych budynkach i tym samym ocalić ukrytą w nich pamięć o przeszłości. Dodatkowo pozbawiliby pracy przedsiębiorstwo Dorso i Spółka.

Zdumiewało mnie, że Yves od samego początku dostrzegął potencjał La Salle. Ja zdałam sobie z niego sprawę dopiero w dniu rozbiórki starego magazynu, kiedy jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki moim oczom ukazał się widok aż do samego morza. Coraz większa swoboda w relacjach z sąsiadami i obserwowanie, jak Danielle rośnie i bez trudu dopasowuje się do wiejskiego życia, podsycaly moje przywiązanie do osady, jednak ostatecznie ugruntowała je narastająca sympatia do Jeanne. Yves zapewne się nie mylił. Może na zawsze miałam pozostać dla niej dziewczyną z miasta i outsiderką. Często mi przypominał, że mnie i Jeanne nic nie łączy, jednak to właśnie

jej towarzystwo lubiłam najbardziej. Nie umiałam wytłumaczyć tego nawet samej sobie, ale przy niej czułam się bezpieczna, tak jakby mogła mnie ochronić przed każdą krzywdą. Coraz bardziej wrastałam w La Salle, niczym przesadzone drzewo, którego korzenie stopniowo się wydłużają i zagłębiają w ziemię.

Remont domów postępował sprawnie, a ja lubiłam pracę z murarzami i cieślami z Frères Calaix. Niełatwo mi jednak było znieść widok Yves'a, który rankami energicznym krokiem zmierzał do pracowni; podawać mu kawę, gdy robił sobie przerwę; słuchać jego opowieści o problemach w pracy, o przeszkodach, przełomach, radościach i triumfach w trakcie malowania. Coraz trudniej było się wymykać na plenerowe wycieczki, więc rzuciłam się w wir absorbującej pracy przy odnowie La Salle, próbując w ten sposób wypełnić narastającą we mnie pustkę. Z dnia na dzień zaczynało brakować mi energii, jakby wielki pająk uwięził mnie w przepastnej sieci i stopniowo wysysał. Potrzebne było więcej materiałów, niż przewidzieliśmy, należało podjąć więcej decyzji i wydać więcej pieniędzy, niż nam się wcześniej wydawało. Wiezorami, kiedy Yves przygotowywał szkice obrazów, które zamierzał malować następnego dnia, ja godzinami kombinowałam, jak się uporać ze wzrastającymi kosztami. Niechętnie napisałam do ojca list z prośbą o pożyczkę na pokrycie rosnących w niekontrolowany sposób wydatków. Odpisał, że przyśle pieniądze w ramach spóźnionego prezentu urodzinowego dla Danielle i że pewnego dnia przyjedzie zobaczyć La Salle. W odpowiedzi napisałam do niego długi list i dołączyłam szczegółowe szkice każdego z domów oraz zeskalowany plan przestrzenny terenu. Podkreśliłam, że jesteśmy mu niezmiernie wdzięczni. Wyjaśniłam, że póki co mieszkamy w tymczasowym lokalu, gdyż główny budynek opanowali robotnicy, którzy bez przerwy demontują, skrobią, wznoszą, instalują, walą młotkami i malują. Dodałam, że bardzo chętnie go zaprosimy, gdy tylko prace się zakończą, a wtedy na własne oczy zobaczy, że to była dobra inwestycja. W końcu należała do nas połowa osady. Wiejski dom, o którym można było tylko pomarzyć, wkrótce miał się stać rzeczywistością.



### *Nadciągająca burza*

Gotowe do zebrania siano leżało rozrzucone na polach, gdy ni z tego, ni z owego nad La Salle nadciągnęły ciemne, stalowe chmury. W oddali zagrzmiało, a Jeanne i Marcel wypadli z domu naprzeciwko i ruszyli na pola. Yves wybiegł z pracowni.

– Co się stało? – zawołałam.

– Deszcz! – odkrzyknął. – Zniszczy siano!

Puścił się pędem za Jeanne i Marcelem. W dzieciństwie spędzał letnie miesiące w rodzinnym gospodarstwie w Owernii, gdzie pomagał rolnikom, więc doskonale wiedział, jak sobie radzić w krytycznej sytuacji. Gdyby schnące na polach siano zamokło, w następnym roku zabrakłoby paszy dla krów i świń. Czas decydował o wszystkim. Trzeba było zebrać siano i usypać mocno upakowane stogi – wtedy deszcz moczył i niszczył wyłącznie zewnętrzne warstwy. Choć nadal nie rozumiałam, co się dzieje, najwyraźniej nastąpił kryzys. Chwyciłam Danielle za rękę i pobiegłyśmy do domu Rogera i Thérèse, gdzie zostawiłam małą z Jacqueline. Nietypowo silny wiatr targał sosnami na wzgórzu. Na pola prowadziła wąska ścieżka za domem, okolona gęstymi, ciernistymi głógami. Przedzierałam się przez splątane gałęzie, którymi szarpał wiatr, a one mnie chłostały, blokując mi przejście. Gdy wreszcie udało mi się dotrzeć do polany, ujrzałam chłopów na drugim końcu pola, a wśród nich Yves'a. Silny promień słońca przeszył chmury, oświetliwszy ludzi jak na jednym z bukolicznych obrazów mojego męża, przedstawiających wieśniaków na zalanym słońcem polu. Po chwili napłynęły chmury i świat pogrzyżył się w ciemności, a chłopci przemienili się w udręczone postaci z obrazów Muncha.

Wszyscy zwijali się jak w ukropie. Zbieranie siana wydało mi się męczące, ale byłam pewna, że sobie poradzę. Złapałam oparte o drzewo widły, niezdarnie nabrałam na nie siana, które rzuciłam na jeden ze stogów. Usiłowałam naśladować innych, ale po drodze zostawiłam za sobą szlak porozrzucanych źdźbeł. Widły okazały się trudniejsze w obsłudze, niż przypuszczałam.

– Zobaczcie, ludzie! – krzyknął Yves ze śmiechem. – Moja Amerykanka chce być *paysanne*!

Jeanne oparła swoje widły o stóg i podeszła do mnie.

– Patrz no, Mitch, rozstaw nogi szeroko, o tak. Będziesz pewniej stała. Jedną rękę daj na górę kija, a drugą blisko zębów, żebyś mogła je obracać, jak już uniesiesz siano.

Zrobiłam wszystko, co kazała, a ponieważ poszło mi całkiem nieźle, zaryzykowałam ponownie, i jeszcze raz. Jeanne obserwowała mnie z rękami na biodrach.

– *C'est bien*, Mitch. O tak! – Odwróciła się do innych i krzyknęła: – Ma do tego dryg!

Pracowałam z nimi aż do późnego popołudnia, gdy deszcz zaczął wściekle bębnić o ziemię. Przemoczeni i wyczerpani, pobiegliśmy schronić się w drewnianej szopie na drugim krańcu pola i tam czekaliśmy na koniec ulewy. Rozpogodziło się po trzydziestu minutach. Wszyscy wyszli ocenić szkody – w tym celu dźgali sterty, aby sprawdzić, jak bardzo przemokły. Ponieważ większość siana udało się zebrać w stogi, straty okazały się minimalne. Siano należało teraz pozostawić w spokoju, żeby słońce osuszyło zewnętrzne warstwy, ale było jasne, że uratowaliśmy wystarczająco dużo, aby zwierzęta nie głodowały. Katastrofa została zażegnana.

– Naprawdę nam pomogłaś, Mitch – powiedziała później Jeanne i mnie uścisnęła.

Dłonie miałam pokryte bąblami, a plecy bolały mnie tak okropnie, że trudno mi było się wyprostować, jednak nie zwracałam na to uwagi. Jeanne stała mi się jeszcze bliższa, na dodatek od tamtej chwili wieśniacy traktowali mnie inaczej. Już nie byłam dla nich cudzoziemką.

\*

Kilka dni później poszłam do domu Jeanne po zwyczajową partię jajek. Nikogo nie było w kuchni.

– Jeanne! Tu Midge! – zawołałam.

Odpowiedziała mi jedynie cisza. Przeszłam przez korytarz i otworzyłam drzwi do niewielkiej obory, gdzie po jednej stronie stały trzy krowy, a po drugiej przycupnęło stadko kur. Już w drzwiach zobaczyłam, że gospodyni trzyma się drewnianego słupa. Jej twarz była blada i wykrzywiona z bólu. Jeanne oparła się o mnie, gdy pomagałam jej przejść z obory do kuchni.

– To wątroba, Mitch. Doktor tak powiedział. – Mówiła zadyszczonym, słabym głosem. – Roger wczoraj go sprowadził. Powiedziałam, że wpadłam na ścianę obory, jak dołam Moomoot.

– Wpadłaś na ścianę?

– No, Moomoot mi kapkę pomogła. – Zdołała puścić do mnie oczko. – Pchnęła mnie raz czy dwa.

– Czekaj, czekaj. Moomoot cię kopnęła i się przewróciłaś. Jak to może być wątroba?

– Doktor Gavin mówi, że wątroba i że trzeba tylko trochę odsapnąć.

Doktor Gavin! To wszystko tłumaczyło. Podobno często się dziwił, że tylu jego pacjentów pożegnało się z życiem. Naturalnie nie był jedynym lekarzem we Francji, który każdą chorobę, niezależnie od objawów, przypisywał niedomaganiom wątroby. Jeanne jednak wpadła na betonową ścianę i czuła zbyt silny ból, aby zbagatelizować to jako *mal au foie*. Usadziłam ją jak najwygodniej i pojechałam do Vannes po doktora Le Cama, naszego lekarza rodzinnego. Był w domu i od razu ruszył za mną do La Salle. Wątrobie Jeanne nic nie dolegało. Moomoot kopnęła stołek Jeanne, która upadła i połamała sobie kilka żeber. Doktor Le Cam przepisał jej lekarstwo przeciwbólowe i pokazał mi, jak robić okłady. Na następny tydzień Jeanne została moją pacjentką. Zwykle żywa i niezależna, zupełnie nie protestowała. Chyba nawet podobało się jej rozpieszczanie.

– Pamiętasz, jak po przyjeździe do La Salle bałam się krów? – mówiłam ze śmiechem, przykładając zimny kompres. – No proszę, wcale się nie myliłam! Od początku wiedziałam, że są niebezpieczne.

– To nie wina Moomoot, Mitch. Ona kopnęła, ale to ja upadłam.

Zajmując się Jeanne, coraz boleśniej uświadamiałam sobie, jak trudne miała życie i o ile cięższe zrobiło się na starość. Żeby nie musiała wspinać się w nocy po drabinie, przy pomocy Marcela zniosłam jej łóżko ze strychu do kuchni, gdzie miała sypiać do czasu zrośnięcia się żeber. Ponieważ do siedzenia nie było nic poza drewnianą ławą bez oparcia, następnego popołudnia pojechałam do Vannes i kupiłam Jeanne wiklinowy fotel z poduszkami. To był pierwszy w jej życiu naprawdę wygodny mebel. Patrząc, jak się na nim sadowi, poprawia na poduszkach i z westchnieniem satysfakcji bierze do ręki druty, poczułam ogromną przyjemność. Żeby zagotować wodę, Jeanne zmuszona była napełniać ciężki żeliwny kociołek, a następnie wlec go od zlewu do paleniska. Dodałam do listy zakupów bojler gazowy, który postanowiłam sprawić Jeanne, kiedy tylko uda mi się trochę zaoszczędzić. Podczas gdy odzyskiwała siły, coraz więcej czasu spędzałyśmy razem przy jej kuchennym stole, nad kawą albo szklaneczką cydru. Ból stopniowo ustępował, a Jeanne zaczęła nazywać mnie córką, której nigdy nie miała.

– Opowiedz mi o Lucu – poprosiłam pewnego dnia.

– O Lucu Diquero? *Eh, bien, ma fille*, co mam powiedzieć? Nie był złym człowiekiem, tyle że popijał.

Opowiedziała mi o tym, że po wybuchu drugiej wojny światowej powołano do wojska niemal wszystkich młodych mężczyzn we wsi. Luc był za stary na walkę, więc został w La Salle, dopóki nie pojмали go krążący po wioskach niemieccy żołnierze. Wzięli do niewoli wszystkich mężczyzn poza dziećmi, chorymi oraz starcami. Luc trafił do obozu pracy na południu Niemiec. We wsiach zabrakło mężczyzn, a kobietom, które musiały się zająć wychowaniem potomstwa, dogładaniem krów, kur, świń oraz kóz, a także uprawą roli bez męskiego wsparcia, żyło się co najmniej równie ciężko jak wielu żołnierzom i jeńcom.

– Pewnie, że z dwójką dzieci w obejściu łatwo nie było. – Wzruszyła ramionami. – Ale Luc... To dopiero biedaczysko. Prawie cztery lata go trzymali. Chociaż i tak mogło być gorzej. Chłop, właściciel gospodarstwa, w którym przebywał Luc, nie był zły, a Luc robił to, co przez całe życie: za dnia tyrał w polu, nocą spał na twardym łóżku. Od czasu do czasu głód go chwycił, ale w obejściu zawsze znalazł coś do zjedzenia. Chłop uprawiał owies i bywało, że Luc jadł tylko surowe zboże, jak koń. Mówił potem, że to go uratowało. No i miał piwo. Pił, ile dał radę, i właśnie piwo go zabiło, Mitch. Jak wojna się skończyła, wrócił do domu, ale zdrowie już nie to. Ludzie gadali, że się zapijał na śmierć. Rok później umarł.

– I znowu zostałaś sama.

– No tak. Póki nie uczepiłam się Marcela. – Mrugnęła łobuzersko.

– Jaki wtedy był Marcel?

– Marcel? Taki jak teraz. On się nie zmienia, zawsze był do rany przyłóż. To najpocziwszy człowiek na całej ziemi. Nawet kury nie zabije!

– Yves twierdzi, że każdy na wsi potrafi zabijać kury. Ja bym nie mogła, ale on się upiera, że skoro je zjadam, to muszę umieć je zabić.

– E tam, zwykle jedna osoba w obejściu zabija. U nas to moja robota. Przyjemności z tego nie mam, jak ponoć niektórzy, ale i nie sarkam. Marcel to co innego. Kurę zabić? A gdzie tam, patrzeć nawet nie może, jak je skubię. Jak mu psa auto potraściło, co tu wjeżdżało, i musiałam skrócić stworzeniu męki, Marcel całkiem się rozkleił i płakał jak dziecko. Całe tygodnie nie mógł mówić o tym psie, bo zaraz płakał. Nawet kociaków nie utopi, jak się od nich roi w gospodarstwie, sama muszę. To najlepszy człowiek pod słońcem, nawet jak popija. Zawsze taki sam.

Jeanne uwielbiała opowiadać o swojej matce. Kiedyś chwaliła się jej siłą.

– Wiesz, sama jedna podniosła drewnianą szafkę, co jej czterech osiłków nie ruszyło z miejsca. *Merde*, twardsza była od wszystkich chłopów, silna jak byk

i niczego się nie bała, nawet wskoczyć na konia, jak galopował całym pędem. Łapała go wtedy za wodze i za siodło, a potem dawała susa na grzbiet, a koń nawet nie zwalniał. Było na co popatrzeć!

– Zupełnie jak mistrz rodeo na Zachodzie – powiedziałam z aprobatą i wyjaśniłam jej, czym jest rodeo.

– Pobiłaby ich wszystkich na głowę! – Jeanne uśmiechnęła się szeroko.

Mówiła mi, jak jej matka przygotowywała potrawy dla męża, szóstki dzieci i pomocników rolnych w południe oraz wieczorem, często dla dziesięciu lub więcej osób jednocześnie. Nigdy nie zasiadła z nimi przy stole, tylko stała przy piecu i jadła w pośpiechu z talerza, jednocześnie doglądając posiłku złożonego z ziemniaków, kapuśniaka i olbrzymich bochnów chleba, które sama piekła. Zajmowała się też ogródkiem, peklowaniem mięsa na zimę, opieką nad dziećmi, a do tego pracowała w polu, tak jak mężczyźni.

– Nigdy nawet nie przyszło mi do głowy, że kobieta była zmuszona tak harować. – Westchnęłam.

– To nie wszystko. Tyrała na kartoflisku jeszcze na dzień przed każdym porodem i wracała na pole już w następane południe. Młodo odeszła, jak rodziła chłopca. Byłby siódmy, a tak oboje pomarli. I to pamiętam.

– Miałaś tylko osiem lat i musiałaś przejąć wszystkie obowiązki matki.

– Inaczej nie byłoby komu tego robić. Nie mieliśmy elektryki ani wody z kranu – dodała z uśmiechem, który pogłębił zmarszczki na jej twarzy. – Jedno i drugie jest u nas dopiero od paru lat. Teraz kobietom łatwiej się żyje.

Jej oczy lśniły, a w zniszczonej od słońca i wiatru twarzy dostrzegłam oblicze dumnej panny młodej z pożółkłej fotografii na kuchennej ścianie.

\*

Przed wypadkiem z Moomoot Jeanne leczyła się tylko raz, wiele lat wcześniej, tuż po trzydziestce. Poważnie podupała na zdrowiu i rodzina wezwała doktora Le Beca z pobliskiego miasteczka Musillac. Po szczegółowym badaniu lekarz poinformował bliskich, że stan Jeanne jest bardzo poważny, a następnie zabrał ją w środku nocy do prowadzonej przez zakonnice kliniki. Pogorszyło się jej i już po kilku dniach trafiła na łożo śmierci. Siostry w czarnych habitach zebrały się wokół niej z ponurymi minami.

– Jeanne Diquero – przemówiła z powagą jedna z zakonnice. – Masz przed sobą góra tydzień życia. Chcesz umrzeć w klinice czy wyzionąć ducha w domu? Wybór należy do ciebie, moje dziecko.

– W domu, *ma sœur* – odparła Jeanne słabym głosem.

W La Salle dwaj synkowie Jeanne, Roger i Marcel, mąż Luc, a także rodzina i sąsiedzi stanęli nad jej łóżem, pytając ze łzami w oczach o ostatnie życzenie umierającej. Próbowała coś powiedzieć, więc ktoś się ku niej pochylił.

– *Un verre de cidre* – wyszeptała niemal niedosłyszalnie.

Podtrzymując głowę Jeanne, przystawili jej do ust szklanekę z cydrem. Upiła łyk, i jeszcze jeden, po czym z trudem pokazała, że prosi o następną szklanekę. Po kilku łykach uniosła głowę i próbowała usiąść. Kolejną szklanekę trzymała już samodzielnie, a na jej trupioblada twarz z wolna powracał kolor. Z chwili na chwilę coraz bardziej przypominała siebie, jej organizm znów zaczął funkcjonować, a po tygodniu kręciła się po domu już całkiem zdrowa. Wtedy poprzysięgła sobie trzymać się jak najdalej od zakonnicy i do końca życia nie odwiedzać lekarza.

Przez następnych trzydzieści lat doktor Le Bec nie miał okazji pojawić się w wiosce. Aż pewnego dnia Roger sprowadził starego lekarza do La Salle, żeby zbadał Claudine, która zapadła na niezidentyfikowaną dziecięcą chorobę. Gdy przechodzili obok domu Jeanne, doktor Bec ze smutkiem pokręcił głową i wskazał budynek laską.

– *Eh, oui*, pamiętam. W tym gospodarstwie mieszkała twoja biedna matka, Jeanne Diquero – powiedział drżącym ze wzruszenia głosem. – Mało mi serce nie pękło, kiedy wasza dwójka tak wcześnie straciła mamę. Nigdy tego nie przebolełem. – Westchnął i otarł łzę spływającą mu po policzku.

– Pan doktor się nie martwi – pocieszył go Roger. – Mémé nadal tu mieszka, w tym samym domu.

– Co? Co takiego? Tutaj?

– A tak.

– Przecież nie może...

– Wyszła drugi raz za mąż. Teraz nazywa się Jeanne Montrelay.

– Ale ona umarła!

– Nie, panie doktorze. Nadal żyje i dobrze się jej wiedzie.

– Umarła czterdzieści lat temu!

– Nie umarła.

– Umarła, umarła!

Jeanne opowiedziała mi tę historię z prawdziwą rozkoszą.

– Przez te wszystkie lata pocziwy doktor mnie oplakiwał. – Ze śmiechem klepnęła się po udzie. – Czterdzieści lat nikt mu nie raczył powiedzieć, że ciągle żyję. Biedaczysko już nie doszedł do siebie!

\*

Pewnego popołudnia późnym latem Yves poszedł do garażu po maczetę do przycinania kolczastych krzewów. Gdy po nią sięgał, zauważył niewielkie płótno, nad którym potajemnie pracowałam. To był olej w błękitach i umbrze, przedstawiający dróżkę do starego domu, ocienioną przez wielki dąb. Ukryłam obraz za pudłami, lekkomyślnie zostawiwszy częściowo odkryty fragment, który nie zdążył wyschnąć. Potem oczywiście planowałam jak najszybciej przemycić płótno do obory Jeanne. Wściekły Yves chwycił obraz i przerąbał go maczetą na pół. Stałam na progu garażu i w osłupieniu patrzyłam, jak mój mąż mija mnie obojętnie i podchodzi do stojącego przy wjeździe na podwórze drewnianego słupa z moją podobizną. Zamachnął się agresywnie i odciął fragment brody mojego sobowtóra.

Przez resztę dnia nie byłam w stanie odezwać się do Yves'a ani na niego patrzeć. Tej nocy nie spałam. O trzeciej nad ranem wysliznęłam się z łóżka, narzuciłam na siebie płaszcz, złapałam sekretne pudełko z akwarelami i wsiadłam do auta. Krążąc po okolicy, w pewnym momencie dostrzegłam dwie krowy na zboczcu wzgórza, spokojnie skubiące trawę w blasku księżyca. Zaparkowałam na poboczu i precisnęłam się przez dziurę w płocie. Gdy na niebie pojawiło się światło poranka, rozłożyłam farby i zaczęłam malować, a krowy pasły się dalej, obojętne na moją obecność. Świt rozpostarł się nad okolicą delikatnym fioletem, beżami i bladymi żółcieniami, które dopełniały się niczym aktorzy na scenie. Kiedy w końcu wyłoniło się słońce, obraz był ukończony. Spakowałam farby i ruszyłam z powrotem do La Salle. Wjeżdżając przez bramę na podwórze, minęłam słup z głęboką raną na brodzie i zadrżałam. Przez chwilę wydawało mi się, że widzę krew buchającą na wszystkie strony niczym spieniona woda w górskim strumieniu.

Po naszej stronie drogi nikt nie dawał znaku życia, ale wiedziałam, że Jeanne już nie śpi.

– Mitch? A dokąd to o tej porze? – spytała.

– Wybrałam się na przejażdżkę. Patrzyłam na krowy na łące, Jeanne. Dlaczego są takie spokojne? Zabieramy im mleko, odbieramy cielęta, a potem mordujemy je na potrawkę wołową. Dlaczego się nie buntują? Czemu nie chcą się uratować i uciec?

Położyła mi rękę na ramieniu i przechyliła głowę.

– Co się dzieje, *ma fille*?

– Posłuchaj, muszę wyszykować Danielle do szkoły. Kiedy wrócę, pojedę na plażę. Wybierzesz się razem ze mną?

– Wiesz, że nigdy nie byłam nad wodą.

- No to dziś jest wspaniały dzień, żeby zobaczyć ją po raz pierwszy. Pójdiesz?
- Marcel! – zawołała. – Mitch i ja jedziemy na plażę.
- Jesteś pewna, Mémé? – Marcel spokojnie popijał kawę. Dopiero po chwili podniósł wzrok i oznajmił z lekką kpina: – Życzę wam miłego pływania.

\*

To była jedna z nielicznych okazji, kiedy widziałam Jeanne przestraszona. Już na miejscu zawahała się przed wyjściem z auta, więc przez chwilę tylko siedzieliśmy zapatrzone w fale, które rytmicznie zalewały plażę i się z niej wycofywały.

- Wejdiesz do wody? – zapytała z niedowierzaniem.

Skinęłam głową.

- Kiedy będziesz gotowa, możemy iść na plażę – powiedziałam.

Zaniepokoiła się, gdy jej stopy zatonęły w piasku, więc przyłgnęła do mojego ramienia i tak poszliśmy ku brzegowi. Poziom wody wciąż był na tyle wysoki, żebym mogła pływać, odpływ miał się zacząć dopiero za godzinę. Miałam na sobie bikini, więc ściągnęłam szorty i rzuciłam je na piasek.

– Mitch? Po co ściągasz ubranie? Zaziebisz się na śmierć! – Jej twarz była blada i spięta.

- Bez obaw. – Roześmiałam się. – Jestem w kostiumie.

Jeanne nigdy nie widziała kostiumu kąpielowego, więc moje skąpe bikini niespecjalnie ją pokrzepiło.

- Dla mnie jesteś goła – oświadczyła z troską w głosie.

- To się nosi do pływania, słowo. Poczekaj, wchodzę. Niedługo wrócę.

Rzuciłam się do wody. Jeanne nigdy nie widziała morza, więc siłą rzeczy nie mogła też widzieć nikogo, kto się w nim kąpie. Przepłynęłam kawałek, potem zaczęłam brodzić. Spojrzałam na Jeanne, która tkwiła nieruchomo na brzegu, trzymając się za czepek, w czarnej, łopoczącej na wietrze sukni. Pomachałam, ona mi odmachała, a wtedy odwróciłam się ku horyzontowi i wypłynęłam na morze. Czułam, że mogłabym tak płynąć w nieskończoność, ale nagle przetoczyła się nade mną wysoka fala, jakby chciała mi przypomnieć, że niezależnie od tego, jak daleko wypłynę, zawsze będę musiała wrócić i stawić czoło burzy, która szalała wokół Yves'a i mnie, wciągając nas niczym wielki lej. Z dnia na dzień był coraz bardziej złowieszczy i groził pochłonięciem nas obojga. Czułam słoność fal, moje ramiona zdawały się mieć własny napęd, jakby nie należały do mnie. Zostawiwszy za sobą troski, dałam się wynosić falom i płynęłam tak długo, że w końcu ledwie widziałam brzeg. Straciłam poczucie czasu. Nagle jednak oczami duszy ujrzałam Jeanne, jak stoi



na plaży, rozgląda się niespokojnie i mnie wypatruje. Zawróciwszy, ruszyłam do brzegu. Kiedy wyszłam z morza, radosna i ociekająca wodą, stała na krawędzi plaży, z twarzą poszarzałą ze strachu.

– Mitch! – wydusiła z siebie.

– Nie musiałaś się martwić – zapewniłam ją. – Dobrze pływam.

– Pierwszy raz mnie coś takiego spotyka. – Oddychając ciężko, owinęła mnie ręcznikiem. – Tak daleko popłynęłaś, że cię nie widziałam. Woda musiała ci sięgać nad głowę!

Opisałam jej, jak się czułam, płynąc w głębokiej wodzie, otoczona przez morze ze wszystkich stron. Wyjaśniłam, że to uwolniło kotłujące się we mnie napięcie, bo kiedy leżałam na plecach i unosiłam się na falach, bezwładna i oszołomiona, byłam jak ziarnko piasku wrzucone do wielkiego oceanu.

– Mitch. – Jeanne ciężko westchnęła. – Słowa z tego nie rozumiem.

– Któregoś dnia popłyniemy razem i przekonasz się na własnej skórze – odparłam i ją objęłam.

Przysiadłyśmy na kamieniu, żeby popatrzeć na fale. Powoli zaczynał się odpływ. Przekonałam Jeanne, aby zdjęła buty i pończochy, i podeszłyśmy do morza, a wtedy uniosła spódnicę i odważyła się zapuścić tam, gdzie woda sięgała nam do kostek. Stałyśmy przez chwilę, czując uporczywy nurt odpływu pod stopami. Strach Jeanne najwyraźniej wyparował, gdy rozpryskiwała płytkie kałuże i patrzyła, jak piach sączy się między jej palcami. Wędrując wzdłuż brzegu, wyglądałyśmy co najmniej dziwnie: Jeanne w koronkowym czepcu i długiej, łopoczącej na wietrze czarnej spódnicy, ja w bikini. Plaża podczas odpływu zawsze mnie fascynowała, ale dzięki temu, że dzieliłam to doświadczenie z Jeanne, wydało mi się ono jeszcze bardziej przejmujące i niezwykle. Czułam się tak, jakbym patrzyła na dziecko, które trafiło nad morze po raz pierwszy. Dotyk piasku, plusk fal, widok kamyków i muszelek wyrzuconych na brzeg, słony zapach morskiej bryzy – to wszystko było nowe i poruszające.

Gdy morze się cofnęło, wyłonił się spod niego całkiem nowy morski pejzaż. Nasze palce u stóp zanurzały się w piasku o innej fakturze, który dotąd ukrywał się pod wodą, nienarażony na działanie powietrza ani słońca. Pozostałe po odpływie kałuże dawały schronienie dziwnym stworzeniom, których istnienie pozostawało tajemnicą przy zwykłym poziomie morza. Nerwowe kraby biegały po mulistym piachu, a pod kamieniami kryły się skupiska małży, z całych sił przyczepionych do podłoża. Trafiły stamtąd prosto do fartucha Jeanne, który przewiązała tak, by pomieścić łupy.

– Obiad – oznajmiła z uśmiechem, grzechocząc skorupkami.

Patrzyliśmy, jak rozmaite stworzenia wypływają z głębin, by na moment znaleźć się w świetle. Po pustej plaży kręciło się jeszcze kilka ubranych na czarno osób, które z wiaderkami i sieciami pochylały się nad piachem, skupione na czymś, czego nie było widać, gotowe rzucić się na każdy przejaw życia na dnie morskim, wyciągnąć ukryte, tajemnicze i jadalne skarby. W końcu wróciliśmy do kamienia, przy którym zostały nasze ubrania i buty. Kilka godzin później, już po naszym odejściu, morze miało powrócić, regularnie jak w zegarku, stopniowo i powoli, aby osłonić dno niczym koc, którym otula się śpiące dziecko.

*Dzin na wolności*

Deszcz lał strumieniami. Wyszłam z gabinetu lekarza i zatrzymałam taksówkę.

– Dokąd? – warknął kierowca.

Z powodu burzy na ulicach utworzyły się beznadziejne korki. Światło co chwila zmieniało się z czerwonego na zielone, a my nie mogliśmy ruszyć ze skrzyżowania avenue de l’Opera i rue de Rivoli. Fragmenty rozmowy z lekarzem odbijały się echem w mojej głowie niczym spotęgowane uderzenia serca. „Emocjonalnie niestabilne zaburzenie osobowości... tak to nazywa medycyna ... przez całe życie... bez leków... jeszcze się pogorszy... okresowy spokój przeradza się w agresję...” Słowa nie chciały przestać płynąć, nieustannie się powtarzały. „Emocjonalnie niestabilne zaburzenie osobowości... bez leczenia nigdy nie zdoła nad tym zapanować...” Yves był chory. Jeśli nie zechce brać leków, jego choroba wymknie się spod kontroli. Deszcz walił o samochód i ściekał z szyb. Tkwiłam w klatce. Gardło mi się ścisnęło, miałam ochotę krzyczeć.

– Wszystko w porządku?

Wzdrygnęłam się i zobaczyłam, że kierowca obserwuje mnie w lusterku wstecznym. Położył ogromną rękę na oparciu fotela i odwrócił głowę, a wtedy ujrzałam, że przez jego czoło biegnie lśniąca fioletowawa blizna. Krzepki, śniady i groźny, wyglądał jak zbiegły więzień.

– Od razu, jak pani wsiadła, to wiedziałem – oświadczył grobowym tonem.

– Co pan wiedział?

– Że coś jest nie tak. Prawda?

– Co takiego? – Wyprostowałam się.

– Boi się pani wrócić do domu, zgadza się?

Moje oczy zaszklily się od łez i zaczęłam szperać w torbie w poszukiwaniu chusteczki.

– Chodzi o męża, prawda? – nie odpuszczał.

– Słucham?

– Przecież widzę. Chodzi o męża.

– Oczywiście, że nie! – Znalazłam chustkę i wytarłam nos.

Znów popatrzyłam na kierowcę. Do tego momentu z nikim o tym nie rozmawiałam. Nie mogłam pomówić o tym z przyjaciółmi, bo to byli przyjaciele Yves'a. Nie mogłam rozmawiać z rodziną – to była jego rodzina. Na pewno nie mogłam zrzucać swoich trosk na Danielle. Była też jego córką, no i miała dopiero pięć lat! Moi bliscy mieszkali w Chicago, a poza tym lubili Yves'a. Nawet gdybym im powiedziała, niby w jaki sposób by mi pomogli? Miałam uciec do domu, do Chicago? Wykluczone. Jak mogłabym wyjechać i zabrać Danielle od ojca? Traktowałam Francję jak swoją ojczyznę, ale byłam tu sama i nie miałam komu się zwierzyć.

– Proszę mówić, co się dzieje – burknął w taki sposób, że przypominało to polecenie.

I tak wyznałam wszystko człowiekowi, którego nigdy wcześniej nie widziałam na oczy.

\*

Yves drastycznie się zmienił od czasu znalezienia mojego obrazu w La Salle. Człowiek, którego kochałam i, jak sądziłam, dobrze znałam, przeobraził się w kogoś zupełnie obcego, kto mnie przerażał, odstręczał i dezorientował. Czułam się tak, jakbym szła po ruchomych piaskach i nie miała się czego chwycić, żeby odzyskać równowagę. Nagle na powrót stawał się sobą – tylko czy rzeczywiście? Po minucie, bez ostrzeżenia, jego nastrój się zmieniał i Yves wpadał w gniew. Początkowo te chwile były rzadkie, a on potem nie krył skruchy. Z biegiem czasu zdarzały się coraz częściej, były coraz gwałtowniejsze i zjadłe, a wkrótce stały się codziennością, niesprowokowane, trwały na okrągło, od samego rana przez południe do późnej nocy. Pewnego ranka, gdy przeglądał w pracowni rachunki i zawiadomienia dostarczone przez listonosza, usłyszałam, jak ryczy: „*Merde alors!*”. Cisnął listy na podłogę, a potem wpadł do kuchni, gdzie sprzątałam po lunchu.

– Niczym się nie zadowolą, póki nie zabiorą mi wszystkich pieniędzy, domu, wszystkiego! Do diabła z nimi!

Wyrwał mi z dłoni talerz i cisnął nim o ścianę.

– Yves, co w ciebie wstąpiło? – Popatrzyłam na skorupy na podłodze. – Przecież to nasza zastawa!

– Tak? To niech i ją sobie wezmą, sukinsyny!

Chwycił kuchenne krzesło, rąbnął nim w ścianę, a potem zaczął po nim skakać, aż rozpadło się na kawałki. Patrzyłam na niego w całkowitym odrętwieniu. W ogóle nie mogłam go rozpoznać. Twarz mu się zmieniła, oczy były na wpół przymknięte, policzki zaczerwienione, usta wykrzywione w nieznanym mi wcześniej grymasie.

Odwrócił się, poszedł z powrotem do pracowni i zatrzasnął za sobą drzwi, ja zaś usiadłam przy kuchennym stole i wybuchnęłam płaczem, częściowo ze strachu, częściowo z troski. Co się z nim działo? Co mogłam zrobić? Kiedyś wydawało mi się, że nasza miłość uśmierzy jego niepokoje, lecz teraz już tak nie myślałam. Otarłam łzy, wzięłam szczotkę i zmiotłam skorupy z podłogi.

Kilka dni potem Yves wyszedł w jakiejś sprawie po południu i wrócił dopiero późną nocą, kiedy już kładłam się do łóżka.

– Gdzie byłeś? – zapytałam. – Martwiłam się o ciebie.

– Nie kłam – odpowiedział podniesionym głosem.

– Nie kłam?

– *Putain!* Ty kurwo! Wiem, co się dzieje! Sypiasz z kim popadnie!

– Nie mów tak do mnie! Przecież wiesz, że to nieprawda.

– Kłamstwa, Maud. Same kłamstwa!

– Yves, Maud to twoja matka, nie ja.

– Wiem, kim jesteś! – wrzasnął i rąbnął pięścią w ścianę tak mocno, że zrobił w niej dziurę.

Usłyszałam płacz Danielle w pokoju obok, więc pobiegłam ją pocieszyć. Wmówiłam jej, że to był tylko zły sen, a gdy znowu zasnęła, poszłam po szczotkę i pozamiatałam tynk. W tamtych dniach miałam poczucie, że nie robię nic innego.

\*

Taksówkarz milczał i czekał, aż powiem coś jeszcze, a w końcu znów się do mnie odwrócił.

– A teraz panią bije. Zgadza się?

Nie odpowiedziałam.

– Niech pani posłucha. Kiedy mężczyzna przekroczy tę granicę, nigdy nie ma powrotu.

– Nigdy? – jęknęłam.

– Nigdy.

– Ale to niemożliwe. Właśnie widziałam się z naszym lekarzem. Mówił, że jeśli mąż będzie brał lekarstwa, to z czasem...

– Kiedy dzin wyrwie się na wolność, może być tylko gorzej.

– Boże, to samo powiedział lekarz. „Będzie jeszcze gorzej”. Ale dlaczego? Co ja zrobiłam?

– To nie ma z panią nic wspólnego – zapewnił mnie bez wahania. – Musi to pani wiedzieć. To jego problem.

– Jak to?

– Obawia się, że traci męskość.

– Nie, to na pewno nie to.

– Niech pani posłucha: kiedy mężczyzna zaczyna się tego bać, wini kobietę, wpada w gniew i ją bije. Wtedy to nie jego wina, tylko jej.

– Ale on pod tym względem jest bardzo pewny siebie. Jest silny, był bokserem, kiedyś, na studiach w szkole plastycznej. To piękny mężczyzna.

Moje słowa z pewnością zabrzmiały wyjątkowo głupio.

– Nie jest pewny siebie, skoro panią leje – powiedział tylko.

Emocje, które w końcu we mnie wezbrały, wypłynęły na zewnątrz. Nie byłam w stanie dłużej milczeć.

– Od dawna nie chciał się ze mną kochać – wyznałam, chociaż mnie samą zaszokowało, że zdradzam tak intymne szczegóły zupełnie obcemu człowiekowi. Mimo to mówiłam dalej, nie mogłam się powstrzymać. – Zawsze był kochający i namiętny, a teraz ciągle leży na sofie i gapi się w sufit. Nie chce iść do lekarza i wścieka się, kiedy o tym wspominam. Nie wychodzi z domu, może tylko na zakupy albo z córką do szkoły. Kłamałam dzisiaj, żeby pójść do lekarza. Utkwiłam w więzieniu, z dnia na dzień jest coraz gorzej.

Opowiedziałam mu o tym, że nasza pięcioletnia córka słyszy i widzi sceny, których dziecko nigdy nie powinno oglądać. Obawa, jak to może na nią wpłynąć, przyćmiewała mój strach o siebie. Tego ranka odprowadziłam Danielle do szkoły. Gdy przed budynkiem pocałowałam ją na do widzenia, powiedziała:

– Chodź ze mną do szkoły, mamusiu. Pokaż pani wychowawczyni, gdzie boli. – Dotknęła siniaka na moim czole i delikatnie pogłaskała bandaż na rękę. – Ona to naprawi.

Wracając do domu ze szkoły, minęłam po drodze żandarma. Uśmiechnął się i uchylił czapki.

– *Bonjour, mademoiselle* – rzekł.

Chciałam chwycić go za rękę, opowiedzieć o tym, co się dzieje, że mąż skrzywdził mnie wczoraj w nocy. Chciałam wyznać, że boję się iść do domu, ale nie mogłam. Odwróciłam się na pięcie i pobiegłam do Yves'a.

Bardzo długo opowiadałam to wszystko taksówkarzowi, a on słuchał, gdy dzieliłam się z nim swoimi uczuciami i strachem, po czym odpowiadał mądrze i ze zrozumieniem. Po pewnym czasie wyjrzałam przez okno.

– O mój Boże, dojechaliśmy na miejsce. Nie wiedziałam. Muszę już iść. Jestem bardzo spóźniona. Wścieknie się.

– Niech pani posłucha – odezwał się łagodnie. – Nie przyznaje się pani przed sobą, ale wie, że grozi pani niebezpieczeństwo.

– Tak, wiem.

– Jest pani młoda i silna. Musi pani pokazać mu tę siłę. – Popatrzył mi prosto w oczy. – Mam iść z panią na górę?

Ja też spojrzałam mu w oczy, które teraz wydały mi się łagodne. Nawet blizna na czole wyglądała pocziwie i krzepiąco. Mówił poważnie – poszedłby ze mną na górę i stawiał czoło Yves'owi.

– Nic mi nie będzie – powiedziałam. – Ale dziękuję za wszystko.

Wyciągnął do mnie wielką, szorstką dłoń. Chwyciłam ją w nadziei, że może spłynie na mnie część jego siły i pewności. Taksówkarz czekał, aż wejdem do kamienicy, i pomachał mi przed odjazdem. W windzie zaczęłam się zastanawiać, jak zareagowałby Yves, gdyby ten krzepki ochroniarz ze szramą na twarzy odprowadził mnie do domu. Kiedy wsuwałam klucz do zamka, przemknęło mi przez myśl, że zmarnowałam okazję.

\*

– Musimy porozmawiać – oznajmiłam.

Yves wyglądał tak, jakby znajdował się pod wpływem środka uspokajającego. Leżał na kanapie w pracowni, na sztalugach nie stało żadne płótno. Nigdzie nie dostrzegłam śladów pracy.

– Jeśli chcesz rozmawiać o wczorajszej nocy, to zapomnij – odezwał się znużonym głosem. – To twoja wina. Sprowokowałaś mnie.

– Yves, to nie była moja wina. Przyniosłam herbatę, musimy pomówić. – Wręczyłam mu filiżankę i nalałam herbaty. – Zastanawiałam się nad tym, co się z nami dzieje. Potrzebujesz atmosfery, w której zdołasz wrócić do malowania. Na jakiś czas powinieneś zostać sam.

– Co ty wygadujesz? Mam żonę i dziecko. Jak mam być sam?

– Musisz. Postanowiłam, że na kilka miesięcy zabiorę Danielle do La Salle.

– To szaleństwo. – Teraz już podniósł głos. – Jest zima, zamarzniecie na śmierć.

– Przecież jest palenisko. Rozpalę ogień.

– Nie ma mowy. Nawet nie wiesz, jak napalić w piecu. Poza tym twoje miejsce jest tutaj. Nie możesz zabrać Danielle ze szkoły w środku roku szkolnego.

– Noël poświęci jej więcej uwagi. Nic się nie stanie. Musimy się na jakiś czas rozdzielić. Ty to wiesz i ja również.

– Zwariowałaś. Jesteś z wielkiego miasta, nigdy nie dasz sobie rady w La Salle sama, nawet latem, a już na pewno nie w środku zimy. A ja? Myślisz, że możesz tak sobie uciec od obowiązków, bo akurat wpadłaś na jakiś idiotyczny pomysł?

– Wezmę kamionetkę – ciągnęłam. – Zostawię ci *deux cheveux*. Teraz pójde spakować parę rzeczy. Wyjedziemy jutro z samego rana.

Wpatrywał się w przestrzeń, a jego oczy znowu wydawały się martwe. Zniknęły z nich ogień i życie.

\*

Styczniowy poranek, kiedy Yves pomógł nam zanieść pudła i walizki do auta, był wilgotny i wietrzny.

– Bądź grzeczną dziewczynką, Poucette – powiedział czule do Danielle i poprawił jej płaszcz. Potem odwrócił się do mnie. – Jedź ostrożnie. Zadzwoń, kiedy będziecie na miejscu.

Pocałowaliśmy się – przelotnie, ze smutkiem – i ruszyłam w podróż.

Okolo południa zjechałam z głównej drogi na wiejską dróżkę, która biegła wzdłuż rzeki. Rozłożyliśmy koc przy brzegu, aby urządzić sobie piknik złożony z kanapek i owoców. Było chłodno, ale otuliłyśmy się szalikami. Potem, gdy Danielle bawiła się nieopodal, ja leżałam na plecach, wsłuchana w kojący plusk wody, która opływała kamienie. Po raz pierwszy od poznania Yves'a wybrałam miejsce na piknik, spokojny, położony z dala od szosy zakątek – taki, w jakim zawsze pragnęłam się zatrzymać, ale nikt mnie nie słuchał. To był drobiazg, jednak krzepiący, coś, co czyniło smutek tej chwili mniej dokuczliwym. Danielle wskoczyła na koc i wyciągnęła się obok mnie. Pachniała jak świeże pranie rozwieszzone na słońcu. Byłam zachwycona, kiedy się przytuliła.

– Czy Yves przyjedzie? – spytała.

Nigdy nie nazywała go tatą.

– Nie wiem, skarbiatko.

– Dlaczego nie pojechał z nami, mamusiu?

Szukałam odpowiedzi. Walcząc ze łzami, zerknęłam na niebo i po raz pierwszy zaczęłam się zastanawiać, czy to nie coś więcej niż chwilowa rozłąka z mężczyzną, którego tak bardzo kochałam. Wiele zdarzeń podkopało tę miłość i teraz czułam przede wszystkim lęk, wręcz przerażenie. Pomyślałam, że jeśli będę leżeć na tym brzegu dostatecznie długo, odetnę się od wszystkiego. Poza cichą, monotonna melodią rzeki oraz sporadycznym ptasim śpiewem panowała kompletna cisza.



Wiele godzin później wjechałyśmy na podwórze w La Salle. Dachy iskrzyły się od szronu, a lodowaty wiatr chłostał nas po twarzach. W surowym blasku późnocyfniowego dnia domy wydawały się opuszczone i ponure. Podjechałam do budynku najbliższej drogi. Mieliśmy na własność pół osady, a jednak nadal skazana byłam na mieszkanie w tymczasowym domu, jak go eufemistycznie nazywaliśmy. Zastanawiałam się, czy praca nad głównym budynkiem kiedykolwiek się skończy. Jakby dla podkreślenia nieprzyjaznego powitania drzwi się zacięły i musiałam użyć całej siły, żeby je otworzyć. W wielkim, pustym pokoju było okropnie. Grube na metr ściany chroniły wnętrze przed żywiołami, jednak z powodu wilgoci i chłodu nawet nie zdjęliśmy płaszczów. Danielle zbierała gałazki, a ja znalazłam kilka polan, pozostawionych przy palenisku. Yves powtarzał, że jest Strzelcem, znakiem ognia, ja zaś jestem spod znaku ziemi i rozpalanie ognisk nie leży w mojej naturze. Ignorując to, powróciłam myślami do czasów dzieciństwa, gdy byłam skautką. Przyłożyłam zapalnik do pogniecionego papieru, który wepchnęłam w chrust pod polanami. Poruszyłam je i przez pewien czas cierpliwie dmuchałam, aż wreszcie ku mojemu zachwytowi płomyk zamigotał i gałazki zajęły się ogniem. Przy akompaniamencie trzasków polana stanęły w płomieniach, a cały pokój zalała przytulna cynobrowa poświata.

– Nawet Panna potrafi rozniecić ogień! – oznajmiłam triumfalnie.

– Mitch! Danielle! – Jeanne stanęła w drzwiach. – Słyszałam, jak jechałyście pod górę. Oczom nie wierzę! Po coście przyjechały tu na sam środek zimy? Myślałam, że przed wiosną was nie zobaczę. Chcecie dopilnować tych obiboków? Danielle! Podejź no tu i daj Mémé buziaka. Gdzieżecie podziały Yves’a?

– Yves... Cóż, przyjedzie później. Może za miesiąc.

– Wszystko dobrze, Mitch? – Popatrzyła na mnie i zrozumiała.

– Teraz już tak – odparłam.

Przywlekłyśmy trzy krzesła do paleniska.

– To Yves zawsze rozpalał ogień, ale ten rozpaliłam razem z mamusią – oświadczyła Danielle z dumą.

– I całkiem ładnie się pali.

Siedziałyśmy przez chwilę, wpatrując się w płomienie. Jeanne pochyliła się ku palenisku. Jej policzki były zarumienione, a w oczach migotały iskry.

– Marcel znieś dość drewna, żeby ogień nie zagasł. Nie może być, żebyście spały w takiej lodowni. Obie przyjdziecie dzisiaj na kolację.

Danielle pociągnęła mnie za rękaw.

– Mogę iść się pobawić z Monique?

– Oczywiście, skarbiec. Muszę rozpakować rzeczy. Spytaj tylko *madame* Le Blevenec, czy wolno.

– Chodź, *ma fille* – powiedziała Jeanne – mama ma dużo pracy. Zaprowadzę cię do La Sallette. Monique się ucieszy, jak cię zobaczy, *dame*.

Uściskała mnie, wzięła Danielle za rękę i ruszyły w dół wzgórza. Ja zostałam przy palenisku, zatopiona w tańcu płomieni, aż poczułam się jednością z iskrami strzelającymi ponad polana. Może Yves miał rację, może szaleństwem był przyjazd do La Salle w środku zimy i przekonanie, że dam sobie tu radę na własną rękę. A jednak wszystko szło, jak powinno – najpierw był piknik nad rzeką, teraz w palenisku płonął ogień. Usiadłam wygodniej i wyobraziłam sobie, jak komin pochłania wraz z dymem gorycz i ból ostatnich miesięcy. Wzburzenie, które czułam od tak dawna, zaczęło przemijać. Danielle bawiła się z Monique. Moja kochana Jeanne wyszła nam na spotkanie. Marcel miał przynieść więcej polan i dziś zostałyśmy zaproszone na kolację u niego i Jeanne. Ogarnął mnie spokój. Napięte mięśnie mojej twarzy się rozluźniły i z niepewnym westchnieniem ulgi wstałam, by przynieść rzeczy z samochodu.

*Kobieta bluszcz*

– Natura pokona człowieka w okamgnieniu, jeśli nie będzie uważał – ostrzegwał Marcel Yves’a naszej pierwszej wiosny w La Salle. – Jeśli nie będziesz przycinał tych *sacré* głogów, to nim się obejrzysz, ukradną ziemię i znowu będą tu same chaszczce. My, chłopcy, ujarzmialiśmy ją setki lat. Nie możemy jej teraz oddać głogom.

Kilka dni po naszym powrocie do La Salle z niepokojem zobaczyłam, że pod naszą nieobecność kolczaste krzewy bardzo się rozrosły. Zażarte i agresywne, wpełchnęły się na ścieżki i zagarniały cenną przestrzeń pod uprawę w warzywniku. Poszłam do garażu po maczetę Yves’a. Gdy ściągałam ją z zardzewiałego haka, przypomniało mi się, jak Yves przerąbał nią mój obraz. Strzepnęłam kurz z wielkiego narzędzia w kształcie półksiężycy i ruszyłam do warzywnika. Grube, wojownicze łodygi wystrzeliwały we wszystkich kierunkach niczym nabite pistolety podczas ataku. Zebrałam siły, uniosłam rękę z maczetą i wzięłam zamach, aby uderzyć raz i drugi. Kilka nieistotnych pędów spadło na ziemię, a te, które pozostały, odegrały się na mnie, wbijając mi się w skórę. Pochłonięta zadaniem, nie zwracałam najmniejszej uwagi na krew płynącą mi po ramieniu.

– Mitch! – Marcel gorączkowo machał mi z drugiej strony drogi. – *Nom de Dieu!* Co ty robisz, u licha? Odłóż maczetę!

Sięgnęłam po chusteczkę w kieszeni i przetałam karmazynowe strumyczki płynące po moich rękach.

– Próbujesz się zabić? – krzyknął, idąc w moim kierunku.

– Chciałam tylko...

– Takim niebezpiecznym ostrzem? – przerwał mi. – To nie robota dla ciebie, Mitch. Mogłaś sobie odrąbać rękę lub nogę. Trzeba było powiedzieć.

– Nie możesz mnie zawsze wyręczać, Marcel.

– Mitch! – zawołała Jeanne, biegnąc do nas. – Co to ma być, u licha? Odstawże tę *sacré* maczetę!

– Próbowałam tylko...

– Przyciąć głogi? *Merde alors*, zabijesz siebie i wszystkich naokoło.

– Też jej to mówię, Mémé – wtrącił Marcel.

– Ale Yves przecież...

– Nic nie wiesz o tym, jak się tną głogi. Tak samo mogłaś posłać dzieciaka, żeby walczył z wojskiem.

– Dobrze, dobrze. Uspokójcie się oboje. Nie znam się na tym, ale ostrze jest tępe i dlatego nie mogę przyciąć tych cholernych głogów.

Jeanne przejechała palcem po ostrzu.

– Ma rację, Marcel. Tępe – powiedziała i zwróciła się do mnie: – Lepiej chodź z nami do domu. Zajmę się twoimi rękami, a Marcel naostrzy maczetę. Ale pamiętaj, teraz to Marcel będzie wyrąbywał głogi. Oj, prędko nie weźmiesz tej maczety do ręki!

W kuchni Jeanne podeszła do kredensu i wyciągnęła z niego szklany słoik ze szmatką na bandaż. Zagotowała wodę w żeliwnym kociołku nad paleniskiem, ściągnęła znad pieca pęczek suszonych traw i ziół, a następnie wrzuciła go do wody, jakby zamierzała parzyć herbatę. Wcześniej kilka razy zauważyłam, jak przykucała nieopodal warzywnika i zrywała jakieś źdźbła, które następnie zawijała w fartuch. Zawsze się zastanawiałam, czy powoduje ją ten sam instynkt, co kotami i psami, gdy brną przez trawę w poszukiwaniu ziół, które je wyleczą. Czekając, aż woda ostygnie, owinęła szmatką moje skaleczenia i zadrapania. Potem poszłam za Marcelem do obory, gdzie trzymał starą osełkę. Pocierał długim, zakrzywionym ostrzem o kamień, tam i z powrotem, z gracją i elegancją, co wyglądało raczej osobliwie, zważywszy na jego zwalistą sylwetkę. Od czasu do czasu przerywał i sprawdzał kciukiem ostrze, po czym kręcił głową i mrucał: „*Encore un peu*”. Kiedy był już usatysfakcjonowany, wróciliśmy do kuchni, gdzie Jeanne czekała na nas ze swoim wywarem.

– Muszę teraz robić to, co robił Yves. – Skrzywiłam się, kiedy przykryte moką szmatką głębokie cięcia na moich rękach boleśnie zapiekły. – Muszę się jakoś nauczyć przycinać te głogi.

– A jakbyś dostała zakażenia, Mitch? – ofuknął mnie Marcel. – Musiałabyś leżeć i nie byłoby z ciebie żadnego pożytku.

Czubkami grubych, szorstkich palców przeniósł nieco tytoniu na kwadracik cienkiego papieru, a następnie starannie skręcił papierosa. Większość mężczyzn na wsi robiła sobie skręty. Nigdy nie widziałam żadnej palącej wieśniaczki, choć podobno część kobiet po kryjomu oddawała się nałogowi.

– Ludzie na wsi mówią, że jedyne, co jest gorsze od chorej żony, to chora krowa. O co chodzi w tym powiedzeniu, Marcel?

Przesunął językiem wzdłuż krawędzi bibułki i ją zakleił, zamykając wewnątrz ciemny tytoń.

– Chyba o to, że w obejściu kobieta ma swoją robotę i chłop ma swoją, ale ani jedno, ani drugie nie umie zrobić tego, co krowa.

– Ty cholerny szczęściarzu! – wykrzyknęła Jeanne. – Ja nigdy nie choruję, a nasze krowy są takie twarde, że same by sobie poradziły z obejściem.

– Ale jeśli żona jednak zachoruje? – dopytywałam się.

Marcel zapalił papierosa, zaciągnął się płytko i wypuścił dym.

– To wtedy mogą być kłopoty.

– Mogą! – wybuchnęła Jeanne, a jej szare oczy rozbłyły. – Dobrze wiesz, że wszystko diabli biorą, jak kobieta choruje.

– Spokojnie, Mémé. – Marcel mrugnął do mnie. – Chciałem się tylko upewnić, że słuchasz, co mówię.

– Pamiętasz tę historię o Fotreau? – spytałam. – Annick przecież dała sobie radę sama. I ty też, Jeanne, kiedy zostałam w gospodarstwie. Więc i ja sobie poradzę.

– Ale ja się urodziłam na wsi, Mitch. Pamiętam, jak pierwszego lata pomagałam nam przy sianie. Cierpliwości. Silna jesteś i niedługo sama wszystko obskoczysz, ale póki co powiemy parobkowi Ericowi, żeby przyszedł i pomógł u ciebie z co cięższą robotą.

– Parobkowi? To tak, jakbym przyznała, że sama sobie nie poradzę.

– Nie musisz nic sobie dowodzić, *ma fille*. I najtwardsi chłopci biorą parobków. Eric przytnie gałęzie i narąbie drew.

– Sama nie wiem...

– Możesz zawołać Erica, jak będzie potrzeba.

– Pewnie przydałaby mi się pomoc. Ile musiałabym mu zapłacić?

– Daj mu tyle cydru, ile zdoła wypić, stawę trzy razy dziennie i jeszcze coś na ząb. Starczy.

– Ale ile muszę zapłacić?

– Nikt nie płaci parobkom, Mitch – powiedział Marcel.

Dwa dni później w drzwiach stanął Eric, chudy i czerstwy, w ubraniu, które zwisało na jego kościstej sylwetce. Był spalony słońcem, a cienka jak pergamin skóra z trudem okrywała pokaźny nos. Kilka zębów uparcie trzymających się jego dziąseł lśniło w słońcu, gdy otworzył usta, aby coś powiedzieć. Nie zrozumiałam ani słowa. Nie wytrzeźwiał jeszcze po poprzednim dniu, więc niepewnym krokiem ruszył za mną ku stercie kłód, które należało porąbać, a potem do warzywnika przy drodze, gdzie głogi zdecydowanie wymagały przycięcia. Wręczyłam mu siekiere i maczetę, a następnie pognałam do Jeanne, jakby ścigał mnie dzik.

– Jest pijany! – krzyknęłam, z trudem łapiąc oddech.

Jeanne nie przestawała mieszać czegoś w ciężkim kociołku na kracie ponad paleniskiem.

– Jeanne, słyszałaś? Ten człowiek chyba nie wytrzeźwiał od wczoraj. Jeśli dam mu chociaż łyk cydru, to będzie zabójstwo.

– Biedaczysko chodzi urżnięty od kołyski, Mitch. Jak żyję, trzeźwego go nie widziałam. Nie przejmuj się nim. Sypia po pustych stodołach, ludziom pomaga, jak kto potrzebuje, i dostaje za to wikt. Więcej mu nie trzeba. Nie dasz mu jego cydru, pomyśli, że chcesz go oszwabić.

Eric wlał w siebie cały cydr, którym go poczęstowałam. Pochłonał śniadanie, obiad, kolację i parę przekąsek z szaleńczą żarłocznością wiewiórki gromadzącej zapasy na zimę. Pracował od rana do wieczora, gałęzie grube jak moje kostki u nóg odcinał tak lekko, jakby to były trzcinki, a do tego narąbał zapas drewna na dwa tygodnie opalania. Na koniec dnia pod wpływem impulsu wręczyłam Ericowi tysiąc franków. Jak mogłam zatrudniać kogoś i nic mu nie płacić? Z niedowierzaniem popatrzył na banknot, a potem chwycił go łuszczącą się dłonią, rozciągając w szerokim uśmiechu niemal bezzębne usta.

– *Merci, merci, ma'am* Drumont. Pani chce, coby Eric przyszedł, pani powie.

Dwa dolary były śmieszną sumą za tę ciężką pracę i to zakrawało na wykorzystywanie, a jednak Marcel mówił, żebym nic nie płaciła. Dlaczego nie było tu Yves'a? Rozumiał panujące na francuskiej wsi zwyczaje, które dla mnie nadal były nieprzeniknione, potrafił rozmawiać z miejscowymi. Czasem byłam całkowicie skonsternowana tym, co się wokół mnie działo. Co dziewczyna z Chicago robiła w odosobnionym gospodarstwie, z małym dzieckiem, na zapomnianym przez Boga odludziu? Wprawdzie przyjazd do La Salle był moim pomysłem, ale teraz, gdy już się tu znalazłam, jak miałam dać sobie radę bez męża? Najgorsze było to, że za nim tęskniłam. Nie za tym Yves'em z ostatnich miesięcy, naturalnie, który się zmienił i wydawał mi bezsensowne rozkazy, przerażał mnie i krzywdził, lecz za człowiekiem, w którym się zakochałam i o którym mimo wszystko nie potrafiłam zapomnieć.

## *Patyki i kamienie*

– Loïc z Questembert! Na rany Chrystusa, co robisz w La Salle? – zawołała Jeanne do mężczyzny, który machał do niej zza drogi.

Niski, potężny i muskularny, wyglądał tak, jakby wyrzeźbiono go z kamienia.

– Pracuję dla braci Calaix w Vanne, Mémé! – odkrzyknął. – Mam robotę przy starym domu Bleveneców.

– Lepiej miej na niego oko, Mitch – zwróciła się do mnie Jeanne, grożąc pięścią mężczyźnie, gdy szedł ku nam przez drogę. – Stary łotr z niego.

– Nie miałbym śmiałości nawalić, jak mi patrzysz na ręce, Mémé – odparł.

– Jeanne, ty chyba znasz wszystkich w Morbihanie – zauważyłam.

– Kto by tam nie znał Mémé. – Loïc pocałował ją dwa razy w oba policzki.

– Chodźcie na szklaneczkę cydru. O lepszym murarzu na budowie nie ma co marzyć, Mitch. – Jeanne klepnęła go w plecy. – Jesteś w dobrych rękach.

Jak obiecali bracia Calaix, teraz mieliśmy hydraulików, cieśli i murarzy, którzy potrafili docenić stare kamienne budynki. Trzeba było położyć podłogi, wznieść ściany, naprawić dachy, rozplanować drzwi i okna, a to wszystko przy zachowaniu tradycji i spójności architektonicznej starego bretońskiego gospodarstwa. W głównym domu postanowiłam urządzić salon oraz kuchnię. Siedem metrów dalej skupisko budynków dawniej służących za oborę, chlew i mleczarnię miało zostać przekształcone w nasze sypialnie. W pogodny dzień odległość nie stanowiła problemu, ale zimą, podczas mrozów, przy wietrze i deszczu, byłybyśmy mokre i zziębnięte od przechodzenia z jednej części domu do drugiej.

Pewnego ranka podsłuchałam, jak Roger opowiada o ruinach starego, opuszczonego *château* na zboczu wzgórza przy drodze do Redonu.

– Chodzi ci o te stare kamienne ruiny? – spytałam.

– *Dame*, tak. Na zboczu jest ich od metra.

– Myślisz, że ludziom wolno je wywozić?

– Będzie dwadzieścia, trzydzieści lat, kiedy tak czekają tam jak kaczki na ustrzelenie. Niby czemu nie?

Narysowałam szkic dwóch budynków mieszkalnych oddzielonych pustą przestrzenią.

– Jak myślisz, Roger, wystarczy kamieni, żeby zbudować między tymi budynkami łącznik?

– Tyle łączników, ile dusza zapagnie. Pogadam z Fernandem z Kerlomen, żeby nas tam zabrał swoim traktorem.

Godzinę później Roger, Marcel, Jeanne i ja wdrapaliśmy się na przyczepę ciągnika Fernanda i dotelepaliliśmy na wzgórze, do pozostałości *château*. Kamienie były dosłownie wszędzie. Niektóre, zakopane w ziemi, ledwie dało się zauważyć, inne sterczały z ziemi i rumowiska, a jeszcze inne leżały całkiem odkryte. Jakby witając nas z otwartymi ramionami, pośrodku kamieniska stały podparte przepiękne, rzeźbione obramowania do dwóch kominków. Obok nich dostrzegłam kamienie, które nadawałyby się na boki palenisk. Przenieśliśmy to wszystko na polankę w centralnej części rumowiska, by dopasowywać kamienie niczym dzieci bawiące się ogromną, trójwymiarową układanką. Jeanne okazała się urodzonym kopaczem. Pomimo podeszłego wieku zwinnie wskakiwała na każdą stertę głazów. W czarnej, falującej na wietrze spódnicy wyglądała niczym mityczna kapłanka.

– Chodźcie! – krzyczała, unosząc ręce. – Chodźcie no wszyscy. Patrzcie, co znalazłam!

Później tego poranka widziałam, jak podnosi wielki kamień i pobiegłam jej pomóc.

– Patrz no, Mitch – powiedziała. – Ten tu jest krągły, jakby się odłupał od koła.

Pokopałyśmy trochę i udało się nam wydobyć jeszcze dwa kamienie, które pasowały do siebie i tworzyły łuk.

– Jesteś aniołem! – Wyściskałam ją. – To będzie sklepienie nad naszymi nowymi drzwiami od frontu.

Przez resztę dnia przetrząsaliśmy rumowisko. Za każdym razem, gdy przyczepa traktora była pełna, jechaliśmy do La Salle, by przerzucić łupy na podwórze. Robotnicy od braci Calaix pomagali nam rozładować cenną zdobycz i traktor wracał po więcej. Do zmierzchu udało się nam zebrać tyle kamieni, żeby wystarczyło na budowę łącznika między budynkami. Loïc i ja zdecydowaliśmy, że dobudówka będzie pełniła funkcję wejścia, z frontowymi drzwiami wychodzącymi na podwórze i tylnymi na las. Zgromadziliśmy kamienie na dwa kominki oraz na zastąpienie brzydkich betonowych płyt wokół drzwi i okien. Kamieni było tyle, że dałoby się odnowić całą fasadę budynku.



Krzewy forsycji zaczynały już kwitnąć, co oznaczało nadejście przedwiośnia, a prace w głównym domu, przerwane na czas zimy, znów ruszyły. Robotnicy precyzyjnie i starannie układali duże kwadratowe płytki koloru rdzy. Murarze pobieżnie otynkowali ściany, by przygotować je do ostatecznego wykończenia. Spodobał mi się ten rustykalny, niedopracowany wygląd, więc poprosiłam, by tak zostało. Cieśle skrobali, czyścili i szlifowali drewniane krokwie, pokryte wielowiekową warstwą dymu i brudu, a malarze tynkowali i malowali na biało poczerńiałe od sadzy przestrzenie między belkami. Przez wydrążone w metrowych ścianach okna po obu stronach kominka do niegdyś ponurego domu wpadało słońce.

Instalowałam udogodnienia, które dawniej wydawały mi się oczywiste. Moim zdaniem zaspokajały podstawowe potrzeby w życiu, jednak w tutejszych gospodarstwach i osadach, podobnie jak w wielu innych częściach kuli ziemskiej, były kompletnie nieznane. Centralne ogrzewanie, łazienka z wanną i prysznicem, ubikacja w domu, aluminiowy zlew z ciepłą i zimną bieżącą wodą – to wszystko podkreślało przepaść między warunkami, w jakich dorastałam, a tymi, w jakich żyli moi obecni sąsiedzi. Jeanne przez całe życie rąbała drewno i rozpaliała ogień, żeby się ogrzać. Do niedawna nie miała ani bieżącej wody, ani elektryczności w domu, a i wiele innych gospodarstw w regionie musiało się obejść bez jednego i drugiego. Jej wygodka stała wiele metrów od domu, a jednak Jeanne bez cienia zazdrości podziwiała wszystko, co montowałam w domu.

– Mitch, *que c'est beau!* – mówiła, przejeżdżając dłonią po niebiesko-białym, ceramicznym blacie w kuchni, a kiedy pokazałam jej lodówkę z zamrażalnikiem na górze, wykrzyknęła: – Ojej, tu by mógł zamrozić pół prosiaka i warzywa na cały rok jedzenia!

Jeanne po zabiciu jednego ze swoich zwierząt peklowała lub wędziła mięso, żeby się nie zepsuło, a pod koniec lata, kiedy większość owoców i warzyw dojrzewała jednocześnie, robiła przetwory i dżemy na całą zimę. Mimo to mnóstwo się marnowało. Jakiś czas temu kupiłam jej bojler gazowy do kuchni, żeby nie musiała dźwigać ciężkiego żeliwnego kociołka i stawiać go na kracie nad paleniskiem. Postanowiłam jak najszybciej kupić jej zamrażarkę, i to ogromną, gdzie będzie mogła zamrozić sobie całą świnię, jeśli zechce.

Kiedy domy zaczęły nabierać konkretnych kształtów, Jeanne pomogła mi zdecydować, gdzie postawić kredens, gdzie powinny trafić stoły oraz ławy i ile drewnianych skrzyń potrzebuję. Dzięki Jeanowi Bonbonowi, naszemu obwoźnemu sprzedawcy, a także pogawędkom z ludźmi z innych wiosek, którzy pojawiali się na niedzielnych mszach, zawsze wiedziała, kiedy któryś z okolicznych mieszkańców

wyprzedaje dobytek. Chodziła ze mną na aukcje, gdzie poza sprzętem rolniczym chłopi chętnie pozbywali się starych drewnianych stołów, rzeźbionych szafek, a także drewnianych skrzyń, by zastąpić je nowoczesnymi meblami z plastiku i laminatu.

– Nie potrafię zrozumieć, jak mogą się rozstawać z tymi pięknymi przedmiotami – powiedziałam do Jeanne na jednej z aukcji. – Przecież są nie do zastąpienia. W paryskich antykwariatach kosztują krocie.

– Nie tak głośno – odparła scenicznym szeptem i szturchnęła mnie łokciem. – Przez ciebie podwyższą ceny.

Do kuchni wybrałyśmy długi drewniany stół, pełen rys i zadrapań, który przez całe wieki służył w klasztorze. Za niewielkie pieniądze nabyłyśmy drewniane ławy, wymyślnie rzeźbiony kredens z lśniącego jasnego dębu, przeznaczony do przechowywania naczyń i ściereczek, a także trzy duże, solidne drewniane skrzynie, w których miał się pomieścić mój dobytek. Ozdobione rzeźbionymi inicjałami i z gruba ciosanymi wzorami, powstały setki lat temu jako kufry posagowe i służyły do przechowywania pościeli oraz marzeń panien młodych, które wyczekiwały niepewnej przyszłości.

Metr kwadratowy za metrem, ja, Jeanne i Marcel sprzątaliśmy podwórze. Raz za razem ładowaliśmy do kartonów oraz na taczki rozmaite śmieci i gruzy, które zebrały się przez całe dziesięciolecia. Trafiły do rowu wykopanego przez robotników głęboko w lesie, za pracownią Yves'a. Zamówiłam kilka ciężarówek świeżego żwiru na podwórze oraz ziemi, by zasadzić kwiaty wokół nowego wejścia. Wraz z Jeanne ostrożnie przekierowałam starą, pachnącą glicynię, która wspinała się po budynku, dzięki czemu ułożyła się we wdzięczny łuk nad frontowymi drzwiami. Naokoło wejścia znajdowało się teraz obramowanie z kamieni, które Jeanne znalazła wśród ruin *château*. Za głównym domem, tam gdzie *madame* Le Blevenec uprawiała kwiatowy ogródek, zasadziłam swoje ulubione kwiaty, dalie i peonie, które wymieszały się z jej bzami oraz krzewami róży. By przestrzeń mieszkalna powiększyła się o podwórze, Loïc pomógł mi wybudować kamienny taras, gdzie miały stanąć stół, krzesła i grill w stylu kalifornijskim. Na samym końcu ogrodu, blisko lasu, rosły trzy jabłonie. Nie chcąc urazić uczuć mieszkańców wioski, którzy chodzili okryci od stóp do głów nawet podczas letnich upałów, narzucałam na bikini męską koszulę do kolan. Jabłonie tworzyły jednak odosobniony zakątek, gdzie mogłam opalać się nago i delektować powiewem ciepłej bryzy. Wczesnym porankiem, nim promienie słońca przebiły się przez mgłę, uprawiałam jogę, siadując w pozycji lotosu na skraju ogrodu, pod starą brzoskwinia, której powyginane gałęzie

wyciągały się do morza niczym ręce starej tancerki, zamarłej w finałowej, triumfalnej arabesce.

Główny dom i sypialnie wreszcie zostały ukończone. Choć smuciło mnie, że Yves nie towarzyszy nam podczas długo oczekiwanych przenosin, wraz z Danielle przygotowałam się na słodko--gorzką przeprowadzkę do nowego lokum. Wrzuciwszy nasze ubrania, pościel, garnki i patelnie na taczkę, radośnie popchnęłyśmy ją przez podwórze do utęsknionego domu.

\*

Dwa tygodnie po naszej przeprowadzce do głównego domu Yves przyjechał z wizytą. Ponowne odwiedziny w osadzie, którą odkrył i pokochał od samego początku, musiały być dla niego bolesne. Danielle podbiegła do ojca, uściskała go i ucałowała. Na początek zaciągnęła go do swojego pokoju, a potem oprowadziła po pozostałych domach, nie puszczając jego ręki. Bardzo za nim tęskniła, ja również – wbrew zdrowemu rozsądkowi. Czas i odległość zatarły pełne goryczy wspomnienia, a w pustkę po rozstaniu wkradły się smutne iluzje, kusząc mnie, bym odrzuciła logikę. „Miłość nie znika bez śladu”, wmawiał mi wewnętrzny głos. „Danielle potrzebuje ojca. Byliście dla siebie stworzeni. W końcu tylko przez swoją chorobę zachowywał się tak, jak się zachowywał, chodziło o jego niestabilną osobowość, o której mówił lekarz. Teraz wydaje się spokojny, może się leczy. Może bierze lekarstwa. Gdyby tylko przyjmował lekarstwa! Przynajmniej daj mu szansę. A jeśli uda się cofnąć czas i wszystko będzie tak jak na początku?”

Po kolacji, którą przygotowałyśmy z wielką pieczołowitością, Danielle wdrapała się na kolana Yves'a. To, że siedział u szczytu stołu, wydawało się zupełnie naturalne.

– Zostaniesz z nami? – spytała Danielle niespokojnie, na co Yves się uśmiechnął i pocałował ją w czoło.

Poszliśmy naprzeciwko na kawę i ciasto. U Jeanne panowała odświeżona atmosfera.

– Yves, a pamiętasz, jak Mitch się uparła przy wielkim wykuszowym oknie w łazience? – spytał Marcel. – Teraz jest takie wielgachne, że cała wioska będzie miała uciechę!

– Przecież nikt nie korzysta z tej ścieżki – zaprotestowałam, rumieniąc się z zakłopotania.

– Teraz będą, *dame* – odparł Marcel.

– *Mon vieux*, jak cię złapię na tej ścieżce, to cię obedrę ze skóry i ugotuję na niej następne *pot au feu*! – zapowiedziała Jeanne.

Roześmialiśmy się wszyscy.

– Mitch naprawdę się natyrała przy tych domach, jak cię nie było – zauważył Marcel.

– Zawsze dobrze sobie z tym radziła – przyznał Yves.

– Pokazuje tutejszym, jak rychtować stare domy, żeby wyglądały jak nowe. Jak postawi na swoim, ten dziad Dorso i jego buldożer będą musieli poszukać innej roboty. – Marcel ponownie napełnił nasze szklanki cydrem. – Zostajesz na wsi, Yves?

– Jeszcze nie. Mam za dużo pracy w Paryżu. – Popatrzył na mnie. – Poza tym to teraz twój dom. Tego zawsze chciałaś, prawda?

Atmosfera natychmiast się ochłodziła. Co go podkusiło? Przecież to on odkrył La Salle. Osada stała się wspólna dużo później, kiedy i ja nauczyłam się ją kochać.

Po deklaracji Yves'a nasza rozmowa wydawała się wymuszona i stanowiła ponury kontrast z zachowaniem Jeanne i Marcela. Wszystko, co do siebie mówili, było pełne ciepła i humoru. Żartobliwe połajanki tylko podkreślały ich miłość. Wiedzieli, co myśli to drugie, zanim cokolwiek zostało powiedziane. Ze mną i z Yves'em było kiedyś podobnie. Nie mogliśmy się doczekać, aż zostaniemy sami, i posługiwaliśmy się własnym językiem, niezrozumiałym dla innych. Wbrew sobie, wbrew temu wszystkiemu, co się stało, wspomnienie tamtych uczuć wciąż we mnie żyło.

Po powrocie do domu położyliśmy Danielle spać. Księżyc był w pełni i świecił tak intensywnie, jakby nas kusił, byśmy rozkoszowali się jego blaskiem.

– Chodźmy na spacer po lesie – zaproponował Yves.

Wziął mnie pod rękę i ruszyliśmy przed siebie. Ile razy wędrowałam wśród drzew, zastanawiając się, czy Yves jeszcze kiedykolwiek będzie mi towarzyszył. Moje serce zaczęło szybciej bić.

– Dobrze jest wrócić – powiedział po dłuższej chwili. – Tęskniłem za La Salle i za Danielle. – Umilkł, po czym dodał: – Ciebie również mi brakowało.

Noc była bardzo łagodna, a sosny pachniały wręcz upojnie.

– Miałaś rację co do Jeanne – ciągnął. – Od razu widać, że jesteście sobie naprawdę bliskie.

– Nazywa mnie córką, której nigdy nie miała. Bardzo się cieszę, że mieszka naprzeciwno.

Gra księżycowego blasku i cieni wśród drzew zachęciła nas do dalszej wędrówki.

– Dlaczego wydawałaś się taka zdumiona, kiedy powiedziałem, że La Salle to teraz twój dom? – spytał.

– Wydawałam się zdumiona?

– Pewnie, że tak. Wszyscy to zauważyli.

– Bo to nigdy nie był mój dom. Zawsze był nasz.

– Dlaczego zaprzeczasz moim słowom?

– Wcale nie, ja tylko...

– No proszę, jak zawsze. Mała burzujka musi postawić na swoim. Nigdy się nie zmienisz. – W jego głosie brzmiała irytacja.

Złapał mnie za rękę, a ja poczułam przerażenie. Chyba upadłam na głowę, idąc na spacer do lasu w towarzystwie mężczyzny, który w każdej chwili mógł się stać niebezpieczny.

– Wracam, Yves – powiedziałam jak najspokojniej. – Zrobiło się późno. Jestem zmęczona.

Jego oczy zabłyśły i gwałtownie odwrócił mnie ku sobie.

– Wrócimy, kiedy ja będę tego chciał – wycedził. – Nauczysz się wreszcie mnie słuchać.

– W porządku, ale proszę, wracajmy już. Nie lubię, kiedy Danielle zostaje sama po zmroku.

Bez słowa zawróciliśmy.

Yves uparł się, że tej nocy będzie spał w moim łóżku, lecz nawet się nie dotknęliśmy. Godzinami leżałam bezsennie, boleśnie świadoma pustej ciemności, która nas dzieliła. Gdy w końcu zasnęłam, śniło mi się, że Yves stoi daleko w otchłani. Wołałam do niego, ale nie rozlegał się żaden dźwięk. Dookoła szalała powódź, rzucając nasze ciała ku sobie i je rozdzielając, a to wszystko działo się w niepokojącej ciszy. Przez cały czas bezgłośnie krzyczałam. Kiedy, złana potem, wreszcie się przebudziłam, leżałam nieruchomo, a w mojej głowie galopowało tysiące myśli, jedna bardziej bolesna od drugiej. Tęskniłam za czułością i miłością, które nas kiedyś łączyły, ale wiedziałam, że odeszły na zawsze.

Rankiem Yves ucałował Danielle na pożegnanie i odjechał.

\*

Namalowany przez Yves'a grubym impastem i zawieszony w kuchni przejmujący wizerunek sowy, będącej częściowo ptakiem, a częściowo korą drzewa, na którym siedziała, zdawał się wpatrywać płonącymi oczami w świat dookoła siebie. Po drugiej stronie pomieszczenia ciemna i niepokojąca wrona wbijała wzrok w przestrzeń na stole, przy którym jadłyśmy. Melancholijny obraz przedstawiający samotną sylwetkę, opartą o olbrzymi pień, wisiał na ścianie w małej sypialni. Od samego początku kochałam obrazy Yves'a i pragnęłam się nimi otaczać, jednak w dniu jego wyjazdu pozdejmowałam je wszystkie. W miejscu samotnej sylwetki w sypialni powiesiłam

jeden ze swoich olejnych pejzaży, cały w błękitach, oliwkowej zieleni i żółciach migoczących ponad wzgórzami oraz trawiastymi łąkami. Dwa pełne przestrzeni i słońca morskie krajobrazy wysiedliły sowę i wronę. Po wbiciu haków w ścianę i poprawieniu obrazów cofnęłam się i dotarło do mnie, że atmosfera w domu zupełnie się zmieniła. Jednym posunięciem wyplątałam się z wizji Yves'a i odzyskałam własne. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, że usuwając jego dzieła, przypieczętowałam koniec naszego małżeństwa.

\*

Po raz pierwszy od lat malowałam codziennie. Budziłam się o świcie razem z innymi mieszkańcami wsi i pośpiesznie brałam się do pracy, nim bezczelne słońce zdążyło nakreślić wyraźny kontrast między światłem a cieniem, rzeźbiąc ostre zarysy drzew, wzgórz i horyzontu. Latem upał był tak intensywny, że wręcz czułam ogień na plecach. Skwar wysysał wilgoć z papieru, przez co trudno było mi pracować z przezroczystymi, płynnymi akwarelami. Jednak kiedy było chłodno lub w powietrzu wisały mgła i wilgoć, udawało mi się wymieszać jasność porannej mgły i wschodzącego słońca. Kładłam kolor na kolor, żeby przypominały temat w fudze, który zanika, gdy rozpoczyna się inny, początkowo cicho, potem stopniowo utrwała się na pierwszym planie, wycofuje i powtarza, za każdym razem nieco inaczej, tworząc skomplikowaną, przejmującą muzykę. Malowanie zawsze sprawiało mi nieopisaną przyjemność i choć tworzenie w sekrecie było bolesne, pozostawało moją ukrytą radością. Odkąd zostawiłam Yves'a w Paryżu i powróciłam do La Salle, a zwłaszcza odkąd usunęłam jego obrazy ze ściany i zastąpiłam je własnymi, wszystkie moje lęki i ograniczenia przeszłości zniknęły. Wiedziałam, że już nikt nigdy nie będzie mi dyktował, co wolno mi malować, a czego nie wolno. Nigdy nie będę malowała w ukryciu ani na małych płótnach, żeby można było je schować. Nie będę się modliła o jak najszybsze wyschnięcie farby, aby czym prędzej wepchnąć obraz za kurnik lub pod taczki. Nie będę się bała schwywania na gorącym uczynku, nie będę się bała niczego. Niby zwierzę, które uciekło z klatki, wyrwałam się na wolność, gdzie mogłam być sobą. Dzika i wolna, mogłam malować obrazy tak duże, jak chciałam, i zostawiać je, gdzie chciałam, odkryte, żeby cały świat na nie patrzył. Popołudniami malowałam oleje na wielkich płótnach. O poranku pracowałam z moimi ukochanymi akwarelami, czując się częścią wschodu słońca, częścią wszechświata, a także przyrody. Byłam w euforii. W takich chwilach mogłabym malować przez całą wieczność.

– Co prawda, to prawda, Mitch. Masz smykałkę do malowania na papierze tego, co tam akurat widzisz – rzekła Jeanne, kiedy pokazałam jej szmaragdowo-rdzawy morski pejzaż namalowany tego ranka nad zatoką podczas odpływu.

– Chciałabyś go mieć?

– *Dame, oui.* Dobrze by wyglądał nad stołem w kuchni. Ile bym musiała zapłacić?

– Umówmy się tak: każę go oprawić w Vannes i jeśli nadal będzie ci się podobał, wymienię go na worek ziemniaków.

– Dam dwa worki ziemniaków i koszyk szalotek.

Uderzyła pięścią w stół, a potem uścisnęłyśmy sobie dłonie i przytuliłyśmy się, żeby dobić targu.

Widok moich obrazów w domach innych ludzi zawsze sprawiał mi przyjemność, ale niczego nie dało się porównać z radością, którą czułam, gdy mój pejzaż zawisł nad zniszczonym drewnianym stołem w kuchni Jeanne, obok starej sepiowej fotografii ślubnej jej i Luca Diquero.

*Nocna wizyta*

Był cichy wiosenny wieczór i tylko przypominający stłumione westchnienie powiew wietrzyka od czasu do czasu zakłócał panujący na podwórzu spokój. Danielle i ja całkiem się skupiliśmy na rysowaniu obrazka i wymyślaniu do niego historyjki, kiedy nagle na zewnątrz dało się słyszeć jakieś zamieszanie. Uchyliłam drzwi i ze zdumieniem ujrzałam parobka Erica, który szedł zygzakiem w moją stronę. Uśmiechnął się jak halloweenowa dynia ze świeczką w środku i wymamrotał coś, czego nie zrozumiałam.

– Eric, co ty tu robisz o tej porze? Wiesz, która godzina?

– Pewno, sznowna pań. Szpóźno. – Bełkotał gorzej niż zwykle. Był bardzo pijany.

– Tak, jest już późno, więc idź do domu. Dam ci znać, kiedy będę cię potrzebowała.

– N, al... przyszedłem zez kumplmi, coby... zez wyzytom.

– Z kumplami?

Nagle się odwrócił i wrzasnął ochryple do kilku ledwie widocznych, niewyraźnych kształtów. Niczym upiorne zjawy materializujące się z niebytu w półmroku zamajaczyły dwie sylwetki. Zamachały rękami i przeszły chwiejnym krokiem przez podwórze, prosto do domu.

– Co wy za jedni? Idźcie do domu, wszyscy, i to już!

Wycofałam się i zatrzasnęłam drzwi. Danielle stała obok mnie.

– Nic się nie martw, skarbie – powiedziałam do niej, oddychając powoli i głęboko. Musiałam zachować spokój.

Coraz głośniejsze wrzaski, tupanie, krzyki i walenie w drzwi przywodziły na myśl sceny ze starych westernów, w których żądni krwi Indianie otaczają dom zrozpaczonej pionierki, zabarykadowanej w środku z dzieckiem i dzielnie próbującej odeprzeć atak nacierających dzikusów. Wolałam nie przypominać sobie, po co chcieli się wdrzeć. Przeklinając się w duchu za to, że nie zamontowałam w drzwiach i oknach solidnych zamków i zasuw, które powstrzymałyby tych pijaków, całym ciężarem ciała oparłam się o drzwi. Ku mojemu przerażeniu i tak się otworzyły, a wtedy trzy nietrzeźwe straszdyła wtoczyły się do wnętrza.



– Wynoście się stąd w tej chwili! – rozkazałam najbardziej władczym tonem, na jaki mogłam się zdobyć.

Przeszli obok mnie, jakbym nie istniała, i wparowali prosto do kuchni. Popatrzyłam na Danielle, żeby dodać jej otuchy, i ujrzałam, że też się niepokoi.

– Ej! Gaston! Cedrick! *Venez ici*. Chodźta n tu się przwitać zez pañmi! – ryknął Eric bełkotliwie i się zachwiał.

Wszyscy trzej zaczęli szeptać ochryple między sobą i ruszyli w naszym kierunku, potykając się, kołyszając głowami i wymachując rękami niczym w koszmarnym tańcu.

Wstrzymałam oddech i odwróciłam się w poszukiwaniu nieistniejącej strzelby, kija do baseballa, czegokolwiek, czym mogłabym ochronić moje dziecko, moje domowe ognisko, moją własność. Nie znalazłam nic. Miałam tylko pięści. Gołe pięści, by pokonać bandę pijanych oprychów. Mój Boże.

Nagle w wejściu dał się słyszeć głośny łomot. Danielle i ja, a także trzej nieproszeni goście zrobiliśmy jednocześnie zwrot w tył i jak zahipnotyzowani wpatrywaliśmy się w sylwetkę Jeanne Montrelay na progu.

– *Merde!* – wrzasnęła ile sił w płucach, wymachując widłami. To słowo odbiło się echem od ścian. – Wy cholerne, durne sukinsyny! Eric! Cedrick! Gaston! Co, u licha, robicie tak późno w La Salle?

– Edna chwylunia, Me... Mémé – wyjąkał Eric i schował się za krzesło. – Ylko bez nerw. Chciał, coby moje kumple się zapoznały zez kasztlenenakom wew... Lasal.

– Ty pijany sukinkocie. Bierz zadek w troki i wynocha stąd, razem z kompanami od flaszki! – Wpadła do środka i wycelowała lśniącoymi zębami wideł w całą trójkę. Intruzi kryli się za krzesłem i stołem, drżąc i patrząc na Jeanne tak, jakby sam Lucyfer wyłonił się z czeluści piekielnej. – A jak jeszcze raz zobaczę, że któryś przyłazi tu pijany jak bela, przysięgam, że nadzieję go na widły. Na Boga, zacznę od teraz!

Skoczyła ku nim, wywrzaskując w gallo coś, co brzmiało jak strumień przekleństw. Niczym przerażone mały czmychnęli nad i pod stołem, zatoczyli się obok Danielle i mnie, a na koniec pognali do wyjścia, pełzając i biegnąc, by zniknąć w mroku. Jeanne zatrasnęła drzwi i wróciła do środka. Przez chwilę wpatrywałyśmy się w siebie bez ruchu, po czym nagle skrećilo nas ze śmiechu. Trwał tak długo, aż w naszych oczach pojawiły się łzy.

– Kochana Jeanne – westchnęłam. – Tak bardzo się bałam. Nigdy w życiu nie cieszyłam się tak na czyjś widok.

– Widziałam, jak się przywlekli na twoje podwórze. Byłabym wcześniej, ale musiałam wyciągnąć widły z obory. – Potrząsnęła nimi dla podkreślenia swoich słów i znów wybuchnęłyśmy śmiechem. – Chcieli tylko zobaczyć kasztelanę.

– Kogo?

– Tak cię tu wołają, Mitch. Kasztelanka z La Salle.

– Mamusiu, co to kasztelanka?

– Pani na włościach, skarbietko. – Otarłam łzy z oczu. – W życiu nie słyszałam nic śmieszniejszego. Ale nie mogę pozwolić, żeby Eric jeszcze kiedykolwiek wrócił tu do pracy.

– Jasne, że możesz, Mitch. On szybko nie zapomni o tym wieczorze. Nie martw się nim ani jego kompanami.

– A ja się nie bałam – oświadczyła Danielle roztropnie. – Eric jest miły.

– Masz rację, *ma petite* – powiedziała Jeanne. – Wszyscy oni są mili i spokojni, ale nie mogą pić i hulać. Nie bój się, na pewno nie wrócą.

Danielle wskoczyła na kolana Jeanne i tak siedziałyśmy przy stole, śmiejąc się i opowiadając historyjki jeszcze długo po tym, jak nadszedł czas na spanie.

\*

– Słyszałam, że miałaś wczoraj gości – rzekła Thérèse następnego popołudnia. – Przyniosłam ci szczeniaka, którego nie chcieliśmy usypiać. Wyrośnie na psa stróżującego. Trzeba wam ochrony, Mitch.

W dłoni trzymała puchatego białego szczeniaczka z czarnymi plamkami. Było to najmniej groźne stworzenie, jakie kiedykolwiek widziałam.

– Chętnie weźmiemy pieska, prawda, Danielle?

– Jak ma na imię?

– Za mały jest, nie ma jeszcze imienia – odparła Thérèse.

– A odstraszy niedobrych ludzi?

– Będzie szczekał na nieznanomych – wyjaśniła Thérèse.

Popatrzyłyśmy na pieska, który usłużnie zaszczekał najgłośniejszym głosem, jak zdołał. Nazwałyśmy go Pierrot i natychmiast stał się częścią naszej rodziny.

– Jak mam ci dziękować, Thérèse?

– Nic mi nie jesteś winna, Mitch. Ty i Danielle nie powinnyście być same w gospodarstwie.

Ucałowałyśmy się w policzki, po czym Thérèse pożegnała się i poszła z powrotem na drugą stronę drogi.

## *Pomocna dłoń*

Samochody rzadko wjeżdżały na nasze podwórze, kiedy jednak tak się działo, Pierrot robił, co w jego mocy, by wypełnić obowiązki naszego stróża. Tego ranka w La Salle zjawiły się trzy ponure, korpulentne panie. Pierrot najeżył się, wypadł przed dom, przez dwie sekundy dziko szczeakał, a następnie powitał je radośnie. Nigdy wcześniej nie widziałam tych kobiet, więc też wyszłam z domu się przywitać.

– Bardzo nam przyjemnie, *madame* Drumont – powiedziała jedna z nich, po czym wysiadła z auta i wyciągnęła ku mnie dłoń w rękawiczce.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzamy, *chère madame* – zatrajkotała druga głosem ociekającym sztuczną słodyczą.

Trzecia, najbardziej okazała z nich, przedstawiła się jako *madame* Loèst.

– Przyjechałyśmy porozmawiać z panią o ważnej sprawie – oznajmiła jak ktoś, kto przywykł do kontrolowania sytuacji.

Co, na Boga, sprowadziło do La Salle te wystrojone stworzenia w rękawiczkach i kapeluszach? Przyszło mi do głowy, że być może są komitetem powitalnym, tylko nie wiedziałam skąd, no i nie byłam tu nowa. Może reprezentowały jedną z instytucji charytatywnych i pragnęły, żebym wsparła ich dobre uczynki? Nie mając pojęcia, co powiedzieć, zaproponowałam im herbatę.

– Doskonały pomysł – pochwaliła mnie *madame* Loèst i ruszyła ku domowi.

– Najpierw jednak chciałabym znać powód pań wizyty. – Stałam jej na drodze.

– Dziecko jest w szkole? – zapytała jedna z nich cicho, rozglądając się nerwowo.

– Tak.

– W szkole w Sulniac z dziećmi Cyganów, *n'est-ce pas?* – wtrąciła ta z przesłodżonym głosem i odsłoniła w uśmiechu drobne, ostre jak u krokodyla zęby.

– Moja córka chodzi do bardzo dobrej szkoły w Sulniac – odparłam stanowczo.

Straciłam ochotę na częstowanie ich herbatą.

– *Chère madame* – powiedziała *madame* Loèst. – Przejdę do rzeczy, za pozwoleniem. Może pani być pewna, że zjawiłyśmy się tutaj w najlepiej pojętym interesie pani i, naturalnie, dziewczynki. Zaraz wszystko wytłumaczę. Jesteśmy członkiniami komitetu z kościoła pod wezwaniem Świętej Teresy i Świętego

Antoniego w Vannes. – Uśmiechnęła się błogo, lecz jej obwisłe policzki nawet nie drgnęły. – Nasz komitet zajmuje się pomaganiem rodzinom w potrzebie.

– W potrzebie czego? – Byłam coraz bardziej wrogo nastawiona.

– *Madame* Drumont – odezwała się następna. – Wielokrotnie udowodniono, że dziecko w tak młodym wieku jak pani córka... Ma pięć lat, *n'est-ce pas*? Musi zostać wychowywane przez oboje rodziców, by cieszyć się zdrowym dzieciństwem. Inaczej rezultaty mogą być tragiczne. *Tragique!*

– To nie przesada – wtrąciła ta z ostrymi zębami. – Nie twierdzimy, że nie robi pani, co w jej mocy, *ma pauvre madame* Drumont. *Mon Dieu!* Boże uchowaj. Jest jednak doskonale udokumentowane, że samotna kobieta ma duże problemy z wychowywaniem dziecka.

– Co panie sugerują?

– *Alors...* – *Madame* Loèst uśmiechnęła się radośnie. Przebieg spotkania najwyraźniej dodał jej wigoru. – Jesteśmy gotowe umieścić pani dziecko w kochającej, bogobojnej rodzinie, gdzie będzie miało zarówno matkę, jak i ojca. Być może nie rozważała pani tego aż do teraz, *madame* Drumont, ale raz jeszcze zapewniamy, że niesiemy pomoc. Nigdy nie jest za późno, by zagwarantować dziecku szczęśliwą przyszłość, a co ważniejsze, i to musi zostać powiedziane, ocalić jego duszę.

– To, co panie sugerują, jest wykluczone. – Staralam się mówić jak najspokojniej. – Przyszłość i dusza mojej córki nie potrzebują pomocy, ani teraz, ani kiedykolwiek!

– Ależ *madame* Dru... – zaczęła jedna z nich.

– Rozumie pani, *madame* Drumont, że zjawiliśmy się tylko ze względu na dobro dziewczynki! – zawołała za mną któraś, gdy weszłam do domu i zatrzasnęłam za sobą drzwi.

Mój Boże. Kto napuścił na mnie te trzy megierzy? Yves nigdy by tego nie zrobił, podobnie jak nikt z mieszkańców wioski. Poprzysięgłam sobie, że jeśli znajdę winowajcę, to go uduszę. Jak te baby śmiały tu przyjść i sugerować coś takiego? Zabrać mi Danielle, tak jak zabiera się cielaka krowie? Próbowałam skupić się na czymś, co pomoże mi o tym zapomnieć. Zmyłam naczynia, wyszorowałam podłogę, rozwiesiłam pranie, jednak twarze pań z komitetu nieustannie stawały mi przed oczyma. Co gorsza, ogarnęły mnie wątpliwości. Czy w ich słowach nie kryło się ziarno prawdy? Oczywiście, że nasza separacja odbiła się na Danielle i że strasznie brakowało jej taty. Faktycznie, nie mogłam być jednocześnie i matką, i ojcem. Ale jeśli byłam dobrą matką, a ona czuła się bezpieczna, do tego była zdrowym

i szczęśliwym dzieckiem – czy to nie wystarczyło? Czy istniało niebezpieczeństwo, że trzy wiedźmy wrócą i odbiorą mi córkę? Zadrżałam, próbując wymazać je z pamięci, nie było to jednak możliwe. Teraz stanowiły fragment koszmaru, o którym nie da się zapomnieć.

Cicha i strzeżona przez niezliczone kilometry lasów La Salle, podobnie jak wiele innych odizolowanych osad i wiosek na ziemi, stanowiła odrębny świat. Często zastanawiałam się, ile kobiet z takiego czy innego powodu żyje samotnie na wsiach i jak sobie z tym radzą. Odosobnienie czasem przynosiło ulgę i pociechę, dla mnie jednak bywało ciężarem. Po wizycie Yves'a nie mogłam dłużej się oszukiwać, że któregoś dnia znowu będziemy razem. Mieszkałam w odseparowanym gospodarstwie na francuskiej prowincji, jakie zatem miałam szanse poznać kogoś, na kim mogłoby mi zależeć i kto stałby się kochającym ojcem dla Danielle? Do La Salle przyjeżdżał czasem pewien obleśny siwy agent nieruchomości z Vannes, człowiek o ciele kraba. Raz, gdy siałam warzywa i wrywałam chwasty, zauważyłam, jak łypie na mnie zza krzaków forsycji za warzywnikiem. Kiedyś też podglądał mnie nagą zza krzewów okalających jabłonie. Był jeszcze żonaty i niepiśmienny elektryk, który nieoczekiwanie położył kościstą, włochatą łapę na moim kolanie, gdy jechaliśmy jego maleńkim autem po sprzęt w Theix.

Mimo to przywykłam do życia na wsi. Poznałam i pokochałam jej mieszkańców. Nie mogłabym mieć lepszej córki niż Danielle, a Jeanne stała się centralną częścią mojego życia. Popołudniami jednak, kiedy chłopci pracowali na roli, a Danielle była w szkole, boleśnie odczuwałam samotność. Nie dobiegały mnie żadne przyciszone głosy, nie pojawiał się żaden nieznajomy cień. Nawet gdybym wrzeszczała ile sił w płucach, nikt by mnie nie usłyszał. Byłam zupełnie sama. W takich chwilach samotność dopadała mnie niczym unoszące się i wylewające na plażę fale. Czasami, kiedy te uczucia mnie przytłaczały, chodziłam na długie spacerunki po sosnowym lesie, wodząc palcami po korze drzew i opierając się o ich pnie, by czerpać siły.

Szczególnie upodobałam sobie jedno drzewo, które odnalazłabym w lesie nawet z zamkniętymi oczami. Była to sosna pełna niezwykłego wdzięku, o mocnym pniu i potężnych, rozłożystych gałęziach, które zdawały się mnie przytulać. Obejmowałam jej pień rękami i przywierałam do kory, czując, jak wnikają we mnie pulsujące, życiowe siły sosny. Odniosłam wtedy wrażenie, że doświadczam intymnego kontaktu z żywą istotą. Na myśl o tym uśmiechnęłam się do siebie. Czyżbym czuła fizyczny pociąg do drzewa? Przysiadłam na pobliskim pieńku i wybuchnęłam śmiechem. Śmiałam się, zupełnie sama w lesie, z tego, jak absurdalne jest życie. Nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz uprawiałam seks. Może to drzewo postanowiło

podtrzymywać mnie na duchu, aż w moim życiu zjawi się coś albo ktoś, na przykład bardziej odpowiedni zalotnik, taki dawny Yves, który nigdy mnie nie skrzywdzi, obejmie i ochroni tak jak gałęzie mojej sosny. Dorastałam w wielkim mieście i zawsze byli przy mnie bliscy i przyjaciele. Nie znałam samotności, ale powoli uczyłam się z nią żyć. Była niczym nieustająca, nieokreślona tęsknota, towarzysząca mi, dokądkolwiek poszłam. Nie opuszczała mnie nawet podczas walki z chwastami czy przy okazji sadzenia ziemniaków. To tajemnicze, niewypowiedziane i bezimienne pragnienie musiało dręczyć również Jeanne, gdy Luc był jeńcem wojennym i później, po jego śmierci. Tak samo cierpiało wiele innych kobiet, mieszkanek odosobnionych gospodarstw na całym świecie, od zarania dziejów.

## *Przerwany spokój*

– *Nom de Dieu!* – wymamrotał Marcel. Pokręcił głową i wbił łopatę w ziemię. – Czy ludzie nigdy nie przestaną się zabijać?

– Co się dzieje, Marcel? – Przechyliłam się przez płot.

– Dziś rano mówili o tym w radio, Mitch. Na Bliskim Wschodzie jest wojna.

– Naprawdę? A kto walczy?

– Arabowie i Izrael.

Nawet nie wiedziałam, że sytuacja stała się napięta. Wtedy właśnie przyszło mi do głowy, że żyję jak pustelnica.

Był czerwiec 1967 roku. Pojechałam do Vannes, gdzie kupiłam radio, a po powrocie do domu natychmiast nastawiłam wiadomości. Głęboki, pełen powagi głos spikera rozniósł się echem po kuchni:

*Le petit état d'Israël*, naród uważany przez świat za pokojowo usposobionych rolników, podczas sześciu krótkich i wstrząsających dni, na przekór wszelkiemu prawdopodobieństwu pokonał otaczających go wrogów. *Mesdames et messieurs*, wojna sześciodniowa na Bliskim Wschodzie właśnie się zakończyła!

Wojna sześciodniowa uświadomiła mi, jak bardzo odizolowałam się od wszystkiego. Być może w reakcji na rozstanie z Yves'em stopniowo otoczyłam się kokonem, całkiem jakby reszta świata nie istniała. To objawienie stanowiło dla mnie szok, ale sytuacja ta miała swoje dobre strony. La Salle była bezpieczną przystanią, moją kryjówką z dala od wszystkich potencjalnych niebezpieczeństw.

Jedno nie ulegało wątpliwości. Niezależnie od szaleństw i przemocy na świecie nie groził nam głód. Dookoła nas szczodre dary natury wyrastały jak grzyby po deszczu. Gdy po raz pierwszy wbiłam łopatę w ziemię i wydobyłam mały kopczyk gleby pełen złocistych samorodków, powszechnie znanych jako ziemniaki, pomyślałam, że właśnie doświadczam cudu.

– Tu się od nich roi! – wrzasnęłam do pustej wioski. – I są za darmo!

Uprawa własnych warzyw, przekopywanie ziemi, gleba za paznokciami i na dłoniach – to były dla mnie nowe, zachwycające doświadczenia. W Chicago nawet nie wyobrażałam sobie, że można żyć tak blisko natury. Mój ogród miał jednak własne plany. *Madame* Le Blevenec utrzymywała w nim nienaganny porządek, chyba wszystkie możliwe rośliny strączkowe rosły w równych rzędkach. W dniu, w którym przeniosła się w dół zbocza, ogród padł ofiarą armii chwastów, a ponieważ znajdował się przy samej drodze i był widoczny dla każdego, stanowił dla mnie źródło nieustannego wstydu.

Lato miało się ku końcowi i choć nie bardzo wiedziałam, jakim cudem, okazało się jednak, że moje wysiłki początkującej ogrodniczki zaczęły przynosić konkretne rezultaty. Delikatne pędy i łodygi wyrastały bez mojej interwencji, przez co często pytałam samą siebie: „Cóż to takiego?”, albo: „Naprawdę ja to zasadziłam?”. Wkrótce mogłam się pochwalić sporym wyborem warzyw rosnących zgodnie w coraz bardziej wolnej od chwastów ziemi. Nieco zmieszana, dodałam ogrodnictwo do listy moich najświeższych osiągnięć.

Pewnego dnia przeszłam przez jezdnię, aby powiedzieć Jeanne, że na kilka dni wyjeżdżam z Danielle nad zatokę Morbihan, i poprosić o opiekę nad Pierrotem. Zamieszkałyśmy w gospodzie, w której nasza trzyosobowa rodzina zatrzymała się pierwszej wiosny. Pływałam w zatoczce między łodziami, spacerowałyśmy po lasach i jadłyśmy kolację na tarasie z widokiem na niewielką przystań, tak jak cztery lata wcześniej z Yves'em. O dziwo, nie było mi smutno, że nie ma go z nami – ba, czułam się wręcz wyzwolona w towarzystwie samej Danielle. Następnego dnia jednak, gdy rozkładałam tubki akwareli oraz pędzle na tym samym chybotliwym molo, gdzie razem malowaliśmy zachody słońca, poczułam ukłucie tęsknoty. Szybko się opanowałam i zaczęłam malować, a potem, tak jak to się często zdarza w Bretanii, niebo bez ostrzeżenia pociemniało i pogoda się popsuła. Podmuch wiatru porwał z molo mój papier i rzucił go na wodę niczym cieniutki latawiec. Moje twórcze wysiłki utonęły w nieoczekiwanej ulewie. Przemknęło mi przez myśl, że w ten sposób Yves okazuje niezadowolenie z tego, że wróciłam do gospody tylko z córką.

Burza szalała wyłącznie nad zatoką. W głębi lądu chmury rozproszyły się niczym ulotne kłęby dymu, a naszym oczom ukazało się soczystoniebieskie niebo. Jadąc pod górę do La Salle, ujrzałyśmy znajomą sylwetkę w czerni, pochylającą się w naszym warzywniku.

– Jeanne! – zawołałam. – Co ty wyprawiasz?

Zaparkowałam auto przy ogrodzie.



– Mitch! Danielle! Co tu robicie tak prędko, na litość boską? – Podparła się łopata i wyprostowała, po czym założyła ręce na piersi. – Miałyście być nad zatoką. Miałyście wrócić dopiero pojutrze!

– Zmiana planów. A teraz, *ma chérie* Jeanne, mów, co robisz w naszym ogrodzie.

Danielle wspięła się na płot obok mnie. Jeanne wahała się przez chwilę, po czym przechyliła głowę, tak jak niektóre ptaki. Często tak robiła.

– Po prawdzie, Mitch, przechodziłam dzisiaj z rana i...

– Przechodziłam, akurat! Ależ byłam tępa! – Przewróciłam oczami. – To dlatego miliony chwastów znikają jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Dlatego te wszystkie małe zielone cosie kiełkują jak szalone. Nie pamiętam, żebym je wysiewała, ba, nawet nie wiem, co to takiego! To ty, ty włamywaczko! To ty wyrwasz nam chwasty i sadzisz roślinki w ogrodzie za każdym razem, gdy tylko się odwrócę. A ja przez cały ten czas sądziłam, że jestem wielce utalentowaną ogrodniczką.

Jeanne podeszła do płotu i położyła mi rękę na ramieniu.

– Będiesz – powiedziała. – Będiesz, Mitch. Ale nie z dnia na dzień.

– Mamusiu, jesteś zła na Jeanne? – spytała Danielle.

– Nie, skarbietko. Ani trochę. – Znów popatrzyłam na Jeanne. – A więc przez cały ten czas, kiedy wyjeżdżałam, czy to na targ w Vannes, czy w plener, żeby malować nad zatoką, ty zakradałaś się tu naprawiać moje błędy. Dobry Boże, bez ciebie byśmy głodowały. Chodź na szklaneczkę cydru, a obiecuję, że tym razem nie wezwę żandarmów.

\*

Było późne sierpniowe popołudnie, jeden z tych gorących letnich dni, gdy powietrze drży jak vibrato sopranistki i wszystko zdaje się zamierać w oczekiwaniu na zakończenie wysokiej nuty, kiedy nagle parną ciszę przerwało szczekanie Pierrota.

– Spokój, Pierrot! – ofuknęłam go odruchowo.

Pies rósł, a wraz z nim rosło jego przekonanie, że jest prawdziwym stróżem naszego obejścia. Niestety, kochał wszystkich bez wyjątku i po wstępnym pokazie siły radośnie witał każdego, a następnie przewracał się na grzbiet i z rozpostartymi łapami zachęcał do głaskania.

– Też mi stróż – mruknęłam.

– To bardzo dobry stróż. – Danielle natychmiast wzięła go w obronę. – Szczeka.

Nie przestawał czekać. Nie było to jego zwyczajowe, życzliwe powitanie znajomych ani też charakterystyczny warkot, którym reagował na obcych. To

piskliwe ujadanie wydało się dziwne i natarczywe. Wyszłam sprawdzić, co go tak niepokoi, a kiedy stanęłam na podwórzu, obok mnie prześliznęło się coś srebrzysto-brunatnego i wdarło do domu.

– *Merde* – jęknęłam. – Żmija!

Jeanne ostrzegała nas przed żmijami. Nie kąsały rozmyślnie, ale były niebezpieczne, jeśli czuły się zagrożone. Teraz jedna z nich znalazła się w domu. Tylko gdzie? Dokąd się udała? Niemal na pewno popęzła w kierunku sypialni. Zatrzasnęłam drzwi do obu pomieszczeń, chwyciłam Danielle za rękę i wybiegłam. Jedyne, co przyszło mi do głowy, to odszukać Jeanne i Marcela. Kiedy wybiegłyśmy na podwórze, zobaczyłam, jak Jeanne maszeruje przez drogę. W dłoniach ścisnęła swoją ulubioną broń, czyli widły.

– Słyszałam, jak Pierrot szczeka! – wrzasnęła.

– W domu jest żmija! – odkrzyknęłam.

– *Nom de Dieu!* Gdzie?

– Nie wiem, chyba w którejś sypialni. Nie jestem pewna. Och, Jeanne, ona może być wszędzie!

– Stań przy drzwiach z Danielle i Pierrotem. Krzyknijcie, jak zwieje na dwór – zakomenderowała i wpadła do domu niczym generał wrywający się przed oddziały.

My, potulni i zalęknieni podkomendni, strzegliśmy wejścia. Czekaliśmy bez ruchu, ze wzrokiem wbitym w ziemię, gdzie w każdej chwili mógł się ukazać uykający wróg. Pierrot pozostał u naszego boku, skowycząc, a jego nakrapiane, puszyste ciało drżało jak mały ptak. Wokoło panowała cisza, całkiem jakby podwórze wstrzymało oddech. Czekaliśmy długo. Nagle gorącą i wilgotną ciszę przerwał wybuch wrzasków i przekleństw – francuskich, bretońskich i gwarowych. Usłyszeliśmy szuranie mebli, trzask i odgłosy tłuczenia w domu, a następnie zapadła cisza. Po chwili drzwi się otworzyły, a Jeanne wymaszerowała na podwórze, wymachując żmiją, która skręcała się i wiła na jednym z zakrzywionych zębów wideł, jakby naśladowała taniec brzucha do dźwięków egzotycznej muzyki.

– Ta gadzina już nikogo nie nastraszy – oznajmiła triumfalnie Jeanne.

Pierrot znowu zaczął szaleńczo szczekać, biegnąc wokół Jeanne i żmii. Podskakiwał energicznie, cały czas jednak trzymał się na bezpieczną odległość. Danielle wybuchnęła płaczem.

– Ale jej nie zabijesz, prawda? – Pociągnęła Jeanne za fartuch.

– Pewnie, że nie, *petite* – skłamała Jeanne, zerkając na mnie. – Teraz idźcie razem z Pierrotem do domu.

Gdy wyszłyśmy na drogę, Jeanne wyszeptwała:

– Wlazała jej pod łóżko, Mitch. Bogu dzięki, że Pierrot was ostrzegł. Uratował jej życie.

– Oboje to zrobiliście, Jeanne.

Ucałowałam ją dwa razy w każdy policzek, podczas gdy zwisająca nad naszymi głowami zmija wiła się bezradnie, na próżno starając się ocalić życie. Jeanne poszła dalej, a ja wróciłam do domu, żeby pocieszyć Danielle i dać naszemu ukochanemu Pierrotowi zasłużony smakołyk.

\*

W chłodne jesienne wieczory często chodziliśmy do Jeanne i Marcela na kolację albo oni przychodzili do nas. Kiedy Marcel zostawał na posiłku w domu Thérèse i Rogera, słyszałam powolny, lecz pewny chrzęst butów Jeanne na żwirze naszego podwórza. Pojawiała się w drzwiach z garnkiem zupy albo potrawy, żeby dołożyć się do tego, co ja przygotowałam, i trochę z nami posiedzieć. Od czasu do czasu, zimą 1967 roku, wszyscy mieszkańcy wioski szli do Rogera i Thérèse na *veillée*. Raz udaliśmy się w dół wzgórza do La Sallette, na *veillée* u Bleveneców. Jeanne zauważyła wtedy, że będziemy ich widywać coraz rzadziej.

– Jak która rodzina kupi sobie gadające pudło, to uważa, że już jej nie trzeba towarzystwa innych – powiedziała.

Ani trochę się nie pomyliła. Tradycyjne zimowe spotkania wkrótce miały zniknąć z bretońskiej wsi. Telewizja okazała się gwoździem do ich trumny. Teraz rodziny opuszczają rolety, by pogrążyć się w pełnej samozadowolenia izolacji. Gadające pudło osłabiło więzi w wiejskich społecznościach i wyrugowało obyczaje, które od wieków panowały w oddalonych od świata osadach.

Podczas wielu długich i cichych wieczorów, po odśpiewaniu kołysanki Danielle i położeniu jej do łóżka, wpatrywałam się w nocne niebo, zdumiona, że przywiązałam się do tej starej wioski, tak odległej od wszystkiego, co było choćby luźno związane z moją przeszłością. Wspomnienia z poprzedniego życia coraz bardziej się zacierały. Czułam się tak jak człowiek, który przysnął w pociągu i gdzieś w oddali słyszy konduktora, monotonnym głosem informującego o kolejnych znajomych stacjach na trasie. La Salle stała się moim jedynym domem.

\*

Tamtego wieczoru, gdy radio doniosło o zamordowaniu Martina Luthera Kinga, cały ból ruchu praw obywatelskich eksplodował w naszej kuchni niczym bomba.

– To niemożliwe! – krzyknęłam z niedowierzaniem do odbiornika.

Podkreśliłam głośność, żeby usłyszeć więcej szczegółów, ale żadnych nie podano. Następnego dnia wcześniej rano pojechałam do Vannes kupić „Herald Tribune” albo inną gazetę, która wyjaśniłaby mi, co się stało, jak i dlaczego. Cokolwiek, co pomogłoby mi zrozumieć.

Pędząc po wąskich i krętych drogach, przypominałam sobie dzień sprzed pięciu lat w Paryżu, gdy zadzwoniła do nas matka Yves’a.

– Przykro mi, że to ja przekazuję ci tę tragiczną wieść, Midge – powiedziała wtedy. – *Votre president, Jack Kennedy, a été assassiné! Il est mort!*

Pamiętam, że zbiegłam po schodach do najbliższego kiosku po gazetę. Ludzie na ulicy byli oszołomieni. Nieznajomi rozpoznawali we mnie Amerykankę i dzielili się ze mną swoim smutkiem. Znajomi sklepikarze witali mnie ze łzami w oczach, składając kondolencje, całkiem jakby zmarł mi ktoś z rodziny. Chyba cały Paryż pogrążył się wtedy w żałobie. Teraz jednak, jadąc do Vannes, byłam całkiem sama. Zaparkowałam, po czym kupiłam gazetę i poszłam do kawiarni. Przejrzałam artykuły, szukając szczegółów, sprawozdań świadków, czegokolwiek. Pragnęłam podzielić się z otoczeniem szokiem i smutkiem, poczuć, że jestem częścią zrozpaczonej społeczności, i porozmawiać, wszystko jedno z kim. Dookoła mnie ludzie gawędzili, jakby nic się nie zdarzyło, albo czytali dział sportowy w lokalnych gazetach. Wsiadłam do auta i wróciłam do La Salle. Po raz pierwszy, odkąd przyjechałam do Francji siedem lat wcześniej, zatęskniłam za Ameryką.

Kilka miesięcy później zamordowano Roberta Kennedy’ego. Z niedowierzaniem wpatrywałam się w radio, kręciło mi się w głowie. Co się działo w moim kraju? Czy Ameryka zwariowała? Czułam się tak, jakbym się zagubiła i wędrowała przez pejzaż rodem z obrazu Salvadora Dalego, gdzie wszystko jest pozbawione sensu i koszmarne. Próbując się uspokoić, wypadłam na podwórze, a potem ruszyłam na drugą stronę jezdni.

Jeanne wzięła mnie za rękę i poprowadziła do kuchni.

– To straszne, straszne – lamentowała. – Śmierć tego młodzieńca od Kennedych.

– Ty też o tym słyszałaś? – Łzy spływały mi po policzkach.

– Tak, przez radio Marcela. Mieliśmy iść powiedzieć ci o tym. Nasamprzód ten kaznodzieja, potem znowuż młody Kennedy. Tak to już jest na tym świecie, Mitch. Niektórzy powariowali i chcą wytłuc dobrych ludzi. Nie mamy rady zmienić wszystkiego tego, co by trzeba.

Do kuchni wszedł Marcel. On też był przygnębiony.

– To okropne. Mordują tych wszystkich porządnych młodzieńców – powiedział i otarł rękawem łzy.

Wyściskałam ich oboje. Usiedliśmy przy stole, żeby porozmawiać o tym, co przeczytałam w gazetach i co Marcel usłyszał w radio.

\*

Zabójstwa i napięcia rasowe w Stanach. Zamieszki studenckie w Paryżu. Strajki paraliżujące francuską gospodarkę. Wszystkie te informacje z niespokojnego świata odnalazły drogę do La Salle i teraz, gdy kokon został rozerwany, nic nie mogło powstrzymać napływu wiadomości z zewnątrz. Nie mogliśmy dłużej przymykać oczu na pojawiającą się wszędzie przemoc. Siedząc z uchem niemal przylepionym do odbiorników, dowiadaliśmy się o tym, że nasila się wojna w Wietnamie, że protesty antywojenne w Ameryce dzielą kraj, że francuska policja gazem łzawiącym i gumowymi kulami zdławiła studenckie demonstracje w Paryżu, że w Ohio żołnierz gwardii narodowej zabił czterech niewinnych studentów na Uniwersytecie Stanowym w Kent. Słuchaliśmy informacji o fali przemocy przetaczającej się przez całą Francję, gdy robotnicy dołączyli do studenckiego buntu, i o tym, jak niegdyś homogeniczne francuskie społeczeństwo podzieliło się i rozwarstwiło nie do poznania. Życie w odizolowanej wiosce w tym niespokojnym i wybuchowym świecie wydawało się surrealistyczne. Pozornie było tak samo jak zawsze, jednak i tu, na wsi, rozpoczęły się zmiany. Niemal niezauważalnie, a jednak z zapierającą dech prędkością, dawny styl życia na prowincji został na siłę wciągnięty w dwudziesty wiek.

*Rosół z kury*

Claudine miała tylko dwanaście lat, ale kształt jej sylwetki i ruchy pełne gracji świadczyły o tym, że wyrosnie na piękną kobietę. Była młodą, wysoką kopia Jeanne. Jej skóra promieniała, policzki były różowe od przebywania na świeżym powietrzu, a usta często rozciągały się w uśmiechu. Oczy Claudine lśniły jak oczy Jeanne, a kaskada gęstych czarnych włosów opadała jej na ramiona. Jeanne pewnie też nosiła je rozpuszczone, nim posiwiały i ściągnęła je w koczek. Podobnie jak jej babka, Claudine była silna i energiczna. Obie łączyła bardzo silna więź.

– Nie mogłam się doczekać, kiedy ci powiem, Mémé! – zawołała bez tchu Claudine, wpadając do kuchni. Wyściskała Jeanne, ucałowała mnie w oba policzki i klapnęła na drewnianą ławę. – W środku nocy papa mnie zbudził, żebym pomogła przy porodzie. Nie było nawet czasu sprowadzić Marcela! Pobiegłam do obory w koszuli nocnej i nim tam dotarłam, cielak już był w połowie drogi, cały mokry i śliski, i miał zamknięte oczy. Mama jeszcze nie zdążyła przyjść, więc pomogłam papie wyciągnąć go do końca. Położyliśmy go na ziemi i migiem zaczął się zachowywać, jakby się przebudził. Nawet chciał wstawać! Wpierw wyprostował zadnie nogi, a potem przednie! Okropnie się kiwał, jakby wypił za dużo cydru. Ale, *dame*, wstał, a potem zaczął się zataczać do wymion matki, żeby coś zjeść. Pomyśleć, że dopiero co się urodził, a już wiedział, jak jeść i się ruszać!

– Ludzie powiadają, że zwierzęta są głupie. – Jeanne pokiwała głową. – Cielak w dwadzieścia minut umie to, co nam ledwie udaje się po roku.

Gawędziłyśmy sobie o narodzinach cielęcia i o tym, czego Claudine uczy się w szkole, kiedy nagle drzwi otworzyły się gwałtownie i w progu stanęła Thérèse. Zaciskała usta, a wszystkie mięśnie jej twarzy ściągnięte były w gniewnym grymasie.

– Wejdz, Thérèse, i napij się z nami kawy – zachęciła ją Jeanne.

Thérèse ją zignorowała. Popatrzyła bykiem na Claudine.

– Wiedziałam. Po prostu wiedziałam, że cię tu znajdę. Ledwo się odwrócę, a ty od razu czmychasz do Mémé.

– Chciała tylko trochę odzignąć, prawda, Claudine? – spytała Jeanne.

– Nie broń jej tak jak zawsze, Mémé – warknęła Thérèse. – Gdyby to od ciebie zależało, tkwiłaby tu z tobą i trajkotała cały boży dzień. – Odwróciła się do córki. – Masz pojęcie, ile zostało roboty? Pewnie oczekujesz, że ja wszystko zrobię? Jak dla ciebie, mogłabym się zaharować na śmierć.

Claudine przez cały czas wpatrywała się w podłogę.

– Proszę, Thérèse, nie bądź dla niej taka surowa – odezwała się Jeanne. – Siądź z nami na chwilkę i też odzipnij.

– Nie wtrącaj się, Mémé. To sprawa między nami. A co do ciebie, moja panno, koniec przerwy. Jeśli nie chcesz napisać sobie biedy, wrócisz teraz ze mną!

Chwyciła córkę za ramię, wywlokła ją na zewnątrz i z całej siły zatrzaskała za sobą drzwi.

Często widywałam Thérèse w złym humorze, ale nigdy tak rozzłoszczoną. Nie wątpiłam, że jest zazdrosna o teściową. Jeanne była towarzyska i kochana przez wszystkich, Thérèse zaś zgorzkniała i introwertyczna. Na domiar złego Claudine coraz bardziej przypominała babcię, i to pod każdym względem. To musiało doprowadzać Thérèse do szału, dlatego przy każdej sposobności okazywała niechęć im obu.

Jeanne odsunęła firankę i wyjrzała.

– Gdzie, u licha, podział się Marcel? Ma gwizdać, jak zobaczy ją na ścieżce, żeby biedne dziecko dało radę się wymknąć, nim Thérèse ją znajdzie.

– To dlatego on tak często wygląda, jakby stał na straży przed domem! – zauważyłam. – Wypatruje Thérèse!

– Ya. Ale dziś nas nie ostrzegł.

– O co się tak wściekała?

– Po mojemu to się urodziła wściekła i tyle.

– To nieprawda, że Claudine za mało pomaga. Wszyscy wiedzą, że nikt nie pracuje tak ciężko jak ona.

– Dzieciak tyra od rana do nocy, ale Thérèse wiecznie mało. W niedziele, jak inni chodzą w gości, Claudine musi zostać, bo trzeba przyprowadzić krowy, wydoić je, nakarmić świnie, wysprzątać oborę i Bóg wie co jeszcze. A teraz jej matka chce, żeby tyrała z rana przed szkołą w piekarni w Theix. Powiada, że dwanaście lat to w sam raz na to, żeby iść do roboty. Biedne dziecko będzie musiało wstawać w środku nocy, tłuc się na rowerze osiem kilometrów, czy skwar, czy zawierucha, a potem ładować ciężkie bochny do pieca. Co najgorsze, w życiu nie słyszałam, żeby Thérèse powiedziała jej jedno dobre słowo, nawet jak Claudine była szkrabem. Za bardzo jest zajęta skakaniem nad swoją pupilką Jacqueline. – Jeanne znowu wyjrzała przez

okno. – Najgorzej, że nic nie idzie na to poradzić. Jak coś powiem, to Claudine obrywa jeszcze bardziej.

– Nigdy nie zrozumie Thérèse – westchnęłam. – Potrafi być przyjacielska i miła, tak jak wtedy, gdy podarowała nam Pierrota, a potem ledwie raczy się do mnie odezwać. Jednego dnia jest bardzo serdeczna, kiedy Danielle przychodzi bawić się z - Jacqueline, dzień później wyrzuca ją i odprawia do domu, całą we łzach. Tego jej nie wybaczę.

– Zawsze taka jest – mruknęła Jeanne. – Może byłoby inaczej, gdyby nie nienawidziła tak chłopskiego życia.

Jeanne rzadko napomykała o rodzinnych problemach. Była skryta, podobnie jak wszyscy mieszkańcy wsi. Jeśli się z kimś kłócili, nie rozpowiadali o tym na prawo i lewo. Mieszkali blisko siebie, więc musieli się dogadywać. Niezależnie od spięć czy zadawnionych waśni witali się czterema pocałunkami, a gdy nocą słyhać było walenie do drzwi, bo ktoś prosił o pomoc przy narodzinach cielaka, nikt nie odsyłał potrzebującego z kwitkiem. Mimo tej pozornej harmonii pod powierzchnią kryły się takie same animozje i zazdrość jak wszędzie. Przypominało to życie na wulkanie tuż przed jego wybuchem.

– Claudine wygląda tak jak ty – zauważyłam.

Jeanne nie odpowiedziała. Miała wyraz twarzy sfinksa, który nie zdradzał nawet cienia emocji. Usiadła wygodniej w wiklinowym fotelu i wzięła do ręki koszyk z robótką na drutach. Siedziałyśmy tak przez chwilę w całkowitym milczeniu.

– Tu się dzieje coś dziwnego – stwierdził Marcel, stając w drzwiach. – Cisza jak makiem zasiał.

– Gdzieś ty był? – Jeanne zerknęła na niego znad robótki. – Przyszła Thérèse, rzucała się jak kura bez łba. Czemuś nas nie ostrzegł?

– *Merde*. Dałem ciała, Mémé. Roger oprowadzał mnie po swoim nowym *poulailler*. To największy cholerny kurnik w całym Morbihanie. Widziałas go już, Mitch?

Widziałam zaczątki olbrzymiej, złowieszczej konstrukcji za gospodarstwem Rogera, na szczęście położonej z dala od drogi i osłoniętej drzewami. Marcel wyjaśnił, że Rogerowi udało się uzyskać rządową pożyczkę na kurzą fermę, gdzie miał hodować tysiące ptaków i sprzedawać je w pobliskich miasteczkach.

– Państwo bawi się w świętego Mikołaja dla chłopów. Wszyscy będziemy bogaci – dodał Marcel. – Dobrze mówię, Mémé?

– Nie wszyscy, tylko młodzi – mruknęła Jeanne, skupiona na robótkce.



– Ano racja, Mitch – przytaknął Marcel. – Rząd chce się pozbyć nas, staruchów. Hodujemy prawie wszystko, co zjadamy, i sami robimy sobie ubrania. Niczego nie kupujemy, więc mówią, że nie ma z nas pożytku dla gospodarki. A teraz jeszcze zaczęli gadać, że nie wolno nam zabijać naszych własnych zwierząt ani robić własnego calvadosa! Niedługo prawo każe Mémé kupować kapuśniak z puszki od Jeana Bonbona. Ale jak się godzimy na modernizację gospodarstwa, dają nam pieniądze, tak jak Rogerowi i Thérèse. Zobaczycie, niedługo będą bogaci.

Jeanne uniosła wzrok znad robótki.

– Znam wieśniaków z Le Petit Kergate, co to dostali od rządu pieniądze, bo zamontowali kanalizację w domach – powiedziała. – Potem wykombinowali, że te nowoczesne kibelki mają temperaturę i rozmiar w sam raz do trzymania ziemniaków przez okrągły rok. Pieniądze od rządu zostały w kieszeniach, ale mogę się założyć o ostatniego su, że szybko nie rozbiorą starej wygodki! – Klepnęła się po udzie i wróciła do dziergania.

Miesiąc później, gdy *poulailler* został ukończony i od razu zaczął działać, Roger mnie po nim oprowadził.

– Możemy hodować dziesięć tysięcy kurczaków naraz – wyjaśnił z dumą, idąc wraz ze mną głównym korytarzem, który biegł przez sam środek budynku. – Część z nich to kury nioski. Widziałaś zieloną ciężarówkę, która przyjeżdża co drugi dzień? To właśnie po jaja.

– Widziałam. Zauważyłam też żółtą ciężarówkę. – Musiałam podnieść głos, żeby przekrzyczeć gdakanie.

– Żółta przyjeżdża co dwa tygodnie, żeby przywieźć nowe kurczaki i zabrać te gotowe.

– Gotowe na co? – wrzasnęłam, choć dobrze wiedziałam, co usłyszę.

– Na to, żeby je zabili, zapakowali i rozwieźli po supermarketach! – odwrzasnął Roger. – Lampy się tu palą dwadzieścia cztery godziny na dobę. Kura nigdy nie wie, że jest noc, nigdy nie śpi. Tylko żre, tyje i myśli, że pora złożyć więcej jaj.

*Poulailler* przypominał gigantyczny plaster miodu. Brakowało tu okien, a kury były ściśnięte i stłoczone jedna przy drugiej, piszcząc i jazgocząc. Ich dzioby nieustannie kłapały, a skrzydła trzepotały gwałtownie o ściany klatek. Ptaki nerwowo gapily się na wszystkie strony, niczym obłąkani pacjenci szpitala dla umysłowo chorych. Smród był nieznośny, a od nieustannego hałasu puchły uszy.

– Teraz macie mnóstwo kurczaków do jedzenia – zauważyłam.

– Tych nie jemy! – odkrzyknął Roger. – Są chore. To ptaki dla miastowych. Żaden chłop nie tknąłby ani ich mięsa, ani jajek!

Poprzysięgłam sobie w duchu, że i ja tego nie zrobię.

Teraz, dzięki *poulailler*, życie Thérèse i Rogera szybko się zmieniało. Tak jak przewidział Marcel, po raz pierwszy w życiu zarabiali naprawdę przyzwoite pieniądze. Kupili sobie telewizor, przeciągnęli linię telefoniczną nad drogą, wybudowali łazienkę, a wygodkę porąbali na drewno opałowe. Roger nabył traktor, Thérèse zbierała pisma o wystroju wnętrz. I choć nadal jedli w kuchni, jak zawsze, w domu pojawił się salon, a także osobna jadalnia na posiłki w towarzystwie gości. Niemal z dnia na dzień zyskali wygody, bez których wieśniacy obywali się całymi wiekami, i w domu, i w polu. Nie znaczyło to jednak, że roboty ubyło. Cała rodzina miała nowe obowiązki. Poza pracą na polach Roger zajmował się stroną biznesową przedsiębiorstwa, ustalał terminarz dostaw i prowadził rejestr płatności. Nawet Jacqueline zaczęła pracować po szkole, pomagała matce na kurzej fermie. Czyściły wielki kurnik, zbierały jajka, po które co drugi dzień przyjeżdżała spłowiała zielona ciężarówka, i wysypywały wielkie worki chemicznie pędzonej karmy do koryt biegnących wzdłuż każdego rzędu klatek pełnych stłoczonych kur. Co dwa tygodnie, gdy widziałam ogromną ciężarówkę koloru jajecznicy mijającą dom Jeanne i zatrzymującą się nieopodal *poulailler*, wyobrażałam sobie ze smutkiem, jak wywozi utuczone i oszalałe kurczaki, aby zastąpić je tysiącami puchatych, niczego niepodważających piskląt, które czekało takie samo więzienie i nieszczęsny koniec.

Cóż to był za kontrast z krzepkimi kogutami i kurami spacerującymi sobie wolno po podwórzu Jeanne i Marcela przez cztery czy pięć miesięcy albo nawet dłużej. Żywiły się resztkami zupy, szukały robaków pod kamieniami, uciekały przed obwoźnymi sprzedawcami i kotami oraz takim czy innym dzikim stworzeniem, które od czasu do czasu wyłaniało się spośród drzew. Wtedy dotarło do mnie, że byłam jak te oszalałe kury uwięzione w kurniku Rogera. Moja klatka, choć nienamacalna, tak samo mnie ograniczała, i gdybym nie zdołała z niej uciec, moja dusza kurczyłaby się z każdym mijającym dniem, aż umarłaby równie haniebnie jak kury w *poulailler*. Od tamtej chwili innym, pełnym zrozumienia wzrokiem patrzyłam na stadko kur rozrabiających na podwórzu Jeanne.

Claudine nadal pracowała w piekarni, a do tego przybyło jej obowiązków na kurzej fermie. Im była starsza, tym piękniejsza się stawała i tym gorzej odnosiła się do niej matka. Kiedyś sądziłam, że gdy życie Thérèse stanie się łatwiejsze, nie będzie już taka zgorzkniała i zacznie traktować Claudine dużo milej. Jeanne jednak powiedziała, że ludzie nie zmieniają się w zależności od tego, czy im przybywa, czy ubywa pieniędzy. Pozostają niezmienni, mają taki charakter, z jakim się urodzili. Nawet nie chciałam myśleć, jak wyglądałoby życie Claudine, gdyby jej babka nie

mieszkała tak blisko. To ją ocaliło. Jeśli o mnie chodzi, nie potrafiłam sobie wyobrazić choćby dnia bez Jeanne. Ani ja, ani Claudine nie dałybyśmy sobie rady, gdyby nie ona.

*Kraina cydru*

– Nie opowiadałam ci o Yanick? – spytała Jeanne. – *La pauvre*. Biedaczyna skończyła ledwie dwanaście lat, jak jej rodzice zginęli w wypadku. Nie miała gdzie się podziać, żadnych krewnych, no to ją przygarnęliśmy, Marcel i ja. Mieszkała u nas rok z okładem, jak rodzina. Jeszcze nie miała czternastu lat, jak uciekła z takim jednym moczymordą, co jej zmajstrował dzieciaka. Prosiłam, żeby została, ale gdzie tam, młoda była i nie chciała słuchać. Ostatnie, co o niej słyszałam, to że ma więcej dzieciaków i mieszka w gospodarstwie koło Questembert.

– Kiedy się widziałyście po raz ostatni?

– Będzie ze siedem czy osiem lat. Nigdy mnie nie odwiedziła, a stąd do Questembert za daleko na spacer.

– Chciałabyś ją zobaczyć?

– *Dame, oui!*

– Mogłybyśmy pojechać do niej teraz. Włóż czepiec, a ja dokończę zmywanie.

Jej twarz się rozświetliła. Jeanne rozwiązała fartuch, opasała mnie nim i wręczyła mi ściereczkę.

– A gdzie mydło? – spytałam, rozglądając się wokół siebie.

– Nie używam.

– Ale... zarazki?

– Te takie tycie? Nimi się nie przejmuję. Kurom nie smakowałyby pomyje, jakbym brała mydło. – Mrugnęła do mnie. – A tak myślą, że to zupa.

Podeszła do kredensu i wyciągnęła z niego stare pudełko po butach, w którym przechowywała nakrycia głowy. Przełożyła kilka starannie poskładanych czepców, a następnie wyciągnęła jeden z nich i przypięła do włosów. Jej zręczne dłonie bezbłędnie wyczuły, gdzie należy wbić szpilki. Skojarzyła mi się wtedy z pianistką, której palce z wprawą odgrywają nuty znane na pamięć po wielu latach ćwiczeń.

– Jean Le Guen. Tak się nazywał ten jej. Trzeba się będzie rozpytać o jego obejście.

Skończyłam zmywać, wylałam kurom ich zupne pomyje i raz jeszcze powtórzyłam im, że mają niesłychanie dobre życie w porównaniu ze swoimi

biednymi kuzynkami w *poulailler*.

\*

Dom Yanick stał na całkiem pustej, bezdrzewnej działce. Okna były zabite deskami, wszędzie dookoła walały się pordzewiałe i popsute maszyny, a z wierzchołka sterty śmieci warczał na nas zabiedzony kundel. Kilka kur podbiegło dziobać ziemię u naszych stóp. Z wyjątkiem bryły ziemi, na której wyrosła kępa kolorowych kwiatów polnych, zawzięcie niepoddających się wszechobecnej atmosferze rozpacz, wszystko tu krzychało: *la misère!* Gdy Jeanne podeszła do drzwi, żeby zapukać, miała ponurą i ściągniętą twarz.

– Jest kto w domu? – zawołała nietypowo ostrym głosem.

– Proszę. Drzwi otwarte – padła beznamiętna odpowiedź.

Dom składał się z jednej, niemal pustej prostokątnej izby, w której dominował smród starego jedzenia i brudnych pieluch. W kącie siedziała rozczochrana kobieta w podartej sukience.

– Mémé – odezwała się, patrząc na nas. – Nie wierzę, że to ty. Nie myślałam, że cię jeszcze zobaczę.

– Jakoś sobie radzę, *ma fille*. To Mitch, amerykańska pani, co mieszka u nas w osadzie. To ona mnie przywiozła, żebyś się przywitała i zobaczyła, co tam u ciebie.

Trójka maluchów w podartych ubraniach zerkała na nas z innych kątów pomieszczenia. W łóżeczku leżało golusieńkie niemowlę, kwiląc cicho. Yanick z trudem podźwignęła się z krzesła. Była w ciąży. Na pewno nie miała więcej niż dwadzieścia lat, ale wydawała się dużo starsza. Choć w izbie panował półmrok, zauważyłam bliznę na jej policzku i świeży czerwony ślad na szyi, częściowo ukryty pod sukienką.

– Może co na poczęstunek? – spytała zmęczonym głosem. – Nie ma tego dużo, ale coś bym znalazła.

– Nie zaprzataj sobie głowy, dziecko drogie. Przywiozłam ci dzemu śliwkowego z zeszłej jesieni. Pamiętam, że lubiłaś moje przetwory.

– Ano tak. To ci dopiero będzie przysmak. Chodźta tu, dawać Mémé buziaka! – zawołała do dzieci.

Przywlokły się posłusznie i ustawiły w kolejce.

– Bądź dobre dla mamy, *mon petit* – mówiła Jeanne do każdego z nich. – Mama was potrzebuje.

Maluchy wróciły do kątów, ciche i nieruchome. Wpatrzone w ziemię, przypominały wystraszone myszy i tylko co jakiś czas zdarzało im się zerknąć ukradkiem na mnie i na Jeanne.

Yanick chciwie wypytywała o każdego w wiosce i przez dłuższą chwilę obie wspominały półtora roku spędzone przez nią w La Salle. Podczas tej rozmowy zmarszczki zniknęły z jej twarzy, a gdy się uśmiechnęła, wyglądała jak mała dziewczynka w za dużej sukience dorosłej kobiety.

– Miałaś rację, Mémé – powiedziała cichym głosem.

– Nie ma co się nad tym rozwodzić, dziecko.

– Trzeba było cię słuchać.

– Młoda byłaś. Wtedy nie mogłaś nic poradzić.

– Dobram tylko do rodzenia. – Położyła ręce na wydętym brzuchu.

– Może spróbuj nie mieć więcej dzieciaków. Z tą czwórką i jeszcze jednym w drodze i tak się urabiasz po łokcie.

– Ano tak. Co prawda, to prawda.

Jeanne ujęła ręce Yanick w swoje.

– Postawże się staremu, dziewczyno – rzekła. – Niech wie, że teraz jest z niego ojciec, i niech się zachowuje jak trzeba.

– Postaram się, Mémé, ale gadać z nim nie idzie, jak pije. – Popatrzyła na mnie z nieśmiałym uśmiechem. – Dobrze, żeś przyjechała, Mitch. Dziękuję, żeś ją przywiozła.

– *Kenavo*, dziecko. Mogę coś dla ciebie zrobić? – spytała Jeanne, całując ją na pożegnanie w oba policzki.

– Nie, Mémé. Jakoś to będzie – odparła Yanick, a na jej twarzy znów pojawiły się zmęczenie i niepokój.

\*

W drodze powrotnej Jeanne milczała.

– Kiedyś miała taką ładną buzię – westchnęła po dłuższym czasie, jakby do siebie.

– Biedna Yanick.

– Nie myślałam, że jest tak źle.

– Bije ją – zauważyłam. – To widać.

– Pewno jak się urżnie.

– Co ona może zrobić?

– Nic. Niby co by miała?

– Na przykład się rozwieść? Wiem, że Kościół na to nie zezwala, ale przecież Yanick nie może z nim mieszkać.

– Rozwieść? Na wsi nie ma czegoś takiego jak rozwody. Niby gdzie by poszła z tymi dziećmiakami?

– To straszne.

– Prawda, że straszne.

Jechałyśmy w milczeniu, aż w końcu dodała:

– Z ciebie to szczęściara, Mitch.

– Chodzi ci o to, że mogłam opuścić Yves'a, kiedy zaczęło źle się dziać?

– Ano tak.

– Kiedy się domyśliłaś?

– Tak mnie jakoś tknęło, jak żeśmy obie poszły na plażę. Ale z Yves'a nie był żaden ochlapus, więc nie myślałam, że będzie gorzej. A tamtej zimy, jak obie z Danielle przyjechałyście do La Salle same, to już wiedziałam. Widziałam twoje siniaki, takie jak na szyi Yanick. Płakałam wtedy, *ma fille*.

– Aż do teraz nie przyszło mi do głowy, że mam szczęście. To na pewno straszne, kiedy trzeba żyć z kimś, kto cię krzywdzi, i zdawać sobie sprawę z tego, że nie ma ucieczki.

– Ano tak to już bywa na wsi. Chłopaki i dziewczyny żenią się, nim w ogóle im zaświta, o co w życiu chodzi. Dużo tych, co idą do ślubu, to nawet nie wie, skąd się biorą dzieci.

– Ty też wyszłaś za mąż za młodu, prawda?

– Ledwie skończyłam szesnaście. Ale o dzieciach wiedziałam, pomogłam przy narodzinach piątki sióstr i braci. Sama wszystko sobie wykombinowałam, i to dużo wcześniej.

– Zawsze mi się wydawało, że maluchy dorastające w gospodarstwie wiedzą, skąd się biorą dzieci.

– A gdzie tam. Jak dzieci rosną, to widzą, że byk wchodzi na krowę, a potem rodzi się cielak, ale mało kto umie dodać dwa do dwóch. Widzą, jak się rodzą ich bracia i siostry, a potem słyszą od ludzi, że to cud boski, i w to wierzą. Dziewczyna na kościelnej majówce wypije za dużo cydru, idzie na spacer, a potem borsuczy się w krzakach z chłopakiem. Ileś miesięcy później ktoś jej mówi, że wcale nie jest chora, tylko w ciąży, i że musi wyjść za mąż. Tak to było z Yanick. Nie miała pojęcia, co zrobiła, że zaszła. On też nie wiedział, to pewne.

– Skoro nie wiedzą, w jaki sposób zachodzi się w ciążę, to pewnie w ogóle nie słyszeli o antykoncepcji?

– Antykoncepcja? Na wsi? Tylko posłuchaj. Marie Lerinec z Sulniac rodziła dziecko rok w rok. Jak miała dwadzieścia cztery lata, to się zebrało ich sześcioro. Ostatnim razem musieli ją przeciąć, a doktor powiedział, że jak znowu zajdzie, to umrze. No więc poszła do księdza się radzić. „Co robić?”, pyta. I co słyszy? „Nie myj się, to mąż do ciebie nie podejdzie”.

– To okropne!

– Niektórzy rodzice zmuszają dzieciaki, żeby szły na księdza albo do klasztoru, nim te wykombinują, co tam chcą od życia, i dorosną na tyle, żeby zająć albo komu zmajstrować dzieciaka. To jest właśnie antykoncepcja na wsi.

– Ale twoi synowie nie zostali księżmi.

– I bardzo dobrze. Ale jak kto ma dziewczynki, to gorzej. Idzie taka za mąż, zostawia rodzinę i mieszka z mężem w jego gospodarstwie. Jak ma szczęście, to nowa rodzina dobrze ją traktuje. Jak ma pecha, mąż ją leje, a jego rodzina jest wredna. Ja miałam szczęście. Rodzina Luca była ludzka, a Marcel to zacny chłop. Po prawdzie ma swoje wady. Za dużo popija, ale nie robi się wredny, nie urodził się taki. To kraj cydru, Mitch. Sami go wyrabiamy, to i dzieciaki wcześniej zaczynają żłopać. Wiele z nich przechodzi z mleka matki prosto na mocny cydr. Jeden rodzic z drugim często dają niemowlakom calvados, żeby siedziały cicho. No i się dzieciak uspokaja, a jakże, bo nieprzytomny. Jeśli który podsypia w szkole, to znak, że za dużo cydru dostał na śniadanie. Jak pije dorosły, pewno zaczął jako dziecko, jak Eric. Taki to już przepadł z kretesem. Jak mąż Yanick. A teraz utkwiała przy nim do grobowej deski, biedactwo.

Mimowolnie wzdrygnęłam się na te słowa. Wyrok dożywocia bez prawa do warunkowego zwolnienia. Zaledwie czternastoletnia dziewczynka, ciężarna i przestraszona, samotna w lesie. Dziewczynka zamknięta w oddalonym gospodarstwie, z dala od drogi. Znikąd pomocy, żadnych świadków. Gdy oddalałyśmy się od więzienia Yanick, z którego nie było ucieczki, zastanawiałam się, ile kobiet na całym świecie znalazło się w podobnej sytuacji. Ile jest skazanych na pogodzenie się ze swoim losem, ile nie ma wyjścia, całkiem jakby je związano, zakneblowano i w milczeniu prowadzono na rzeź. A Jeanne? Nigdy nie spotkałam równie niezależnej kobiety. Na pewno by się buntowała, gdyby Luc lub Marcel źle ją traktowali. Ale czy naprawdę ją znałam? W miejscu, gdzie nie było rozwodów, żadnego wyboru, gdzie kobieta nie miała prawa do ucieczki ani do zmiany decyzji, bez względu na okoliczności, czy Jeanne poddałaby się i tkwiła przy kimś na dobre i na złe, przez całe życie? Czasem czułam, że pochodzę ze świata tak odległego i tak obcego, że nigdy nie zrozumieję ludzi, których pokochałam.



## *Mgła opada*

Jeanne Montrelay nigdy nie zapuściła się z La Salle dalej niż trzy kilometry przez łąkę, do kościółka w Sulniac. Msza była dla niej ważna. Dawała jej okazję do włożenia najlepszego czepca, rozmowy z ludźmi, których widywała tylko w niedzielę, i do ucieczki od samotności w gospodarstwie, gdzie były tylko trzy krowy, pola bez traktorów i żadnych wolnych dni, gdzie nie znano pojęcia wakacji. Miała minimalne potrzeby. Samodzielnie uprawiała poletko warzywne, potrafiła poderżnąć gardło świni i zapeklować mięso na zimę, sama też szyła sobie ubrania. Przez całe życie nigdy nie jeździła ani pociągiem, ani autobusem. Nie miała roweru. Przed naszym przyjazdem do La Salle nigdy nie siedziała w aucie, a jednak w granicach tego ściśle wytyczonego świata wiodła pełne i satysfakcjonujące życie. Patrząc na nią, zastanawiałam się nieraz, czy potrafiłabym tak jak ona cieszyć się samym prowadzeniem gospodarstwa, czy umiałabym stłumić nienasycony głód ruchu, podróży i odkrywania nowych miejsc.

Zatoka Morbihan leżała zaledwie osiem kilometrów od La Salle. Przez całe życie Jeanne dostrzegała migotanie na horyzoncie, ale nigdy tam nie była. Nie widziała jaskiń, zatoczek, strumieni, przesmyków, skalistych plaż ani maleńkich półwyspów. Nigdy nie postawiła nogi na żadnej ze spokojnych wysp, które pstrzyły zatokę z rozkwitającymi osadami na wybrzeżu, ani na nienazwanych fragmentach lądu, które co sześć godzin wyłaniały się z morza, służąc za tymczasową przystań ptactwu, łodziom i rybakom, po czym ponownie znikwały pod falami przypływu. Jeanne nigdy nie wyszła poza granice swojego małego świata, jednak gdy pojawiała się szansa na zdobycie nowych doświadczeń, jej szare oczy mocniej lśniły, a drzemiący w niej duch przygody rozpałał jej duszę niczym gorące węgle. Czasami się zastanawiałam, czy w głębi serca nie łączy nas ta sama ciekawość nowego i czy obie nie cierpimy na identyczną nienasyconą żądzę podróżowania.

– Danielle i ja jedziemy dzisiaj nad zatokę – powiedziałam do Jeanne. – Thérèse pozwoliła nam zabrać Jacqueline. Może do nas dołączysz?

Pokręciła głową, nieprzerwanie krzątając się przy palenisku.

– Pojedź z nami, Mémé – poprosiła Danielle.

– Będziemy płynąć łodzią! – wykrzyknęła Jacqueline.

– Łodzią? No cóż, *mes petites*, wcześniej to może i bym się zgodziła, ale teraz to już na pewno nie.

– Prosimy, Mémé! – jęknęły dziewczynki jednogłośnie.

– Słuchać no, wszyscy. – Jeanne się wyprostowała. – Nikt na całym bożym świecie nie załaduje mnie do łodzi. Dzięki tej tu Mitch byłam na plaży i nawet zamoczyłam nogi. Bardzo mnie to cieszy, za więcej dziękuję. Jak żem się urodziła na ziemi, tak chcę na niej zostać.

– Ale to wymarzony dzień na wycieczkę – upierałam się. – Nie ma wiatru. Nawet się nie zorientujesz, że płyniesz. Poza tym kiedy wrócimy, będziesz miała jeszcze mnóstwo czasu, żeby wydoić krowy. Proszę, pojedź z nami!

Nie odpowiedziała.

– Jeanne, kochana, przecież lubisz przygody, prawda? Spędzimy popołudnie na Belle-Île. Ile razy w życiu miałaś okazję popłynąć na wyspę?

Jeanne zasznurowała usta. Rozsunęłam firanki.

– Wyjrzyj przez okno – powiedziałam. – Przecież prawie ją stąd widać. Belle-Île, Jeanne!

Wzruszyła ramionami.

– Belle-Île. No cóż, nie za często byłam na wyspach – odparła i zwróciła się do męża: – Powiem ci, Marcel, że zawsze mnie tam ciągnęło.

– Pojedziesz?

– Pojedzie! – wykrzyknęła Danielle.

– *Bon voyage*. – Marcel poprawił okulary. – Od razu pomyślałem, że pojedziesz.

– A ty, Marcel? – zapytałam, zachęcona sukcesem.

– Za żadne skarby świata, Mitch. Nawet nie próbuj.

Jeanne przypięła czepek.

– No dobrze, *mes filles*, jedźmy, bo się rozmyślę.

Przez większą część roku departament Morbihan znajdował się z dala od szlaków turystycznych, więc pozostawał nietknięty i dziewiczy. W sierpniu jednak puste pola i lasy na zboczach, sięgające niemal do brzegu wody, roiły się od przyczep kempingowych, a jaskrawopomarańczowe i niebieskie namioty biwakowe wyrastały tam niczym kurki po wiosennym deszczu na łące pod La Salle. Jechałyśmy powoli wzdłuż zatoki, nieopodal miasta Carnac, gdzie zatrzymałyśmy się na spacer po polu pełnym rzędów zagadkowych, wycelowanych w niebo głazów. Przypominały upiorne olbrzymy, które otoczyły nas na swoich tajemnych włościach.

– Nazywają je menhirami – wyjaśniłam. – Nikt nie wie, kto je postawił ani po co, chociaż podejrzewa się, że z powodów religijnych.

Jeanne ze zrozumieniem pokiwała głową.

– Ktokolwiek to wybudował, zrobił to, żeby mieć chody u *curés*. Teraz przekupujemy ich najtłustszymi kurczakami i najlepszym cydrem na święta. My, chłopcy, zrobimy wszystko, byle tylko dostać się do nieba.

Wsiadłyśmy z powrotem do auta i ruszyłyśmy do portu, skąd odpływały łodzie na wyspy. Gdy Jeanne weszła na trap, jeden z marynarzy rozpoznał jej niski, spiczasty czepiec.

– *Bonjour la Morbihanaise!* – powitał ją z uśmiechem i nadstawił ramię.

Pasażerowie odwrócili się i pomachali, a Jeanne odmachwała im, uśmiechając się kokieteryjnie. Jeśli nawet ta pierwsza podróż łodzią budziła jej lęk, nie dała nic po sobie poznać. W chwili gdy odbiliśmy od nabrzeża, od razu przeszła na dziób statku. Jej długa czarna spódnica powiewała na wietrze, ale czepiec przypięty do siwych włosów nawet nie drgnął. Jeanne chłonęła wszystko, lśniącymi oczami delectowała się widokiem połyskującej w świetle późnego poranka zatoki, obserwowała ostrą linię brzegu, skaliste zatoczki obmywane falami i wdychała świeży zapach wodorostów, który przetaczał się po łodzi jak fale przyboju nacierające na plażę. Pomachała rybakom nieruchomym niczym posągi na nabrzeżu. Była jak zahipnotyzowana. Gdy nabraliśmy prędkości i zostawiliśmy za sobą brzeg, oczarował ją zarys sylwetki Belle-Île, która w oddali wyłaniała się z mgły.

Mocno trzymała się poręczy, gdy zobaczyła stary port pełen zniszczonych łodzi we wszystkich kolorach i rozmiarach. Mewy szybowały nad nami i nurkowały, wypełniając słone powietrze krzykiem i piskiem. Jeanne w milczeniu chłonęła nowe doświadczenie. Mnie od samego początku wszystko wydawało się bardziej wyraziste, jaskrawe i pobudzające, tak jak tamtego dnia, gdy razem poszłyśmy na plażę – całkiem jakbym widziała to jej oczami, po raz pierwszy.

\*

– Marcel, szkoda, żeś z nami nie był – oznajmiła Jeanne tego wieczoru, gdy zasiedliśmy do kolacji.

– Ja tam nie żałuję – odparł. – W życiu nie dam się wepchnąć na żadną łódź.

– Ale nie zatonąła, tak? Widziałam wyspę z daleka, Marcel, i wodę dookoła niej, i wpłynęłam do przystani, i wszędzie były łodzie i domy, a każdy jeden w innym kolorze. Jak żyję, czegoś takiego nie widziałam. Gdzie człowiek spojrzał, tam rosły

kwiaty, a na obiad zjadłyśmy małże, i to tak wysoko, że patrzyłam, jak łodzie wpływają do portu i wypływają.

– Mémé narobiła mnóstwo hałasu w restauracji i wszyscy ją słyszeli – rzekła Danielle i zachichotała.

Jeanne wyciągnęła z kieszeni dwie przemycone z restauracji muszelki, złożyła je z jednego końca i dmuchnęła, gwizdząc przenikliwie.

– Dobra robota, Mémé – oznajmił Marcel z aprobatą.

– W restauracji było mnóstwo hałasu i ludzi – powiedziałam. – Ale kiedy gwizdnęła, nawet kelnerki zamarły. Ludzie się obejrzeli, żeby zobaczyć, kto tak rozrabia, a kiedy się przekonali, że to Jeanne, zaczęli klaskać i krzyczeć: *Bravo la Morbihanaise!*

Jeanne była czerwona jak burak. Wyciągnęła z kieszeni fartucha zmiętą chustkę, otarła spocone czoło i wybuchnęła śmiechem.

– Pierwszy raz, jak żyję siedemdziesiąt trzy lata, byłam w restauracji, a mało by mnie to nie ominęło. Żałuj, żeś nie pojechał, Marcel.

– Mémé, cieszysz się, że pojechałaś na wycieczkę. Ja się cieszę, że nie pojechałem. Słowem, życie układa się jak trzeba. A teraz bierzmy się do jedzenia.

\*

Od przyjazdu do Morbihanu postrzegałam światło zupełnie inaczej niż kiedyś. To, że jest w nim wiele subtelnych różnic, uświadomiłam sobie jednak dopiero po przemieszkaniu w La Salle okrągłego roku. Im lepiej poznawałam ten region, tym bardziej mnie inspirował. W przeciwieństwie do smaganego wiatrem, rozciągniętego pod jednolicie kobaltowym i słonecznym niebem południa Francji tutejsze niebo nieustannie się zmieniało. Podróżujące chmury przypominały morskie krajobrazy – uzależnione od księżyca pływy sprawiały, że woda się unosiła i opadała zgodnie z ich życzeniem, a widok się zmieniał. Szczególnie zaskakiwało mnie poranne światło. Przed świtem rządziła mgła, trzymająca się brzegu do czasu, gdy przebiło się przez nią słońce, co zresztą nie zawsze mu się udawało. Poranna mgiełka wisiała też nad łąkami, emanując kapryśnym srebrzystozielonym blaskiem, który po przefiltrowaniu przez parę wodną zmieniał wilgotne pola w migotliwe połacie zieleni. Często wstawiałam bladym świtem, by namalować wschód słońca. Już wcześniej to robiłam. Zawsze pociągał mnie mocny, dramatyczny efekt promieni przeszywających nocne obłoki, a także oślepiające barwy, które wytrawiały ostre wzory na niebie. Tu jednak słońce igrało z poranną mgiełką, drażniło się z nią, zlewało w niewyobrażalnych kombinacjach delikatnych odcieni i barw. Niebo nad Morbihanem, przebiegłe

i tajemnicze, uwodzicielsko odsłaniało i zasłaniało płomienne barwy, stopniowo ujawniając wielowymiarowość swego piękna, jakby trzeba było najpierw je sobie wyobrazić i tym samym powołać do istnienia.

Zawodna pogoda w tym regionie nie cieszyła się dobrą sławą, zwykle było tu zimno i wilgotno. Czasem deszcz padał bardzo długo, a letni biwakowicze przyglądali się bezradnie, jak kempingi toną w nieoczekiwanej ulewie. Z mojego wzgórze w La Salle mogłam obserwować burze, nabierające kształtu na horyzoncie. Miałam świadomość, że wkrótce smagać mnie będą ryczące wiatry i zaleje mnie deszcz, a wtedy poczuję się bezbronna, całkiem jakby moje solidne domy były kruchymi, słabymi stateczkami, które ktoś rzucił na wzburzone morza. Zdarzały się jednak łagodniejsze okresy. Przez chmury i mgłę zawsze przebijał się promień słońca, który zapowiadał roz pogodzenie, o ile zechce się na nie poczekać. Nieważne, jak zasnuwane chmurami było niebo, zawsze w którymś miejscu obłoki się rozstępowały, ukazując zapowiedź intensywnego błękitu.

Każda pora roku w Morbihanie miała odmienną charakterystyczną paletę barw. Kwietniowe jaskrawożółte krzewy forsycji i pola rzepaku ustępowały latem miejsca pastelowym odcieniom lawendowych wrzosów, wśród których nagle pojawiały się intensywne akcenty szkarłatnych pól makowych. Gdy dni robiły się coraz krótsze, oszałamiająca jesienna paleta miedzi, rdzy, ochry i intensywnego żółcienia kadmowego całkiem zmieniała krajobraz, jakby nieokiełznany i niezdiscyplinowany artysta beztrudnie zachlapał okolicę farbami. Niczym roślina powoli zapuszczająca korzenie wiedziałam, że niezależnie od tego, co się wydarzy, to właśnie tutaj jest moje miejsce na ziemi.

\*

Przez ponad rok przyglądałam się, jak Eric przycina głogi, i byłam pewna, że też sobie z tym poradzę. Zdjęłam półksiężycowatą maczetę z haka w garażu i ruszyłam ku ścieżce do lasu. Minęło wiele tygodni, odkąd Eric zajął się krzakami po raz ostatni, i teraz zdecydowanie wymagały przycięcia. Kolczaste gałęzie wystrzeliwały we wszystkie strony jak gigantyczne szpony. Wywijając dla kurażu maczetą niczym torreador wkraczający na arenę, naśladowałam pijackie, ale fachowe gesty Erica. Tym razem przyszło mi to łatwiej, nie byłam tak nerwowa i niezręczna jak za pierwszym razem. Obcinałam gałęzie zdumiona łatwością, z jaką mi to szło. Po pewnym czasie posługiwanie się maczetą nie sprawiało mi już żadnego problemu, na chwilę ogarnęło mnie nawet dziwne wrażenie, że robię to przez całe życie. Na moich ramionach pojawiło się parę powierzchownych zadrapań, nieporównywalnych do straszliwych,

krwawych ran, które odniosłam, gdy po raz pierwszy przyszło mi stawić czoło głogom. Wywijałam i cięłam, a z każdym ciosem moje ruchy stawały się coraz pewniejsze. Nie byłam ani dość zręczna, ani silna, by poradzić sobie z najtwardszymi i najgrubszymi gałęziami, jednak te smuklejsze nie stawiały mi oporu i opadały na ziemię.

Wiele godzin później, gdy odwiesiłam maczetę na hak w garażu, dostrzegłam na jednej z półek starą siekierę Yves'a.

– Będziesz następna, *mon amie* – mruknęłam z drwiącym uśmiechem.

Następnego dnia wróciłam do garażu, wzięłam siekierę i poszłam na skraj łąki, do drewni, gdzie przechowywaliśmy polano. To właśnie tam Yves dawniej rąbał drzewo. Pamiętałam, jak kładłam się w trawie, by podziwiać grę mięśni na jego nagim torsie, kiedy ustawiał polano na sękatym i powykrzywianym pieńku, który po dziesięcioleciach użytkowania wytarł się i wyłobił tak, że przypominał teraz kowbojskie siodło. Yves przytrzymywał polano butem, unosił siekierę nad ramię, żeby wziąć zamach, a następnie rąbał dokładnie w to samo miejsce, raz po raz, aż wreszcie, w nagłym geście kapitulacji, polano rozszczepiało się na dwoje. Ustawiłam polano na pieńku i docisnęłam je butem, tak jak to robił Yves.

– Skup się na miejscu, w które ma trafić siekiera – przykazałam sobie.

Zamachnęłam się i uderzyłam. Po kilku powtórzeniach w ten sam punkt zauważyłam z dumą, że w drewnie pojawiło się małe zagłębienie, dzięki czemu kolejne ciosy z większą precyzją trafiały w cel. Rąbiąc dalej, najwyraźniej odnalazłam właściwy rytm. Czułam się tak, jakby wstąpiły we mnie siła Marcela i determinacja Jeanne. Każde kolejne uderzenie brzmiało niczym tykanie ogromnego i nieustępliwego metronomu. Kiedy tak wymachiwałam siekierą, nagle wyjątkowo dotkliwie poczułam, że jestem zupełnie sama. Danielle i inne dzieci z wioski przebywały w szkole, a chłopcy na polach. Powtarzający się dźwięk uderzeń siekiery przeszywał niesamowitą ciszę wsi. Wyprostowałam się, by złapać oddech, a gdy znowu zaczęłam rąbać, miałam wrażenie, że wyszłam z siebie i z oddali obserwuję dumną wieśniaczkę z minionych lat, która wymachiwała siekierą, walcząc o zapewnienie ciepła bliskim. Poczulałam się zupełnie niezależna. Już nie byłam biedną Amerykanką, która z trudem radziła sobie w gospodarstwie bez męża. Jeanne się nie myliła – byłam silna. I choć zwykle przytłaczała mnie praca, którą należało wykonać, nie wątpiłam, że się z nią uporam albo zatrudnię Erica, by zajął się tym, co przerastało moje siły. We wszystkich innych wypadkach zrobię, co mogę, by poradzić sobie sama.

*Na ratunek*

– Mamusiu, to David!

Uniosłam głowę i zobaczyłam przyciśniętą do szyby charakterystyczną piegowatą twarz naszego przyjaciela z Paryża. Pierrot zerwał się z kolan Danielle i razem wybiegli na zewnątrz, aby rzucić się w rozpostarte ramiona niespodziewanego gościa. Natychmiast otworzyłam okno.

– David! – krzyknęłam. – Co robisz w La Salle, na litość boską?

– Przyjechałem was odwiedzić, ślicznotki.

– Myślałam, że jesteś w Kalkucie.

– Owszem, byłem, potem wam opowiem. Ale krótko mówiąc, musiałem skrócić wycieczkę. I pomyślałem: dlaczego nie złożyć wizyty moim najulubieńszym dziewczynom na całym świecie? No to jestem.

– Przyszedłeś pieszo?

– Niezupełnie.

– Gdzie masz samochód?

– Błękitna Bogini leży w potrzebie u stóp wzgórza – wyznał.

– Twój MG się rozwalil?

– Ale dopiero pod koniec. Prawie się udało, jednak Bogini przegrała z ostatnim wzgórzem.

– Nie jest już zbyt młoda.

– To prawda. Próbowałem ją pchać, ale złapałem jakiś zarazek w Kalkucie. Teraz jestem już zupełnie zdrowy, chociaż trochę osłabiony.

– Wydajesz się strasznie mizerny. Wejdz – powiedziałam, a Danielle chwyciła go za rękę i wciągnęła do domu. – Zaraz będzie kolacja. Musimy cię podtuczyć.

– Tak jak dawniej, w Paryżu.

– Rzeczywiście, pamiętam, że zawsze zjawiałeś się w samą porę na posiłki.

– No cóż. Zupełny przypadek.

– Dobre wyczucie czasu.

– Posłuchaj, kochanie, nie cierpię zmieniać tematu, zwłaszcza gdy mowa o jedzeniu, ale czy jest tu ktoś na tyle silny, by pomóc mi popchnąć pod górę mój

niedomagający samochód?

– Ja! – oznajmiła dziarsko Danielle.

– Ja też – dodałam. – Ale poprosimy o pomoc Rogera. Mieszka po drugiej stronie jezdni.

Po drodze przedstawiłam Davida Jeanne oraz Marcelowi, oni również zaproponowali pomoc. Roger, Thérèse, Jacqueline i Claudine doili krowy w oborze.

– Dajcie nam parę minut i pójdziemy z wami – powiedział Roger.

Kiedy skończyli, ruszyliśmy w dół wzgórza. Na poboczu drogi nieopodal La Sallette *monsieur* Le Blevenec i jego syn Jean przyglądali się unieruchomionemu autu.

– Patrz na tablicę rozdzielczą – rzekł Jean z podziwem. – To sportowy samochód, prawda?

David skromnie skinął głową.

– Ależ niebieski. – *Monsieur* Le Blevenec przejechał ręką po masce.

– Sam go pomalowałem. – David postukał w dach.

– Nigdy nie widziałem takiego kolorowego auta – zauważył Roger. – Nie da się go przegapić na drodze.

– Dobrze, do roboty – wtrąciła Jeanne. – Wpierw wepchniemy sukinkota na wzgórze, a potem pogadacie o tym, jaki jest niebiesciuchny.

*Madame* Le Blevenec, jej cztery córki, Huguette, Jeannine, Yolande i Monique, a także jej ojciec *monsieur* Allanic, który obecnie ledwie słyszał i poruszał się wyłącznie o lasce, wyszli z domu zobaczyć, co to za zamieszanie. Pokręcili się przy samochodzie i wkrótce wszyscy zebrani – poza staruszką – ustawili się do pchania. Otoczony przez całą wioskę samochód rozpoczął niepewną odyseję na wzgórze, najpierw centymetr po centymetrze, potem skokami. Przez cały czas David szedł z tyłu, gestykulował dziko i wrzeszczał niczym na wpół szalony reżyser:

– *À gauche*, tak jest! Nie, za bardzo! *A droite!*

W końcu Błękitna Bogini zdołała wtoczyć się na wzgórze i dostojnie stanęła na podwórzu przed oborą. Pogratulowaliśmy sobie, wszyscy raz jeszcze zachwycili się autem i poszli do swoich gospodarstw.

– Mogłaby być dziełem sztuki – mruknął David. – Ale czy kiedykolwiek wróci na drogę?

– Przecież jesteś świetnym mechanikiem – przypomniałam mu. – Naprawisz ją w okamgnieniu.

– Może tak, a może nie. Potrzebne mi części, a znalezienie ich w tej okolicy może okazać się trudne. Kto wie, czy nie będziesz musiała znosić mnie przez pewien czas.



– Chcę, żebyś został na zawsze – wypaliła Danielle, patrząc na niego z uwielbieniem.

David wystawił głowę spod maski i się uśmiechnął.

– Jeśli nie uda mi się uruchomić tego cholernego auta, twoje życzenie pewnie się spełni, maleństwo – odparł.

Po kolacji opowiadał nam zdumiewające historie ze swojej wyprawy do Kalkuty. Mówił o tym, jak pomagał rozwozić jedzenie do odległych wiosek, w których szalał głód i cierpiały dzieci. Jak kopał studnie i budował drogi dojazdowe do oddalonych miejsc, gdzie panowała najgorsza susza. Jak atakowali go miejscowi wieśniacy, którzy nie rozumieli, że przybył z pomocą, a ponieważ nie mówił ich językiem, nie umiał wyjaśnić im celu swojej wizyty. Oczarował Danielle szkocką kołysanką, a kiedy mała zasnęła, wyszliśmy na zewnątrz, żeby posiedzieć pod gwiazdami.

– Przed wyjazdem z Paryża spotkałem się z Yves'em – powiedział nieoczekiwanie, nalewając mi cydru. – Przesyła wam pozdrowienia.

– Kiedyś myślałam, że mamy szansę. Już tak nie uważam.

– On jest innego zdania. Twierdzi, że jesteście dla siebie stworzeni i że wszystko się ułoży, choć to pewnie trochę potrwa. Moim zdaniem ty również tak myślisz.

– Śnij dalej, przyjacielu. – Przystawiłam szklanekę do jego szklanki i o nią stuknęłam.

– Zmieńmy temat, Midge. – Skrzywił się. – Muszę ci coś wyznać.

– Uwielbiam wyznania. Co tym razem nabroiłeś?

– Wstyd mi przyznać, ale jestem splukany. Nie mogę nawet zapłacić za tę norę, w której mieszkałem w Paryżu, więc pomyślałem... Może gdybym mógł zatrzymać się na jakiś czas w La Salle i pomóc ci w ogrodzie, przy obowiązkach... To znaczy, o ile masz wolny pokój...

– Pokój? Rozejrzałeś się wokół siebie? Mamy pół osady! Świetny pomysł. Napijmy się jeszcze.

Błyskawicznie zdecydowaliśmy, że David pośle po swoje materiały malarskie i wprowadzi się do La Salle. W zamian za dach nad głową i wyżywienie miał pomagać w ogrodzie i przy domowych naprawach. Wiedziałam, że Danielle ogromnie się ucieszy. Od czasu gdy poznaliśmy się w Paryżu, i tak traktowałam Davida jak członka rodziny. Pracy w obejściu nie brakowało i choć chciałam udowodnić samej sobie i innym, że obejdę się bez niczyjej pomocy, byłam za nią wdzięczna. Nasz układ bardzo przypadł mi do gustu.

Tej nocy David spał w pokoju gościnnym, przylegającym do mojej sypialni. Około drugiej nad ranem obudziły mnie dziwne odgłosy. Brzmiało to tak, jakby

walczył o oddech i jęczał.

– David, nic ci nie jest? – zawołałam z korytarza, ale nie odpowiedział.

Zawołałam raz jeszcze, a w końcu otworzyłam drzwi i przekonałam się, że jest prawie nieprzytomny, w gorączce i ocieka potem.

– Słyszysz mnie, David?

Potrząsnęłam nim i próbowałam go ocucić, ale nie reagował. Miał uchylone powieki, lecz chyba mnie nie widział. Ułożyłam go ostrożnie i pobiegłam do kuchni zadzwonić do doktora Le Cama. Odebrał, choć był środek nocy, i bez wątpienia usłyszał przerażenie w moim głosie. Kazał mi zachować spokój i opisać objawy Davida.

– Przykryj go kocem, Midge – poinstruował mnie. – Przykładaj zimne kompresy, żeby zbić gorączkę. Przywieziesz go do mnie?

Jak najstaranniej opatuliłam Davida kocem i położyłam lodowatą ściereczkę na jego czole. Potem pobiegłam do Jeanne.

– Jeanne! Mémé! – krzyknęłam do ciemnego okienka na strychu nad kuchnią. – Obudź się, proszę!

Krzyknęłam raz jeszcze i w końcu w domu zapaliło się światelko.

– Co jest, Mitch? – dobiegł mnie głos.

– Muszę zawieźć Davida do lekarza. Jest bardzo chory.

Po chwili na progu pojawiła się Jeanne w długiej wełnianej koszuli nocnej, z szyją owiniętą szalem. Na tle mroku rozjaśnionego jedynie światłem gwiazd jej długie srebrne włosy zdawały się spływać na plecy niczym nagła wiosenna ulewa. Nocne iskierki migotały wokół niej na podobieństwo robaczków świętojańskich, podążając za nią przy każdym ruchu.

– Zostaniesz z Danielle? – spytałam.

Energicznie owinięła się szalem.

– Idziemy – powiedziała i ruszyliśmy przez drogę.

David leżał tam, gdzie go zostawiłam, spocony i drżący. Chyba miał halucynacje. Jeanne pomogła mi posadzić go z tyłu auta. Patrzyła, jak odjeżdżamy, a potem weszła do domu. Wspomnienie jej sylwetki we frontowych drzwiach nie opuszczało mnie przez całą pośpieszną drogę do Vannes. Jeszcze nigdy nie widziałam Jeanne z rozpuszczonymi włosami.

Doktor Le Cam już na nas czekał i wspólnie zawlekliśmy Davida do gabinetu. Usiadłam w poczekalni, zastanawiając się, czy przeżyje. Nigdy nie widziałam równie chorego człowieka. Jego skóra była popielata, z powodu fioletowych cieni wokół oczu twarz przypominała maskę śmierci, a rude włosy upiornie sterczały na wszystkie

strony. David rzeził i do tego miał drgawki. Mój Boże, pomyślałam z rozpaczą. Pojechał do Indii pomagać głodującym dzieciom, a teraz sam umrze tak młodo.

Miałam wrażenie, że minęły wieki, nim doktor Le Cam pojawił się w poczekalni.

– Powinien z tego wyjść, Midge. Przywiozłaś go w samą porę. Zrobiłem mu zastrzyk, więc przez jakiś czas będzie lekko oszołomiony. Szczęściarze z nas, bo już miałem do czynienia z tymi chorobami podczas wojny. Jestem chyba jedynym lekarzem w Morbihanie, który cokolwiek o nich wie. Ktoś inny pewnie uznałby to za ostry przypadek grypy i byłoby po chłopaku.

– Co mu się stało? – zapytałam.

– Wspomniałaś, że był w Kalkucie, tak?

– Pojechał tam pomagać ofiarom głodu i suszy.

– Chyba złapał bardzo zjadły zarazek malarii. Pewnie był na bakier z higieną. Podałem mu to, co mam pod ręką, i już zatelegrafowałem do Paryża po lek. Przywiozę go wam do La Salle, gdy tylko się pojawi. Musimy uważać, żeby pacjentowi się nie pogorszyło, ale wkrótce powinien dojść do siebie. Chodźmy, trzeba go na powrót usadowić w aucie.

David rzeczywiście doszedł do siebie. Po kilku tygodniach już siadał i znów zachowywał się jak dobrze mi znany niesforny chłopak. Oboje nie wątpiliśmy, że popsuty samochód i bliskie spotkanie ze śmiercią to znaki świadczące o tym, że David powinien pozostać w La Salle, i niezwłocznie przenieśliśmy jego lichego dobytek z pokoju gościnnego do tymczasowego domu, który od razu został „Domem Davida”. Danielle nie posiadała się z radości.

– David to mój starszy brat – powtarzała, a on na potwierdzenie podnosił ją z trudem i podrzucał.

– Jupi! – wykrzykiwał. – Mam siostrzyczkę!

*Niedokończona sprawa*

Jeanne ujęła to dość bezpośrednio: przybyła nam jeszcze jedna gęba do wykarmienia. Ani David, ani ja nie mieliśmy godnego uwagi przychodu, a nasze konta bankowe, czy to razem, czy z osobna, nie rokowały na przyszłość. To prawda, że na wsi wydatki na życie były skromne. Nie płaciłam czynszu, a La Salle, nieruchomość o charakterze rolniczym, obciążona była podatkiem nieprzekraczającym dziewięćdziesięciu dolarów rocznie. Jedliśmy owoce i warzywa z własnego ogrodu. Jeanne dostarczała nam jajek, mięsa kur i co jakiś czas królika, za co płaciliśmy tyle co nic. Mimo to pewne wydatki były nieuniknione – musieliśmy robić zakupy, ubezpieczać auto, płacić za benzynę i ubrania dla Danielle, która postanowiła rywalizować z krzakami pomidorów i rosła jak na drożdżach, parę centymetrów za każdym razem, gdy mrugnęłam. Opieka zdrowotna na szczęście nie stanowiła najmniejszego problemu. Lekarze i dentyści w Vannes przyjmowali obrazy w zamian za swoje usługi, gdyż system barterowy święcił wtedy triumfy w Morbihanie. Kiedy doktor Bonnefous usunął migdałki Danielle, w ramach zapłaty *madame* Bonnefous wybrała sobie akwarelę z łodziami kotwiczącymi o zmierzchu w porcie. Po wyleczeniu Davida doktor Le Cam poprosił żonę, żeby przyjechała do La Salle pozować do portretu. Najbardziej przewidywalne i budzące moje przerażenie wydatki, w których wypadku barter nie był możliwy, wypływały po częstych wichurach i burzach szalejących w La Salle. Żywioł atakował budynki, zrywał z siedmiu dachów ciemnoniebieskie płytki i rozbijał je o ziemię, żeby niepotrzebnie spotęgować efekt grozy. Gdy ojciec wysłał mi pieniądze na La Salle, zastrzegł, że nieruchomość ma zostać zapisana na mnie. Wtedy nie sądziłam, że to ma jakiegokolwiek znaczenie, teraz jednak byłam mu za to wdzięczna. Gdy się rozstawaliśmy, Yves jasno dał mi do zrozumienia, że nie powinnam go prosić o pomoc finansową. Oznajmił, że geniusza nie wolno obarczać przyziemną odpowiedzialnością za rodzinę, więc to na mnie spadł obowiązek główkowania, jak zdobyć pieniądze w samotnej osadzie w sercu departamentu Morbihan.

Wkrótce po wyzdrowieniu Davida Noël i Jacques Le Brusque'owie przyjechali do nas na kolację. Zaprosiłam też Jeanne i Marcela. Jeanne przyniosła jeszcze ciepłe

quatre quarts, prosto z pieca, a Marcel dwie butelki najlepszego musującego cydru. Po jedzeniu, podczas spaceru po obejściu przystanęliśmy w oborze. Rozglądając się wokół siebie, Jacques pogłaskał się po brodzie.

– Możecie sobie wyobrazić tu wystawę naszych obrazów? – spytał rozmarzonym tonem.

– Byłoby cudownie! – wykrzyknął David.

– Nie można zawiesić obrazów na tych ścianach. Są brudne – wtrąciła Noël, która miała zwyczaj sprowadzać ludzi na ziemię.

– Starczy porządnie wyszorować – zauważyła trzeźwo Jeanne.

Wszyscy jednocześnie odwróciliśmy się do niej.

– A wtedy można by je pomalować i zastanowić się, jakie tu dać oświetlenie – dodał Jacques.

– Bądźcie realistami, *mes chers* – westchnęła Noël. – Przecież to strata czasu. Kto zechce oglądać obrazy tam, gdzie diabeł mówi dobranoc? I, co ważniejsze, kto je kupi?

– Ani w Vannes, ani w promieniu pięćdziesięciu kilometrów nie ma żadnej galerii sztuki – powiedział Jacques. – Jeśli odpowiednio to zareklamujemy, ludzie przyjdą choćby z ciekawości.

– A kiedy już tu trafią, być może coś sobie wybiorą – dodał David.

– I to się trzyma kupy. – Jeanne z aprobatą pokiwała głową.

– Moglibyśmy zrobić z Jeanne kuratora galerii. – Pocałowałam ją w policzek.

– Świetny pomysł – przychylił się Jacques. – I poprosimy Klub Rotariański z Vannes o sponsorowanie.

– Fantastycznie! – David wyraźnie się zapalił do pomysłu. – Wtedy byłoby to szacowne przedsięwzięcie i cały Morbihan by się zjawiał.

– Cóż, jeśli Klub Rotariański się zaangażuje... – Noël wyraźnie zmiękła.

– Marcel, coś mi się widzi, że pójdziemy na pierwszą w życiu wystawę obrazów – powiedziała Jeanne z pełnym satysfakcji uśmiechem.

Skontaktowaliśmy się z miejscowym oddziałem Klubu Rotariańskiego w Bretanii. Jego członkowie zawsze byli otwarci na wspieranie szlachetnych idei, więc od razu się zapalili do naszego przedsięwzięcia. Powstał komitet złożony ze znawców sztuki, mających je nadzorować, który regularnie spotykał się w La Salle. Zaprosiliśmy do udziału w wystawie innych malarzy oraz rzeźbiarzy – siedem budynków zapewniało aż nadto przestrzeni na goszczenie twórców przez tydzień lub nieco dłużej. Od dawna marzyłam o tym, by w La Salle rozkwitło życie społeczności artystycznej, i teraz tak się właśnie miało stać, choć jedynie na kilka dni. Jacques skontaktował się

z malarzem portretów i martwych natur, artystą o imieniu Jean-Pierre z miasteczka Laval. Andres, mój znajomy rzeźbiarz z Niemiec, mieszkający obecnie na wsi w południowo-zachodniej części Francji, potwierdził przyjazd. W swych pracach wykorzystywał tradycyjne techniki kowalskie i tworzył potężne rzeźby z kutego żelaza. Napisałam też do przyjaciela na północy Bretanii, który eksperymentował z metodami starych mistrzów, wyrabiał własne farby i malował połyskliwe, wymyślne baśniowe scenki. Moarche również postanowił do nas dołączyć. Klub Rotariański zaoferował, że zapłaci za transport dzieł, zajmie się reklamami w lokalnych gazetach i radiu, a także dostarczy wino i soki owocowe na wernisaż. Plany wystawy dojrzewały przez długie zimowe miesiące.

Pewnego popołudnia w La Salle pojawiła się Mosca, młoda, obcesowa Hiszpanka o wyrazistej twarzy i przeszywającym spojrzeniu. Słyszała o nadchodzącej wystawie i postanowiła zaprezentować nam próbki swoich prac. Niepokoiło mnie jej zachowanie, choć nie ze względu na rzucający się w oczy tupet – cóż, artysta czasem musi rozpychać się łokciami, żeby ludzie zwrócili na niego uwagę. Mosca była jednak bardzo uszczypliwa, wręcz wroga. Kiedy poszła do samochodu po obrazy, podzieliłam się z Davidem swoimi zastrzeżeniami. W odpowiedzi tylko się roześmiała.

– To silna kobieta, fakt, ale nie ma się czego bać, Midge. Zobaczmy, jak maluje.

Obrazy Moski okazały się serią niepokojących, ponurych postaci, które wyglądały dokładnie jak ona. David zachwycił się tymi pracami, a i ja musiałam przyznać, że robiły wrażenie. Otworzyliśmy butelkę cydru, by wznieść toast za nadchodzącą wystawę, a wtedy Mosca się odprężyła i zachowywała o wiele przyjaźniej – do tego stopnia, że zrobiło mi się wstyd z powodu początkowych obiekcji. W końcu wszyscy troje uznaliśmy, że koniecznie powinna pokazać prace, i tak Mosca dołączyła do grona uczestników wystawy.

Pewnego dnia, gdy zmywałam naczynia, a David je odkładał, powiedział nieoczekiwanie:

– Byłoby świetnie, gdyby Yves zaprezentował swoje obrazy na naszej wystawie. Może go zaprosimy?

Yves tutaj? Miał wziąć udział w naszej wystawie? Poczułam się tak, jakby David przywalił mi żelaznym prętem. Dotąd odnosiłam wrażenie, że udało mi się przetrwać kryzys związany z separacją i stanęłam na własnych nogach. Poza rzadkimi chwilami konsekwentnie nie przyjmowałam do wiadomości, jak fatalnie wpłynęło na mnie nasze zerwanie. Musiałam być silną optymistką, przede wszystkim dla Danielle. Dawno temu Jeanne powiedziała mi, że praca w gospodarstwie i wychowanie chłopców zajmowało jej tyle czasu, że nie miała go na rozmyślanie o smutku czy

samotności. Ze mną było nieco inaczej, ale utrzymywanie warzywnika, radzenie sobie z zachłannymi, kolczastymi krzewami, rąbanie drewna, opieka nad siedmioma budynkami i trzema hektarami gruntu oraz troska o wyjątkowo dojrzałą jak na swój wiek siedmiolatkę pochłaniały tyle wysiłku, że nie miałam czasu rozmyślać o przeszłości.

Gdyby nie Jeanne, nigdy nie dałabym sobie rady. Uratowała mój ogród, który bez niej przeobraziłby się w zachwaszczoną dżunglę. Teraz dostarczał warzyw Danielle, Davidowi, mnie i wszystkim, którzy wpadali na kolację. Jeanne przeprowadzała Moomoot, Cocotte i La Petite Belle na naszą stronę drogi, żeby skubały trawę, gdy za bardzo wyrastała. To Jeanne nie dopuściła do tego, by ogarnęły mnie wątpliwości. To ona dała mi odwagę do stawienia czoła wyzwaniom, z których istnienia nawet nie zdawałam sobie sprawy. Dzięki niej La Salle kwitła. Remont głównych budynków okazał się niezwykle sukcesem, a teraz liczyłam na to, że dzięki wystawie zarobimy dość pieniędzy, by wystarczyło na porządną naprawę dachów. Gdyby jednak Yves miał się pojawić w La Salle, to, co z takim trudem osiągnęłam, zostałoby poddane jego ocenie i krytyce. Poza tym wściekłoby się, że znowu maluję, i zaczął wszystko niszczyć.

– David uważa, że powinniśmy zaprosić Yves’a do udziału w wystawie – wyznałam Jeanne następnego dnia nad kawą. – Mówi, że nie wypada organizować wystawy i nie poprosić go, by udostępnił swoje obrazy.

– A ty co myślisz, Mitch? – Wzięła mnie za rękę. – Chcesz go widzieć?

– Nie po tej ostatniej wizycie. Sama nie wiem, co robić. Danielle powinna spotkać się z ojcem. Zresztą nie mieszkałabym w La Salle, gdyby nie Yves, i za to jestem mu wdzięczna. Mimo to boję się, Jeanne. Jeśli przyjedzie i zacznie rozrabiać, obróci w koszmar wszystko, co osiągnęłam.

– Przyjdzie sporo ludzi, więc będzie bezpiecznie, ale nie decyduj, jak nie wiesz na pewno, co dla ciebie dobre. A jak już postanowisz, to nic się nie martw. Teraz to ty masz tu dużo przyjaciół.

Zadzwoiłam do niego po tygodniu.

– Halo? Yves? Tu Midge.

Odpowiedziała mi głucha cisza.

– Dzwonię, żeby ci powiedzieć o naszej wystawie w La Salle. Jeśli jesteś zainteresowany, chętnie zaprezentujemy twoje obrazy razem z naszymi, no i Danielle się ucieszy na twój widok.

– Wystawa? Niby kto się wystawia?

– Jacques Le Brusque, David, paru przyjaciół i ja.

– Kto ma się pojawić?

– Mieliśmy niezłą reklamę, więc spodziewamy się ludzi z Vannes i z pobliskich miast.

Odpowiedział, że się zastanowi, spytał o Danielle, po czym się pożegnaliśmy.

\*

W kwietniu pojawili się artyści. Razem była nas siódemka: Jacques, David, Andres, Jean-Pierre, Moarche, Mosca i ja. Mosca wyrzeźbiła drzeworyt przedstawiający surowe, geometryczne postaci. Wydrukowaliśmy jej dzieło na plakatach, które następnie zawisły w sklepach i na drzewach w pobliskich miasteczkach i wsiach. Jeanne i Marcel wraz z innymi zabrali się do czyszczenia, polerowania i malowania obory. Jeanne dopytywała się o każdy zawieszony obraz.

– Kto to zrobił? – pytała. – Jak? O co w tym chodzi?

Wypytywała mnie o wszystkie prace poza jedną – aktem przedstawiającym leżącą kobietę, autorstwa Jean-Pierre'a. To był duży, oszczędny w formie obraz, a podparta na łokciu modelka nasuwała skojarzenia z księżną Alby Goi, gdyż tak samo otwarcie i nieskromnie patrzyła na oglądającego. Świadoma, że nagość jest zupełnie obca ludziom na wsi – Jeanne wspomniała mi, że żony nigdy nie rozbierają się przed mężami – wahałam się, czy wywiesić ten akt. Nie chciałam obrazić nikogo w okolicy. W końcu jednak doszliśmy do wniosku, że to piękne dzieło i należy je uwzględnić w wystawie.

Po tygodniu nieustannego czyszczenia, malowania i instalacji świateł obora przemieniła się w profesjonalną, choć skromną galerię o nierównej betonowej podłodze i przepastnych sufitach. Z dziełami sztuki sąsiadowały masywne, rdzewiejące haki, na których nie tak dawno temu zaczepione były łańcuchy stojących w boksach krów. Każdy malarz dostał miejsce na cztery, pięć lub sześć obrazów, a wyraziste, żelazne rzeźby Andresa stały dramatycznie na środku przestronnego pomieszczenia.

– Cała wieś się nie może doczekać – zauważyła Jeanne następnego dnia przy kawie. – Jak żyję, nie widziałam, żeby tylu ludzi tak przyjeżdżało i wyjeżdżało.

– To potrwa jeszcze tylko kilka dni – zapewniłam ją pośpiesznie. – Po wystawie artyści wrócą do domów i wszystko będzie tak jak zawsze. Daję słowo.

Jeanne uderzyła pięścią w stół.

– Mitch, jak żyję siedemdziesiąt pięć lat, tak miałam ciszę i spokój. Najwyższa pora na jakieś zamieszanie. Jak tak dalej pójdzie, to ta cała wasza sztuka sprawi, że wreszcie zaczną mówić o La Salle!



W końcu nadszedł dzień wernisazu. Niedługo przed otwarciem galerii, koło południa, Yves wjechał *deux chevaux* na wzgórze i zaparkował tuż przy warzywniku. W pierwszej chwili go nie zauważyłam, ale usłyszałam okrzyk Danielle. Ku własnemu zdumieniu czułam się dziwnie spokojna i powitałam go tak, jakbyśmy widzieli się zaledwie wczoraj.

– Ciekawość wzięła nade mną górę – powiedział, całując mnie w policzek.

Danielle i David podbiegli do nas, uściskali go i przedstawili innym artystom. Wszyscy chodzili za nim po oborze, gdy przyglądał się pracom i je oceniał. Nagłe wezwanie do kuchni uratowało mnie, zanim zdążył podejść do moich obrazów, dzięki czemu nie musiałam oglądać jego reakcji.

Do La Salle ciągnął niekończący się sznur samochodów. Klub Rotariański z Vannes rozreklamował wystawę we wszystkich regionalnych oddziałach. Pojawili się dziennikarze i fotografowie, by robić wywiady i zdjęcia w nowym Centrum Sztuki w La Salle. Miejskowe gazety obszernie rozpisowały się na temat pierwszej wystawy na wsi w departamencie Morbihan, dzięki czemu ściągnęli do nas ludzie z miast odległych nawet o osiemdziesiąt kilometrów, między innymi z Quimper i Rennes.

Jeanne oświadczyła, że sztuka czyni cuda, ponieważ przez całe swoje życie nie widziała tylu ludzi jednocześnie. Przyszli Marcel, Roger, Thérèse, ich córki i Le Blevenecowie z piątką dzieci. Nie zabrakło też młodszego syna Jeanne, Marcela, i jego żony, drugiej Thérèse, oraz ich dzieci. Przybyli mieszkańcy Locquetas, Trevegan i Kerlomen. Zjawił się ksiądz z Sulniac i zakonnice ze szkoły, do której uczęszczała większość dzieci z La Salle oraz pobliskich wiosek. Przyszli chłopci, których nie znałam z imienia, ale którym często machałam na polach. Dla miejscowych była to pierwsza wystawa sztuki, jaką kiedykolwiek odwiedzili. Obok rolników ubranych w odświętne stroje i kobiet w wykrochmalonych czepcach pojawili się ludzie z dużych i mniejszych miast. Część gości była zaznajomiona z moimi pejzażami, a teraz poznawała prace innych artystów. Bajkowe, utrzymane w pastelowej tonacji oleje Davida budziły spore zainteresowanie. Danielle nie wiedziała, czy bardziej się cieszy na widok ojca, czy tylu gości. Witła wszystkich po kolei i prowadziła ich za rękę do obory. Wyjaśniwszy im pośpiesznie, że na wystawie są obrazy jej mamy i Davida, znowu biegła do Yves'a, by go pocałować, a potem gnała do bramy przywitać następnych odwiedzających. Jeanne okazała się idealną przewodniczką. Oprowadziła księdza, zakonnice i wszystkich znanych sobie sąsiadów z Sulniac i pobliskich gospodarstw, z dumą prezentując artystów i objaśniając ich techniki.

– Widzicie te kawały żelastwa? – pytała. – Andres, ten tam Niemiec, je robił, całkiem jak Emile, *forgeron* z Theix. A ten tam obrazek? To Moarche, ten chudziak, namalował. Sam robi kolory. Wpierw uciera je z kamienia na proszek, potem miesza z takim olejem, co go wlewam do sałatek. Pokazał mi jak. Wszyscy wiedzą, co robią. To się rozumie.

Miała coś do powiedzenia na temat każdego obrazu, kiedy jednak podchodziła do namalowanego przez Jean-Pierre’a zuchwałego aktu, na którego widok wszyscy odwracali wzrok, tylko kiwała nań głową i mijała obraz w całkowitym milczeniu, puszczając do gości perskie oko.

Yves i ja właściwie nie rozmawialiśmy. Gdy patrzyłam, jak stał samotnie na podwórzu, czułam niewypowiedziany smutek. Twarz Yves’a się zmieniła, wydawała się zacięta, i ledwie mogłam dostrzec w nim mężczyznę, którego kiedyś tak bardzo kochałam. Człowiek, który od samego początku uosabiał w moich oczach wszystko, co wrażliwe, męskie oraz atrakcyjne, teraz wydawał mi się całkiem obcy i zamknięty w sobie. Już miałam się odwrócić, lecz nagle mój smutek zamienił się w furję. Jeszcze nigdy nie byłam taka wściekła. Jakie miał prawo się zmienić? Jak śmiał nie być już człowiekiem, któremu ufałam, z którym pragnęłam dzielić życie, dom, sosnowe lasy, więzy z sąsiadami ze wsi i to urocze dziecko dorastające i rozkwitające z dala od jego wzroku oraz miłości? Jakie miał prawo pozbawiać nas szansy na tworzenie sztuki w tym niezwykłym miejscu, które sam odkrył i w które wierzył? Oskarżałam go i obwiniałam w myślach, kiedy walczyłam ze łzami złości oraz smutku. Nie mogłam na niego patrzeć. Odwróciłam się szybko i wmieszałam w tłum gości, spacerujących po podwórzu i oborze.

Później tego popołudnia nieoczekiwanie podszedł do mnie i wziął mnie za rękę.

– Muszę przyznać, że ty i twoi przyjaciele zdołaliście sprowadzić tutaj mnóstwo ludzi – powiedział.

– To Klub Rotariański zajął się promocją. – Staralam się mówić jak najspokojniej. – Cieszę się, że przyjechałeś. To ważne dla Danielle.

– Musimy porozmawiać – oświadczył i poprowadził mnie w kierunku tłoczni, która znów była moją pracownią. Gdy oddaliliśmy się od wystawy oraz gości, powiedział cicho i żarliwie: – Długo się zastanawiałem, Midge. Może jest sposób, żebyśmy znowu byli razem.

O dziwo, słowa, na które tak długo liczyłam, teraz nie miały dla mnie najmniejszego znaczenia. Minęliśmy kamienne rzeźby, które Yves stworzył przy wejściu – na jednym z granitowych bloków śpiewałam *Ol’ Man River* – i weszliśmy do środka, gdzie ściany ożyły za sprawą zawieszonych na nich szkiców i wielkich,

kolorowych, pełnych życia obrazów, które stały na podłodze. Jedna z prac, jeszcze niedokończona, była naprawdę ogromna. Dotąd nie próbowałam namalować nic równie wielkiego. Olej przedstawiał odpływ na plaży. Malowałam go w zatoce, ale to mogła być dowolna plaża na świecie, wszędzie tam, gdzie człowiek stoi samotnie na bezkresnym piasku i czuje hipnotyczny zew pływu, zachęcający do spróbowania nieznanego, do podjęcia ryzykownej wyprawy w niepewną przyszłość wraz z cofającym się morzem.

– Posłuchaj, Mijoux – zaczął Yves. Kiedy ostatnio tak się do mnie zwracał? – Małżeństwo, takie, jakim byliśmy, okazało się klęską. Gdybyśmy znów mieli być razem, to musiałyby się zmienić w coś zupełnie nowego. Nie sądzisz?

Słuchałam w milczeniu.

– Widzisz, tradycyjne małżeństwa nie sprawdzają się w wypadku artystów takich jak ty czy ja. Dla nas trzeba zdefiniować małżeństwo na nowo. To nie może być kolos na glinianych nogach, na których próbuje kuśtykać od stuleci. Trzeba dodać mu energii, sprawić, żeby stało się czymś nowym i śmiałym.

Patrzyłam mu w oczy. Trzeba przyznać, że zawsze miał niekonwencjonalne pomysły. Usiedliśmy naprzeciwko siebie przy moim stole, na którym roilo się od szkicowników, farb i dużych puszek z pędzlami i szpachelkami.

– Przez kilka ostatnich lat sporo się nad tym zastanawiałem i chyba wymyśliłem odpowiednie rozwiązanie – ciągnął z coraz większym ożywieniem. – Ty i Danielle wróćcie do Paryża, ale naturalnie nie do mnie. Małżonkowie nie powinni mieszkać pod jednym dachem. To przeżytek. Sprzedasz La Salle, a pieniądze przeznacysz na nowe mieszkanie dla siebie i Danielle. Rzecz jasna, przestaniesz malować i pójdziesz do pracy na pełny etat. Dzięki temu zdołasz was utrzymać. Będziemy żyli niezależnie. Najważniejszą częścią tego układu jest to, że nigdy nie będziesz mnie o nic prosiła, zwłaszcza o pieniądze. Będziemy żyli osobno i widywali się wtedy, gdy nam pozwoli na to moja praca. Ten plan ma szanse powodzenia, jestem tego pewien. Nie rozumiesz? Los tradycyjnego małżeństwa jest przypieczętowany. To archaiczna instytucja, zwłaszcza w wypadku ludzi twórczych. Jeśli jednak postąpimy zgodnie z opracowanym przeze mnie planem, będziemy mieli szansę na wspólne życie.

Gdy go słuchałam, targały mną sprzeczne reakcje. Mimo że jednym mocnym pociągnięciem pędzla właśnie przekreślił moje życie jako malarki, a także przedstawił mi najbardziej pragmatyczną i najmniej romantyczną propozycję w historii ludzkości, czułam się poruszona. Na swój sposób przez lata naszego oddalenia Yves szukał lekarstwa. Może tylko taki układ by mu odpowiadał, mnie jego słowa zalatywały fałszem. To już nie był mężczyzna, którego kochałam. Gdzieś po drodze umarł

wrażliwy poeta, człowiek, który mnie poruszał i inspirował, żarliwy kochanek, którego darzyłam ogromnym uczuciem. Naprzeciwko mnie siedział ktoś zupełnie mi obojętny. Uściskał mnie, gdy wyszliśmy z tłoczni, a ja odniosłam wrażenie, że obejmuje mnie całkiem obca osoba. Powiedziałam, że to przemyśle. Czy w tamtej chwili powinnam była mu wyznać, że nie ma mowy o żadnym porozumieniu? Że nigdy już nie powróci miłość, którą kiedyś go darzyłam? Że nadal boję się jego choroby i dziwnych zachowań? Nieco później tego samego wieczoru patrzyłam ze smutkiem, jak odjeżdżał, tym razem na zawsze. Czułam się tak, jakbym traciła przyjaciela.

Reakcja na wystawę przekroczyła nasze najśmielsze oczekiwania, choć pod względem finansowym impreza nie była sukcesem. Sprzedałam kilka akwareli, Moarche dwa małe obrazy, Jacques parę szkiców, a Jean-Pierre martwą naturę. Andres dostał zlecenia na żyrandole z kutego żelaza, dzięki czemu wyszedł na zero, a David zakochał się w Mosce.

*La misère*

– Jak królik – powtarzała Jeanne. – Zawsze skrobie w klatkę. Nie usiedzi w jednym miejscu.

Za każdym razem, gdy odjeżdżałam kamionetką, patrzyła ze swojego progu i niecierpliwie nasłuchiwała mojego powrotu. Potem przechodziła przez jezdnię, witała mnie pocałunkami w oba policzki i kręciła głową.

– Nie wiesz, jaka niebezpieczna jest droga? – fukała.

Lekceważyłam jej troskę, dopóki nie przypomniałam sobie, że przecież całe życie przeżyła w oddaleniu od nerwowego tempa pociągów, samolotów i od autostrad. Za każdym razem, gdy jechałam samochodem do Vannes po zakupy albo na południową wędrowną nad zatoką w poszukiwaniu miejsc, w których jeszcze nie pływałam, albo zatoczki, której jeszcze nie naszkicowałam, z punktu widzenia Jeanne ryzykowałam życie.

Pewnego dnia oznajmiłam jej łagodnym głosem:

– Danielle i ja lecimy do Chicago, w odwiedziny do moich rodziców.

– Co? – ryknęła. – Przecież to pół świata stąd. I pewnie chcesz lecieć przez ocean jedną z tych diabelskich maszyn?

– Za bardzo się martwisz, kochana Jeanne – powiedziałam. – To całkiem bezpieczne. Poza tym nie będzie nas tylko przez trzy tygodnie, a David zajmie się Pierrotem i ogrodem. Zanim się obejrzyś, będziemy z powrotem.

\*

To była zima 1970 roku, dziesięć lat po tym, jak wyjechałam do Paryża malować. Kiedy wsiadałam na pokład Queen Elizabeth w roku 1960, Ameryka wciąż przywiązana była do stylu życia i wartości tamtej dekady. Powracając po latach, zakładałam, że mój kraj się nie zmienił, jednak gdy ja sadziłam ziemniaki i wrywałam chwasty w odległej wiosce w Bretanii, Stany Zjednoczone doświadczyły trzech zabójstw na wysokim szczeblu, przyśpieszenia biegu wojny w Wietnamie, zaognienia się konfliktu pokoleniowego i rasowego, a także rozdarcia społeczeństwa w stopniu nieznanym od wojny secesyjnej. Ludzie mówili

o zamieszkach rasowych. Przyjaciele przestrzegali mnie przed jazdą po czarnych dzielnicach Chicago, gdzie podobno napadano na białych. Dyskusje o wojnie w Wietnamie przybierały nieciekawy obrót, ludzie byli spięci i wrodzy. Rozpadały się rodziny, wszędzie szerzyła się narkomania, przestępczość nieuchronnie wzrastała. Ameryka była niczym pacjent w stanie szoku, tak wstrząśnięta seriami tragicznych wydarzeń, że nie potrafiła się otrząsnąć i wrócić do normalności. Śledziłam wiele tych wydarzeń z daleka, z trudem wyłapując skąpe informacje z gazet i z radia. Nie mogłam wiedzieć, jak wyczerpujące nerwowo jest doświadczenie ich na własnej skórze. Czułam się jak cudzoziemka. Przez dziesięć lat mówiłam po francusku i mój angielski kulał. Myślałam i śniłam po francusku. Często brakowało mi słów i musiałam je tłumaczyć z francuskiego na angielski. Ludzie komplementowali mnie: „Jak dobrze mówi pani po angielsku. Gdzie się pani nauczyła?”. Zastanawiałam się, czy już nigdy nie poczuję się tu jak w domu, gdyż spędziłam zbyt wiele czasu z dala od ojczyzny i ominęło mnie niemal wszystko, co istotne.

Spełniłam jednak cel swojej wyprawy. Moi rodzice bardzo chcieli zobaczyć wnuczkę i poznać ją, nim dorośnie, więc zalewali Danielle długo tłumionymi uczuciami. Większość wczesnego dzieciństwa spędziła jedynie z matką i ojcem, potem tylko z matką, a teraz była otoczona przez uwielbiających ją dziadków, wujków, ciotki i kuzynów. W wieku siedmiu lat mówiła po angielsku z francuskim akcentem, wprawiając w niekłamaną zachwyty zarówno rodzinę, jak i obcych. Moja mama straszliwie ją rozpieszczała, a tata na każdym kroku okazywał jej uczucia i przysięgał, że odwiedzi La Salle. Każda minuta była tym cenniejsza, że moment naszego powrotu do Francji zbliżał się wielkimi krokami. Tygodnie przelatywały jeden za drugim, a z powodu zamieszania z rezerwacją wróciliśmy dzień wcześniej, niż się nas spodziewano.

– Ale David się zdziwi! – oświadczyła Danielle radośnie.

Wjeżdżając na podwórze w La Salle, poczułam się nieswojo. Wszystko wydawało się dziwnie zaniedbane i opuszczone.

– Pierrot! Pierrot! – krzyczała Danielle, wyskakując z samochodu. – Mamusiu, gdzie Pierrot?

– Nie wiem, skarbietko. Spodziewałam się cieplejszego powitania, także po nim.

Już miałyśmy otworzyć drzwi, jednak złowróźbne milczenie w domu kazało mi nie wchodzić do środka.

– Nie wchodźmy jeszcze – powiedziałam do Danielle.

Odwróciłyśmy się i poszłyśmy naprzeciwno.

– Mitch, wróciłyście! Bogu dzięki!

Jeanne wyciągnęła ręce, żeby nas przytulić, lecz miała ściągniętą twarz, a Marcel patrzył w ziemię i kręcił głową.

– Co się dzieje? Jeanne. Marcel. Co jest?

– Gdzie Pierrot? – dopytywała się Danielle.

– Ty jej powiedz, Mémé – rzekł Marcel, wzdychając.

– Co jej powiedz? – Chciałam wiedzieć.

Jeanne wzięła Danielle za rękę.

– Usiądź tu ze mną, *ma petite*. To się stało w tydzień po waszym wyjeździe.

– Gdzie mój Pierrot?

– Samochód go potrącił, Danielle.

– Gdzie jest? Jest ranny?

– Nie wiem jak, ale muszę ci to powiedzieć. Nie żyje.

Danielle natychmiast wybuchnęła płaczem, a Jeanne mocno ją przytuliła.

– Pochowaliśmy go, Marcel i ja – szepnęła. – Po południu zabiorę cię na jego grób.

– Jak do tego doszło? – zapytałam.

– To straszne, co tu się wyprawia, Mitch – odezwał się Marcel i rąbnął pięścią w stół.

– Tego dnia, jak wyjechałyście, Mosca wprowadziła się do Davida – powiedziała Jeanne. – To najgorsze, co mogło być. Przystał być sobą, no i ten tam architekt z Vannes zaczął tu przyjeżdżać.

– Chodzi ci o Gueraina?

– Tak, to on – potwierdził Marcel. – Ten w buciorach i z wielkim czarnym samochodem. Cały czas tu przyłazi z tą swoją dziewczyną.

– Nie oni jedni – dodała Jeanne. – W każdy jeden wieczór balują, samochody jeżdżą w tę i nazad, to i przejechały Pierrota. Co poniekąd to chleją na amen.

– Pierrot próbował ich odpędzić – powiedziałam, starając się pocieszyć Danielle.

– Był dobrym pieskiem – chlipnęła.

– A tych ludzi całą noc było słyhać z naprzeciwka – ciągnęła Jeanne. – Byli tam jeszcze, jak wstawałam krowy doić. A David zachorował na głowę, jak jest przy Mosce. Próbowałam z nim gadać, przemówić mu do rozumu, ale nic nie chce słuchać. Co dzień coraz gorzej. Jak żyję, czegoś takiego nie widziałam. Wszystko zniszczyli.

Razem z Jeanne i Marcelem przeszliśmy z powrotem przez drogę. Podwórce i warzywnik były zapuszczone, ale dopiero po wejściu do kuchni ujrzałam rozmiar zniszczeń. Wszystko było popsute albo spalone. Wokoło wałały się puste butelki po cydrze i winie. Z popielniczek wysypywały się niedopałki, krzesła leżały

przewrócone. Do ścian poprzylepiane były rysunki Moski, jednak nie te interesujące ponure prace prezentowane na wystawie, ale pełne złości, pornograficzne obrazki, które pościagałam, nim Jeanne lub Danielle zdążyły je dostrzec i przyjrzeć się im z bliska.

W zlewie piętrzyły się naczynia, śmieci wysypywały się z worków, a brudne rondle i patelnie stały na piecu, oblepione zaschniętymi resztkami i osmalone od spodu. Kredens pełen dżemów, suszonych owoców, pudełek z ciastkami i puszek z jedzeniem został doszczętnie ogołocony. Przeszliśmy korytarzem do sypialni. Łazienka tonęła w brudzie. W pokoju Danielle, pokoju gościnnym i w moim wszędzie leżały porozrzucane ubrania, a łóżka były rozgrzebane. David miał przecież własny dom. Czyżby razem z Moscą wprowadził się do głównego budynku? Czy Guerain spał w moim łóżku? Nawet nie chciałam o tym myśleć. Pragnęłam tylko oczyścić to wszystko, naprawić szkody i odkazić dom. La Salle została zbrukana przez wandalów. Pękało mi serce.

– Nie miałam jak cię ostrzec. – W oczach Jeanne zalśniły łzy. – Jak żyję, pierwszy raz żałowałam, że nie piśmienna. Chciałam napisać ci list. Nic nie mogłam zrobić, tylko siedziałam i patrzyłam, co się tam wyprawia.

– Nawet gdybyś napisała, kochana Mémé, niby jak bym na to poradziła w Chicago? Nikt z nas nie mógł nic zrobić. – Objęłam ją, a ona otarła łzy fartuchem.

W kredensie znalazłyśmy jedynie kilka torebek z herbatą, więc wyczyściłam jeden z garnków i zagotowałam wodę.

– Jesteś zła na Davida? – spytała Danielle z niepokojem.

– Bardzo.

– Ukarzesz go?

– Przez cały ten czas traktowałam go jak młodszego brata. Myślałam, że jest poczciwym człowiekiem. Może i jest, ale także słabym. To kameleon, zmienia kolory i zlewa się z otoczeniem. Poddaje się wpływom tych, z którymi przebywa, albo złym, albo dobrym.

– Mosca na pewno jest dla niego zła, wiadomo – zauważyła Jeanne. – Ale sam zdecydował, że tego chce. Nie musiał.

Zapatrzyłam się w kubek.

– To mi przypomina twoją opowieść o starym Fotreau. David obiecał, że pomoże, ale wszystko pogorszył. Zmienił się w tego sukinkota siostrzeńca!

– Nie przejmuj się, Mitch. Marcel i ja pomożemy wszystko wysprzątać – zapewniła mnie Jeanne.



– Ja też pomogę, mamusiu. Nie złość się na Davida. To nie jego wina, że Pierrot nie żyje – dodała Danielle, nadal zalana łzami.

Kilka minut później na podwórze wjechał z rykiem mercedes Gueraina. Kierowca z pewnością zauważył kamionetkę, bo zobaczyliśmy, jak zawraca, wciska pedał gazu i pośpiesznie zjeżdża ze wzgórza.

Po chwili wpadli David i Mosca.

– Cześć, kochane! Ależ niespodzianka! Oczekiwaliśmy was dopiero jutro. – David ruszył do nas ze zwykłą werwą, ale miał czerwone policzki i widać było, że czuje się zakłopotany. Mosca szła tuż za nim. Jej twarz była pozbawiona emocji, jednak błyszczący wzrok zdradzał, że jest zachwycona niezręcznością chwili. – Danielle, moja kochana, uściskaj mnie – paplał David. – Bardzo mi przykro z powodu Pierrota, naprawdę, to było okropne. Kupię ci innego szczeniaczka, siostrzyczko, słowo. Midge, nie przejmuj się tym bałaganem, posprzątam tu w mig. Wcześniej nie miałem czasu. Jak tam wyprawa?

– David? – Patrzyłam mu prosto w oczy, starając się, by dostrzegł głębię mojego rozczarowania. – Nie ma sensu udawać. Dom jest w ruinie, podobnie jak ogród. Najgorsze jednak, że pozwoliłeś Guerainowi i jego przyjaciółom przyjeżdżać do La Salle, być może nawet tu nocować, choć wiedziałeś, kim jest i co o nim myślę.

– Wiem, że kiepsko to wygląda, ale wszystko wytłumaczę...

– Urządziliśmy kilka prywatek, Midge – wtrąciła Mosca i podeszła bliżej mnie. – Nic w tym złego. Zawsze lubiłaś się zabawić.

Nie mogłam na nią patrzeć. Była jadowitą zmiją, zwiniętą pod kamieniem, czekającą na okazję do ataku. Odwróciłam się do Davida.

– Ufałam ci. Powierzyłam ci swój dom, ogród, Pierrota, wszystko. Byłeś częścią naszej rodziny. Jak mogłeś tak mnie zawieść?

– Posłuchaj, Midge, wytłumaczę...

– Teraz idziemy do Jeanne. Kiedy wrócimy, ma was tu nie być.

Danielle znowu wybuchnęła płaczem.

Godzinę później usłyszałam, jak odjeżdża MG Davida. To był koniec naszej przyjaźni.

\*

Następnego ranka zjawili się dwaj żandarmi z Elven i zaparkowali przy wejściu na podwórze. Jeanne i Marcel wyszli na drogę.

– Co was sprowadza do La Salle, chłopcy? – spytała Jeanne, zaglądając do auta.

– Sprawdzamy trop w sprawie architekta Gueraina, Mémé. Przepraszam, że przeszkadzamy, *madame* Drumont – oświadczył łysy, wysiadając z samochodu. – Dostaliśmy cynk, że na terenie pani posiadłości może być ukryta broń i materiały wybuchowe.

– Broń? Materiały wybuchowe? – powtórzyłam.

– Tak, proszę pani. Od dawna już podejrzewaliśmy, że Guerain należy do ruchu Breton Libre – wyjaśnił. – Nie mogliśmy tego udowodnić, lecz ostatnio zyskaliśmy niezbite dowody przeciwko niemu. Proszę wybaczyć, ale musimy przeszukać pani gospodarstwo.

– Guerain był przez krótki czas naszym architektem – odparłam. – Pozbyliśmy się go, gdy się okazało, że był kolaborantem. Chętnie pomogę przy rewizji.

– Co zrobił David? – spytała Danielle ciekawym głosem.

– Może córeczka powinna zostać w domu, *madame* Drumont – powiedział jeden z żandarmów. – Kto wie, czy to nie niebezpieczne.

– Zostaniesz ze mną, Danielle – oznajmiła Jeanne, obejmując ją.

Marcel i ja chodziliśmy od domu do domu razem z żandarmami, którzy przetrząsali strychy, zaglądali do pudeł i sprawdzali każdy karton oraz pojemnik, w którym dałoby się ukryć broń. W mojej pracowni wskazałam na klapę w podłodze, prowadzącą do piwniczki, w której *monsieur* Le Blevenec trzymał cydr. Żandarmi przykucnęli, żeby wejść, a gdy byli już w środku, dotykali dłońmi ścian i oświetlali latarkami ciemne kąty.

– Coś wyczuwam. Tutaj! – krzyknął któryś.

Po chwili wyciągnęli drewnianą skrzynię, jednak w świetle okazało się, że to pozostałości po wyciskarce do jabłek, pozostawionej przez *monsieur* Le Bleveneca.

– W innych gospodarstwach w tych okolicach znaleźliśmy już broń, materiały wybuchowe i propagandowe na temat nielegalnych francuskich rządów w Bretanii – wyjaśnił któryś żandarm.

– Z instrukcjami, jak walczyć o niepodległość – dodał inny. – Pewnie chciał wybadać możliwości pani gospodarstwa, ale nie zdążył nic przywieźć. Jego dziewczyna też należała do ruchu.

– Guerain mówił mi, że pewnego dnia Francja zostanie wyzwolona. Wtedy domyśliłam się, że to kolaborant. Do głowy mi nie przyszło, że nadal próbuje...

Wyjęli małe, czarne notatniki i zaczęli sporządzać zapiski na temat swoich odkryć – a raczej ich braku – żeby potem napisać oficjalny raport dla komendanta policji w Rennes. Nareszcie, po tylu latach, trafiło im się przestępstwo. Co więcej, jego częścią była La Salle!

\*

Szok wywołany zdradą Davida odebrał mi wszystkie siły. Kiedy dom wrócił już do normalności, nie pozostała mi ani odrobina energii. Było tak, jakby ktoś zgasił we mnie światło. Czułam tylko pustkę. Po rozstaniu z Yves'em przekułam smutek na pracę, teraz jednak, po raz pierwszy w życiu, nie miałam ochoty malować. Codziennie przez miesiąc po odwiezieniu Danielle do szkoły jechałam do Vannes i szłam na *la côte sauvage*, dzikie wybrzeże wzdłuż półwyspu Quiberon. Chodziłam po urwiskach, które opadały stromo do oceanu, i wsłuchiwałam się w ryk fal. Gdy nadchodziła pora, żeby odebrać Danielle, poruszałam się mechanicznie, nie mogąc się doczekać, aż powrócę tu następnego dnia i znów będę mogła nie robić nic poza obserwowaniem fal uderzających o brzeg.

Rozkładałam się na wysokiej skale nad oceanem i choć bardzo próbowałam oczyścić umysł i o niczym nie myśleć, nie mogłam przestać zadawać sobie pytania, czy nie należało rozegrać sprawy inaczej. A gdybym odesłała tylko Moscę, a nie Davida? Nie winiłam go za wszystko. Mosca, wyczuwając słabość, podporządkowywała go sobie, gdyż była drapieżnikiem. Ale niby co by to dało? Był w niej zakochany, na pewno ruszyłby za nią. Myśli przyfruiwały i raniły mnie niczym użądlenia pszczoły, a następnie znikwały jak podmuch wiatru... Dzień po dniu powracałam na *côte sauvage* i patrzyłam na fale niezmordowanie rozbijające się o wybrzeże.

Pewnego popołudnia, medytując w ulubionym miejscu, usłyszałam głos z głębi świadomości. Choć próbowałam go uciszyć, atakował mnie unisono z rykiem fal i zarzucał pytaniami, których tak długo udawało mi się uniknąć.

„Czy to nie była również twoja wina? Czy częściowo nie odpowiadasz za rozpad tego małżeństwa? Spróbuj powrócić myślami do punktu zwrotnego, do chwili, w której wszystko się zmieniło. To był dzień, w którym Yves kazał ci przestać malować. Pamiętasz? Nic nie odpowiedziałaś. Ustąpiłaś. Ujawniłaś słabość. Właśnie w tamtym momencie uchyliłaś drzwi przed niezliczonymi, nieuzasadnionymi żądaniami, które posypały się później. A gdybyś odmówiła? Gdybyś zatrzasnęła drzwi, zebrała się na odwagę w tamtym krytycznym momencie i oświadczyła: »Nigdy nie przestanę malować. Pogódź się z tym i kochaj mnie taką, jaka jestem, albo mnie zostaw. Wrzeszcz na mnie, wal pięścią w stół, ale i tak będę malowała. Nie w sekrecie, ale otwarcie i z pasją. Wykrzyczę całemu światu, że jestem malarką«? Gdybyś od samego początku odważnie ustaliła nieprzekraczalne granice tego, o co może cię prosić, a o co nie, wtedy i w przyszłości, czy wówczas zdałby sobie sprawę

z twojej siły i determinacji? Czy wszystko potoczyłoby się inaczej? Czy nadal bylibyście razem i jako partnerzy wspierali się nawzajem w zaspokajaniu potrzeb i aspiracji? Czy ośmieliliby się cię uderzyć? Czy zgadzając się na jego idiotyczne żądania, nie zasiałaś ziarna wątpliwości, które zaowocowało przemocą i cierpieniem?”

Głos w mojej głowie rozbrzmiewał coraz głośniejsze, coraz bardziej oskarżał, zadawał coraz więcej pytań, na które nie mogłam znaleźć odpowiedzi.

\*

Mosca zostawiła Davida wkrótce po tamtej konfrontacji. Potem widziałam go jeszcze kilka razy. Oboje byliśmy zakłopotani podczas naszych przypadkowych, krótkich spotkań i nigdy nie rozmawialiśmy o tym, co zaszło. Mimo wszystko nie wierzyłam, że David pozwoliłby na składowanie broni w La Salle, bez względu na to, jaki wpływ miała na niego Mosca. Po jakimś czasie usłyszeliśmy, że wrócił do Szkocji, i nigdy więcej go nie widziałam.

Danielle była w rozpacz. Nie dało się jej pocieszyć po podwójnej traumie wywołanej śmiercią Pierrota i wyjazdem Davida. Gdy zachowywała się niegrzecznie, upominałam ją i wszystko szło w niepamięć. Niby jak miała zrozumieć, że musiałam odprawić Davida? Co gorsza, już po raz drugi straciła kogoś, kto był dla niej bardzo ważny.

– Uważała go za starszego brata – powiedziałam do Jeanne. – Niezależnie od tego, czy postępował dobrze, czy źle, był dla niej autorytetem. Bardzo tęskni za ojcem, a teraz nie ma Davida, ani nawet Pierrota, który by ją pocieszył.

– Nie mogłaś pozwolić, żeby David został, skoro zrobił, co zrobił. To nie byłoby dobre, Mitch – odrzekła Jeanne. – Przyjdzie dzień, że malutka to zrozumie, jak będzie starsza.

– Tak, z czasem. Ale teraz?

– Nie oszczędzisz jej bólu, *ma fille*. Tak jak nie zatrzymasz pory roku. Tak to już jest. *Elle va connaître la misère dans la vie*.

Znowu to zdanie. Znowu te słowa! „Zakosztuje biedy w życiu”. Moja ukochana Jeanne, tak pełna życia i niezłomna, też powtarzała tę bretońską mantrę, na której dźwięk zawsze się wzdrygałam.

– Dlaczego, Jeanne? Dlaczego musi jej zakosztować? Jest taka mała. A skoro naprawdę musi, nie można poczekać, aż będzie starsza? Niech jak najpóźniej pozna, czym jest nieszczęście.

Na pomarszczonej twarzy Jeanne pojawiła się mina sfinksa, tak jakby mądrość mojej przyjaciółki pochodziła z pradawnych wieków. Patrzyłam, jak okrągłe, zniszczone oblicze Jeanne staje się zagadką, i przypomniało mi się, że gdy miała dwa lata, posłano ją w pole, by pilnowała krów, które nad nią górowały. Jak bardzo musiała się wtedy bać! Nie miała jednak wyboru. Została i robiła, co jej kazano. Pomyślałam o tamtym maleńkim dziecku i o przytłaczających je obowiązkach, które rozrastały się wraz z narodzinami każdego kolejnego brata lub siostry. Przypomniałam sobie, jaki druzgocący ból i strach musiała czuć po śmierci matki. Myślałam o samotności, którą znosiła, gdy Luc trafił do niewoli, i potem, kiedy umarł, a ona ponownie została bez żadnej pomocy w gospodarstwie, z dwoma synkami młodszymi od Danielle. Myślałam o smutku, który musiał ogarniać ją teraz, ze względu na Thérèse, zazdrosną o jej bliskość z Claudine. Zastanawiałam się nad długimi, chłodnymi zimami bez ogrzewania i bieżącej wody w domu, nad niekończącą się pracą w oborze i na polach. Myślałam o tym, że kiedyś nie byłabym w stanie nawet wyobrazić sobie, że można tak harować. Jak dała sobie radę? Jak zachowała dobry humor i pasję życia? Czyżby niektórzy rodzili się z umiejętnością przewycięzania bólu oraz przeciwności losu i zachowywali energię oraz pogodę ducha, podczas gdy innych niszczyły o wiele mniejsze problemy?

Być może istniała mądrość w założeniu, że nieszczęście jest elementem życia i należy się pogodzić z jego nieuchronnością, gdyż próby zaprzeczania temu sprawiają, że dramaty są jeszcze bardziej niszczące i zabójcze. Kiedy wówczas zdarza się coś tragicznego, człowiek jest nieprzygotowany i tym bardziej cierpi. A skoro tak, to „*tu vas connaître la misère*” nie ma wydźwięku pesymistycznego. To tylko dawny sposób patrzenia na życie, akceptacja tego, co ono przyniesie. Dobro jest mitygowane świadomością, że to część życia, a oczekiwanie na nieszczęście łagodzi nieuchronny powrót smutku. Dobro i zło nie są przeciwieństwami, lecz raczej powiązаныmi i nierozdzielnyymi elementami całości. „*Tu vas connaître la misère dans la vie*” już nie brzmiało niczym pogróżka. Wysuszone na wiór pola kiedyś nawilży deszcz, a potem znowu wyschną. Życie również oscyluje między jednym biegunem a drugim. W tym momencie bywa pełne radości, w następnym zamiera, zdruzgotane przez stratę i rozczarowanie. Jedno i drugie to nieodłączna część planu, tak jak mówiła Jeanne. Tak jak jedna pora roku przychodzi po drugiej.

Pewnego dnia, podczas spaceru po urwisku pomyślałam nagle z żalem, że mogłam zabrać ze sobą szkicownik. Nazajutrz znów zaczęłam malować.

*Czepiec*

– Wiedziałam, że któregoś dnia odejdiesz.

– Skąd wiedziałaś?

– Nie urodziłaś się na wsi, Mitch. Bywa, że nawet tacy, co się tu urodzili, nie dają sobie rady. To nie jest życie dla każdego.

– Myślałaś kiedyś o opuszczeniu gospodarstwa, Jeanne?

– Ja? *Dame*, nie. To wszystko, co znam, więc nigdy mi nie odbijało. Dzisiejsi młodzi, jak Jacqueline, może nawet Claudine, nie daliby rady usiedzieć w gospodarstwie. Jak dziewczyna załapie, że można żyć inaczej, to marzy tylko o wyjeździe, a jak nie da rady wyjechać, całe życie chodzi nieszczęśliwa, jak biedna Thérèse. Dorostaś w mieście, *ma fille*. Gdzie tobie żyć na wsi, w dodatku samej, bez mężczyzny do pomocy? Może jakiś czas, ale nie na długo. To za ciężkie.

Wzięłam z pieca dzbanek i nalałam nam kawy do kubków.

– Powtarzam sobie, że mam istotne powody. – Westchnęłam. – Na przykład, że Danielle potrzebuje lepszej szkoły, że musi przebywać z dziećmi w swoim wieku, uczyć się matematyki i fizyki, której Noël nie nauczy jej w wiejskiej szkółce. Że muszę zarabiać, a wszyscy w Morbihanie, którzy są zainteresowani moimi obrazami, już kupili jeden czy dwa. I to wszystko prawda, ale masz rację. Nie urodziłam się na wsi. Kocham to życie i nie chcę sprzedawać La Salle. Nie chcę wyjeżdżać. Przede wszystkim nie chcę zostawiać ciebie, ale muszę. To dla mnie zbyt trudne.

– Gdzie pojedziecie?

– Myślałam o powrocie do Paryża, ale tam mieszka Yves, a świat sztuki jest niewielki. Po sprzedaży La Salle wystarczy mi pieniędzy na wyjazd do Rzymu. Rzym jest we Włoszech.

– We Włoszech? Tam mówią swoją gwara, tak?

– Mówią po włosku.

– A ty umiesz?

– Jeanne, *ma chérie*. Przecież wiesz, że nie. Ale się nauczę.

Jeanne pokręciła głową.

– Pewnie nikogo tam nie znasz.

– Rzeczywiście nie, ale mogę pokazywać obrazy w galeriach. I jest tam dobra francuska szkoła dla Danielle. Włochy nie leżą daleko. Zawsze będę do ciebie wracała. Nie będzie już tak jak teraz, kiedy mieszkamy naprzeciwko siebie, ale przecież to tylko dwa dni jazdy autem albo doba pociągiem. Znasz mnie, jestem jak królik. Będę często wracać.

Miesiąc później pomogła mi się spakować.

\*

Nasz ostatni rok w La Salle był słodko-gorzki. Wkrótce po odejściu Davida zrozumiałam, że nie dam rady tu zostać. Może za bardzo na nim polegałam, może to był szok związany z jego zdradą. W każdym razie teraz, kiedy go nie było, czułam się zagubiona. Naturalnie Jeanne nadal mnie wspierała, jak zawsze. Troszczyła się o mnie niczym kwoka, chociaż nigdy nie byłam tego świadoma. Wiedziałam jedynie, że w chwili, gdy jej potrzebowałam, zjawiała się nagle i zupełnie znikąd. W ostatnim roku stałyśmy się sobie jeszcze bliższe. Albo ja siedziałam u niej w domu, albo ona u nas. Udało mi się sprzedać kilka obrazów i kupiłam zamrażarkę, którą chciałam jej podarować już wiele lat wcześniej. Stała w wąskim korytarzyku między kuchnią a oborą i była na tyle duża, żeby dało się tam zamrozić cały zbiór owoców, wszystkie warzywa i całą świnie.

– Bogu dzięki – oznajmiłam, gdy podarowałam Jeanne zamrażarkę. – Ani razu nie spytałaś: „Ile ci jestem winna?”. Yves mówił, że wszyscy na wsi muszą powiedzieć: „*Combien je te dois?*”, nim przyjmą jakikolwiek prezent, żeby nie czuli się zobowiązani. Moim zdaniem to paskudny zwyczaj.

– Ciągłe byśmy musiały to sobie mówić. Ja też nie cierpiałam tego zwyczaju, ale trzeba było ciebie w wiosce, ażebyś zapomniała o tej głupocie.

Nie mogłam sobie wyobrazić życia bez Jeanne. Chciałam robić wszystko tak jak ona – od sposobu, w jaki radziła sobie z życiowymi niespodziankami, do jej min przy ubijaniu ciasta na quatre quarts. Pragnęłam naśladować to, jak smażyła naleśniki, ku naszemu zachwytowi podrzucając je wysoko fachowym ruchem nadgarstka. Sprawnie wylapywała je na patelnię i nigdy żaden nie wypadł. Chciałam jak ona uprawiać najpiękniejsze rdzawe szalotki, jak ona trzymać je w dłoni, głaskać kciukiem, pocierać i ścisnąć. Musiała mieć pewność, że każda ma odpowiednią twardość, nim trafi do garnka. Instynktownie wiedziała, które zioła i trawy mogą wyleczyć chorobę. Z zawadiackim błyskiem w oku potrafiła przetrwać najtrudniejsze chwile. Podobnie jak jej matka, która umiała wskoczyć na galopującego konia, tak i Jeanne rzucała się na życie, chwytając je oburącz i nigdy nie zwalniała. Była *disponible*, zawsze do

dyspozycji. Gdy zjawiał się nieoczekiwany gość, rzucała wszystko, co akurat robiła, by wyciągnąć szklanki z kredensu, przetrzeć je fartuchem, otworzyć butelkę najlepszego cydru z piwniczki i zasiąść do pogawędki. Słuchała gościa uważnie, niezależnie od pracy czekającej ją w polu czy ogródka. Była obecna całą sobą, żyła chwilą, całkowicie i niepodzielnie. Zastanawiałam się, jak *disponible* będę po powrocie do miasta, w którym czekały mnie wszystkie miejskie atrakcje.

Czy w ogóle będę o niej pamiętała? Czy z czasem wspomnienia zbledną?

\*

Miała sześćdziesiąt osiem lat, gdy zobaczyłam ją po raz pierwszy. Wszyscy mówili na nią Mémé. Jej majątkiem były trzy krowy. Nie potrafiła pisać ani czytać, a małą wioskę opuszczała wyłącznie w niedziele, gdy fachowo przypinała nakrochmalony morbihkański czepiec z białej koronki i szła trzy kilometry przez pola, by zjawić się na mszy w maleńkim wiejskim kościółku w Sulniac. Do momentu, gdy się poznałyśmy, nigdy nie siedziała w aucie ani nie rozmawiała przez telefon.

Kiedy za pierwszym razem zabrałam ją do Vannes, akurat był dzień targowy, więc zazwyczaj senne miasto tętniło życiem już od świtu. Rolnicy ze wsi w promieniu wielu kilometrów zjeżdżali tu jeszcze przed wschodem słońca, żeby rozstawić stragany, a raniem mieszkańcy pobliskich miasteczek i wiosek spotykali się i wymieniali towarami. Potem wiedli życie towarzyskie w maleńkich kawiarenkach, w których serwowano naleśniki z domowymi dżemami oraz *galettes* z szynką i serem. Przekąski były obowiązkowo splukiwane ogromną ilością bursztynowego mocnego cydru. Po południu miasto ogarniała karnawałowa atmosfera, przeobrażając je nie do poznania. Jeanne uwielbiała tłumy i gwar. Ramię w ramię dawałyśmy się porwać ludziom, mieszając się z nimi tak, jak ptaki łączą się w stado, a potem podążałyśmy do pasażu pełnego pulsujących, rozmigotanych i ruchliwych ryb, takich, jakich nigdy nie widziała. Każdy mijany rybak przekrzykiwał harmider, żeby przykuć naszą uwagę. Niczym posłaniec obwieszczający jej przybycie, płaski koronkowy czepiec zdradzał, że dotarła tu z Morbihanu. Wszyscy ją witali, a ona rozmawiała z każdym. Przy straganach warzywnych gawędziła z rolnikami, podziwiała kolorowe ekspozycje i dziwiła się na widok dorodnych karczochów, które ujrzała po raz pierwszy w życiu. Za rogiem przyglądałyśmy się, jak rolnicy sprzedają i kupują krowy, kozy i indyki, uwięzione niczym skazańcy w drewnianych skrzynkach. Widziałyśmy kury i króliki, na próżno popiskujące w ramach protestu, i inne, świeżo ubite i ostentacyjnie wystawione na pokaz z wybebeszonymi wnętrznościami. Pozbawione życia zwierzęta zwisały z dyndającymi głowami i oczami znieruchomiały w chwili śmierci.



– Obrzydliwe – mówiłam, po czym odwracałam wzrok i odciągałam Jeanne od miejsca zbrodni.

Przed nadejściem wieczoru rolnicy składali stragany. Tłumy się rozpraszały, a gwar cichł, tak jakby dyrygent uniósł batutę i zasygnalizował „piano, piano... andante”. Miasto powracało do zwykłego, nieśpiesznego rytmu. Spacerowałyśmy po spokojnych ulicach aż do nabrzeża, by tam wypić cydr i posiedzieć w ogródku kawiarni z widokiem na przystań. Zmęczone, ale rozradowane, patrzyłyśmy na zachód słońca, które rozgrzewało się gorączkowo i żarzyło, aby wybuchnąć jaskrawymi, ognistymi barwami, jakby próbując oddać emocje dnia, a potem delikatnie i cicho zgasnąć nad przystanią.

\*

Tamtego ostatniego roku Danielle i ja zabrałyśmy Jeanne do Wersalu i Paryża. Dokądkolwiek poszła, ludzie na ulicy i w kawiarniach rozpoznawali jej czepiec i wołali: „*Bonjour la Morbihanaise!*” Uśmiechała się do nich, żartowała z nimi i nigdzie nie czuła się skrępowana. Ogromne nieskazitelne ogrody Wersalu, pełne pięknych posągów i zdobionych fontann, zrobiły na niej wrażenie. Z niedowierzaniem kręciła głową i co jakiś czas wykrzykiwała: „*Merde, alors!*”, kiedy spacerowałyśmy po tonących w złocie pałacowych komnatach. To wszystko musiało się jej wydawać zupełnie nierealne, jednak wcale się nie męczyła i ciągle chciała zobaczyć więcej. Po wizycie w Wersalu pojechałyśmy do stolicy. Od dawna marzyłam o tym, żeby ją tam zabrać. Gdy wcześniej napomknęłam, że Danielle i ja musimy na kilka dni jechać do Paryża i chciałabym ją zabrać ze sobą, nic nie odpowiedziała, lecz jej twarz się rozpromieniła, a oczy lśniły jeszcze bardziej niż zwykle. Wtedy wiedziałam już, że będzie nam towarzyszyć. Dałam jej niewielką walizkę, żeby spakowała to, co chce zabrać.

– Zabrać? Ale co miałabym zabrać, Mitch? – zapytała ze zdumieniem.

Nigdy w życiu nie opuszczała gospodarstwa, poza krótkim pobytem w klinice, wiele lat wcześniej załatwionym przez doktora Le Beca.

Zameldowałyśmy się w hoteliku na lewym brzegu, tam gdzie zatrzymałam się lata temu, tuż po przyjeździe z Ameryki. Nigdy nie zapomnę wyrazu twarzy Jeanne, kiedy weszłyśmy do maleńkiego holu i złożyłyśmy podpisy w recepcji. Wyglądała jak dziecko, które zobaczyło coś, czego istnienia nawet nie podejrzewało. Być może zastanawiała się, czy to się dzieje naprawdę. Sądziłam, że będzie przerażona rozklekotaną windą, która zawiozła nas na trzecie piętro, ale okazała się zbyt rozradowana, aby się bać. „*La boîte qui monte!*”, westchnęła z niedowierzaniem.

„Wspinająca się skrzynia” wyhamowała hałaśliwie na trzecim piętrze, a my poszliśmy za nieletnim boyem, który wniósł nasze bagaże do pokoi. Zająłem razem z Danielle jedno pomieszczenie, a Jeanne drugie, łazienka była wspólna. Nigdy dotąd nie miała własnej łazienki wewnątrz budynku, nie wspominając o wannie i bidencie. Kiedy w końcu namówiłam ją, żeby na chwilę rozstała się z cudami w pokojach, udałyśmy się na przechadzkę po Paryżu. Był idealny wiosenny dzień, żeby *strani*, czyli spacerować, jak powiedziałyby Jeanne w gallo. Magiczne paryskie światło przedzierało się przez chmury, delikatnie rozświetlając to piękne miasto. Ręka w rękę, ze skaczącą u boku Danielle, przespacerowałyśmy się nad Sekwanę, chodziłyśmy po mostach i po krętych uliczkach, pełnych sklepów, restauracji i kawiarenek. Jeanne podziwiała witryny sklepowe, parki, pełne drzew bulwary, wysokie budynki, tłumy ludzi, korki i podziemne metro. Pokazując jej Paryż, raz jeszcze poczułam się nim oczarowana.

Zatrzymywałyśmy się w każdej kawiarence czy cukierni, która nas skusiła, żeby odpocząć i popatrzeć na tętniące życiem miasto. Właściciel jednej z kawiarni pochodził z wioski w Morbihanie, nieopodal La Salle, i natychmiast rozpoznał czepiec. Powitał Jeanne niczym ukochaną krewną i choć nigdy wcześniej się nie widzieli, ucałowali się po dwa razy w każdy policzek. Gdziekolwiek pojawiła się Jeanne, zachwycało ją dosłownie wszystko. Każde odkrycie tylko zaostrzało jej apetyt, konsekwentnie z wyjątkiem telefonu i telewizora. W tej kwestii nigdy nie ustąpiła. W drodze do Paryża i z powrotem unikałyśmy głównych dróg, wybierając te boczne. Opowiadałyśmy historyjki, ponownie przeżywałyśmy to, co nas spotkało na wycieczce, ze śmiechem otwierałyśmy szeroko okna i zdarzało się nam zatrzymać to tu, to tam, dziesiątki razy, na piknik albo kiedy któraś z nas zobaczyła coś, czemu pragnęła bliżej się przyjrzeć. Po pewnym czasie Jeanne przestała traktować kamionetkę jak śmiertelną pułapkę, choć zachowała wrodzoną nieufność do innych aut na drodze.

Nasze życie nie mogłoby się bardziej zmienić. Z pozoru naprawdę nie miałyśmy ze sobą nic wspólnego, a jednak nikt nigdy nie był mi bliższy. Zastanawiałam się, czy Jeanne za mną zatęskni, gdy wyjadę, czy też zadowoli się takim życiem, jakie wiodła, zanim przyjechałam do La Salle – tą samą powtarzającą się, niezmienną rutyną, rok po roku, dzień po dniu.

\*

Rzeczywiście, wróciłam. Za pierwszym razem jesienią, kilka miesięcy po tym, jak wraz z Danielle przeniosłam się do Rzymu. Nową właścicielką naszej połowy La

Salle była pisarka z Paryża. Powiedziała, że mając tyle budynków, może mnie gościć przy każdej mojej wizycie. Rozlokowałam się w dawnym tymczasowym domu, domu Davida, i zostałam na tydzień. Czułam się tak, jakbym nigdy nie wyjechała. Jeanne i ja składałyśmy sobie długie wizyty, opowiadając o wszystkim, co się wydarzyło, bez pomijania żadnych szczegółów, nawet najbardziej trywialnych. Z Włoch kilka razy dzwoniłam do Rogera i nalegałam, by zawołał Jeanne do telefonu. Zmusiła się do rozmów, ale mówiła dziwnym, piskliwym głosem. Było jasne, że nienawidzi aparatu i jest skrępowana. Rok później, po śmierci Marcela, przyjechałam znowu. Sądziłam, że zastanę Jeanne w żałobie, ale była taka jak zawsze. Nad szklaneczką cydru zauważyła rzeczowym tonem:

– Śmierć przyjdzie po każdym, prędzej czy później. Nic tego nie zmieni, Mitch. Marcel i ja mieliśmy dobre życie. Był dobrym człowiekiem, ciężko pracował. Więcej nie trzeba.

Wiele miesięcy później zostawiłam Danielle u przyjaciół w Rzymie i znów pojechałam do La Salle. Jeanne nie opuszczała moich myśli. Czułam w sobie ogromną pustkę i często się zastanawiałam, czy nie popełniłam okropnego błędu, wyjeżdżając z bretońskiej wioski do Włoch. Czy wtedy przeszło mi przez myśl, że już nigdy więcej jej nie zobaczę? Spałam na przenośnym łóżku w jej kuchni, więc mogłyśmy spędzać razem każdą minutę. Przyłapywałam się na tym, że obserwuję ją uważnie, jak gdybym chciała zapamiętać najdrobniejsze szczegóły. Patrzyłam, jak kąciki jej ust rozciągają się w uśmiechu, jak jej twarz się marszczy i jak promyki światła tańczą w jej oczach. Chciałam zapamiętać jej ciepły zapach, który kojarzył mi się z wonią jabłek z cynamonem, gotujących się na piecu. Przy niej czułam się jak w ochronnym kokonie, gdzie wszystko wydawało się bezpieczne i takie jak trzeba. To właśnie w tej małej, skromnej kuchni – z długim drewnianym stołem i twardymi ławami bez oparcia, klepiskiem zamiast podłogi i ze starym, poczerniałym kociołkiem żeliwnym, zawieszonym nad rozżarzonymi węglami, z którego wydobywał się aromat kapuśniaku – znalazłam jedyne bezpieczne miejsce, miejsce bezwarunkowej miłości, gdzie mogłam być sobą. Patrząc, jak Jeanne krząta się przy palenisku i piecu, miałam wrażenie, że wpatruję się w matkę w dzieciństwie albo w pracującą w kuchni babkę. Niekiedy wydawało mi się, że cofnęłam się w czasie, żebym mogła poznać Jeanne. Zostawiłam chwilę obecną i przeżywałam czas, którego już nie było. Patrzyłam na dawną krewną, którą kochałam bardziej niż kogokolwiek w przeszłości, teraźniejszości i w przyszłości. Czas cofał się i galopował naprzód, całkiem jakby wyrwał się spod kontroli. To było bez znaczenia. Liczyła się tylko ta chwila, w tej kuchni, razem z Jeanne.

Pewnego dnia wyciągnęła stare pudełko na buty, w którym przechowywała czepce. Z samego spodu wyjęła piękny, nakrochmalony koronkowy czepiec, który przez ponad pół wieku trzymała owinięty bibułą. To był czepiec, który miała na sobie jako szesnastolatka, ten sam, który widniał na jej ślubnym zdjęciu na kuchennej ścianie. Odwinęła go z namaszczeniem i nie dało się nie zauważyć, jak bardzo jest dla niej cenny. Usiadła obok mnie na kuchennej ławie, po czym włożyła sześć wsuwek w moje włosy i przypięła czepiec. Następnie podeszła do kredensu, skąd przyniosła stare, zmętniałe lustro, żebym mogła się przejrzeć.

– Do twarzy ci w nim – oznajmiła z pełnym satysfakcji uśmiechem. – Chcę, żebyś go wzięła, *ma fille*.

– Chciałabym go mieć. Bardziej niż cokolwiek innego.

– Przyniesie ci szczęście. To na twój ślub.

– Jeanne, kochana. Nie chcę cię rozczarowywać, ale nie jestem w stanie sobie wyobrazić, że mogłabym jeszcze kiedykolwiek wyjść za mąż.

– Teraz tak myślisz, ale to się zmieni.

Uśmiechnęłam się, po czym spowaźniałam.

– Nie sądzę. Nauczyłam się już żyć z rozczarowaniami i smutkiem, ale pewne rany nigdy się nie goją.

– Posłuchaj, Mitch. Całe życie robię przy krowach, to i myślę teraz jak one. Słyszałaś, jak ryczy krowa, kiedy jej cielaka na targ ciągną? Tak, jakby kto skradł jej część. Jakby umierała i błagała, żeby skrócić jej to cierpienie. Nie miną dwa dni, a ona znów jest na pastwisku i spokojnie muczy.

– Tak to wygląda, ale skąd możemy wiedzieć, co naprawdę czuje?

– Choćby i mocno bolało, *ma fille*, choćby się cierpiało, to i tak trzeba zapomnieć o bólu.

– Myślisz, że ludzie powinni biernie przyjmować to, co przynosi im życie? Mają być jak krowy i wracać na pastwisko?

Jeanne pokiwała głową.

– Jak przyjdzie czas, to znowu komu zaufasz i wyjdiesz za mąż. A kiedy to będzie, włóż czepiec i pomyśl o swojej Mémé.

*Nie zapomnij mnie*

Przez długi czas nie docierały do mnie żadne wieści z La Salle. Niemal aż do śmierci Marcel pisywał do mnie regularnie. Uwielbiałam jego listy. Charakterem pisma pilnego ucznia, spisane fonetycznie, były ciepłe i pełne informacji. Po jego śmierci, od czasu do czasu pisała do mnie Claudine. Potem wyszła za przystojnego piłkarza z Theix i listy przestały przychodzić. W końcu jednak odezwała się ponownie. Wspomniała w liście, że Mémé kiepsko się czuje, a potem zmieniła temat, donosząc, co się ostatnio wydarzyło w La Salle. I tyle.

List był nadany na pocztę miesiąc wcześniej. Kiedy go jednak napisała? A jeśli nie został wysłany od razu? Meurice, listonosz, wpadał do wiosek tylko sporadycznie, co gorsza, włoska poczta słynęła z opieszałości. Raz za razem czytałam jedno zdanie: „Mémé kiepsko się czuje”. Co to oznaczało? Wpadłam w przerażenie. Zadzwoiłam do Josepha Le Bleveneca, a on powiedział mi, że Jeanne Montrelay umarła. „Kiedy?”, krzyknęłam. „Dwa tygodnie temu”. Zamarłam. Nie mogłam skupić się na jego słowach. Po odłożeniu słuchawki z trudem przypominałam sobie, że mówił coś o chorobie Jeanne i o tym, że trudno się jej żyło bez Marcela. Thérèse odmówiła opieki nad teściową, nie chciała też przyjąć jej do siebie. Kiedy Jeanne zupełnie przestała sobie radzić, wprowadziła się do młodszego syna, Marcela, i jego żony, drugiej Thérèse. Spróbowałam się opanować i zadzwoniłam do nich. Odebrała Thérèse.

– A tak, zmarła – oznajmiła rzeczowo. – Ze dwa tygodnie temu. Pod koniec była mocno chora. Wprowadziła się do nas, ale marnie z nią było. Nie mogła zarobić na utrzymanie ani w ogóle.

– Bardzo cierpiała, Thérèse?

– Pewnie tak, Midge. Była dla nas strasznym ciężarem.

Omam nie pękło mi serce. Och, Jeanne! Zupełnie sama pod koniec życia. Chora, obolała i samotna. *La vraie misère*.

Pamiętam dzień, w którym przybyłam do Paryża. Miałam wtedy tylko dwadzieścia osiem lat, byłam młodą, niepraktyczną idealistką, zupełnie nieświadomą znaków ostrzegawczych. Skąd mogłam wiedzieć, że trafię na głuchą wieś w odległym zakątku departamentu Morbihan, z dala od miast i miasteczek, właściwie od wszystkiego, co znałam i co sobie wyobrażałam? Czasami nie potrafiłam sobie poradzić z samotnością. Zdarzało mi się jechać do Vannes tylko po to, by usiąść w kawiarni wśród ludzi. Nie musiałam ich znać ani z nimi rozmawiać. Ich obecność łagodziła ból samotności. Dorastałam w dużym mieście, w zupełnie innym świecie. Nigdy nie sądziłam, że pewnego dnia poślubię Francuza, który zabierze mnie do jakiegoś absurdalnego miejsca, gdzie będę musiała rąbać drwa, by nie zmarznąć, wymachiwać maczetą, by przedrzeć się przez kolczaste krzaki, i mieszkać wśród chłopów, którzy bardziej przypominali ludzi z minionej epoki niż z obecnej. Gdybym wtedy wiedziała to, czego się nauczyłam później, pewnie postępowałabym inaczej, roztropiej. Jednak spoglądając wstecz, nie zmieniłabym niczego, co doprowadziło mnie do Jeanne Montrelay. Moje życie dzieli się na dwie części: zanim ją poznałam i potem. Zanim się spotkałyśmy, nie wiedziałam, że takie osoby istnieją, i nie miałam pojęcia, jak ciężkie bywa życie kobiety ani jak dzielna i odporna musi ona być, aby przetrwać. Nawet nie podejrzewałam, że ktoś tak nierozzerwalnie związany z naturą i przeszłością okaże mi miłość, jakiej zawsze mi brakowało. Skąd miałabym to wiedzieć, zanim wyszłam za Yves'a i zanim dziwnym zrzędzeniem losu zostałam kasztelanką w La Salle?

\*

Lata później, kiedy Danielle była już dobrze po dwudziestce, wróciłyśmy do La Salle. Moja córka wyrosła na wysoką, smukłą kobietę, i niekiedy czesała bursztynowe włosy w koczek, tak jak kiedyś Jeanne. Jeanne i Marcel odeszli, więc temu powrotowi towarzyszyły pustka i wszechogarniający smutek. Jednak Danielle i ja czułyśmy się wewnętrznie związane z Morbihanem i bardzo pragnęłyśmy ponownie zobaczyć osadę. Po drodze minęliśmy starą, przygarbioną, ubraną na czarno kobietę, która uniosła wzrok i nam pomachała. Odmachałam jej z uśmiechem i poczułam, że zaraz wybuchnę płaczem. W La Sallette, u stóp wzgórza, nie było nikogo.

Wjechałyśmy na szczyt i skręciłyśmy w lewo, na podwórze. La Salle już kilkakrotnie zmieniła właścicieli i teraz należała do bogatej rodziny z północy kraju, która wyremontowała i zmodernizowała budynki, by spędzać tu letnie miesiące. Z pozoru wydawało się, że nic się nie zmieniło. Dwa drewniane słupy, rzeźby przedstawiające Yves'a i mnie, nadal strzegły wjazdu. Upływ czasu oraz częste,

niszczycielskie burze wygładziły ranę na mojej twarzy i postarzyły słupy – teraz wyglądały one jak prastare posągi, które stoją tu od zarania dziejów. Światło nic a nic się nie zmieniło. Wczesnoporanna mgielka ustąpiła miejsca słońcu i dało się zauważyć połysk rozmigotanej jasności w zatoce na horyzoncie, tak jak w dniu rozbiórki starego magazynu. Nikogo nie było, więc przeszliśmy na drugą stronę jezdni. Dom Jeanne i Marcela stał zabity deskami. Ruszyliśmy ścieżką do Thérèse i Rogera, ale tylko stary kundel powitał nas jazgotem. Najwyraźniej wszyscy wylegli na pola.

Pojechaliśmy na miejsce pochówku Jeanne i Marcela. Był to mały cmentarzyk na wzgórzu, cichy i spokojny, z widokiem na pola oraz łąki. Szukałyśmy grobów przy alejkach wysadzanych prostymi nagrobkami i pełnych ozdobnych wazonów z plastikowymi kwiatami. Danielle zawołała do mnie z końca jednego z rzędów, gdzie znalazła dwa małe nagrobki:

MARCEL MONTRELAY  
*bien aimé époux de Jeanne*  
1900–1983  
JEANNE DIQUERO MONTRELAY  
Mémé  
1897–1987

Postawiłyśmy między dwoma nagrobkami przywiezioną ze sobą doniczkę z ciemnofioletowymi hortensjami. Wiedziałam, że Jeanne byłaby zachwycona. Usiadłam na kopczyku ziemi przy jej grobie. Danielle pocałowała mnie w czoło i odeszła, bym mogła zostać sama z przyjaciółką.

Bardzo długo nie ruszałam się z miejsca. Łzy napłynęły mi do oczu. „Była dla nas strasznym ciężarem”, powiedziała Thérèse. Wciąż słyszałam jej głos. Mogłam sobie tylko wyobrazić, jak obcesowo i niecierpliwie odnosiła się do Jeanne, gdy ta była już słaba, obolała i niezdolna do pracy. Zawsze słyszałam, że ludzie na wsi muszą pomagać, dopóki żyją. Ale co, jeśli byli chorzy, umierający i zwyczajnie bez sił? Czy należało ich odrzucić? Pozbyć się ich? Moja kochana Jeanne. Nikt nie napisał mi, że umierasz, ale powinnam była wiedzieć. Tak jak ty wiedziałaś za każdym razem, gdy cię potrzebowałam w La Salle i znieckała się zjawiałaś. Dlaczego nie było mnie przy tobie na sam koniec? Czemu nie zajęłam się tobą tak jak wtedy, kiedy Moomoot cię kopnęła, a ty wpadłaś na ścianę obory? Dlaczego nie byłam przy tobie, aby powtarzać ci, że cię kocham i że zawsze będę cię pamiętać? Dlaczego nie było mnie, aby z tobą rozmawiać, przytulać cię i pocieszać, kiedy cierpiałas i było jasne, że śmierć już się

zbliża? Czy zadawałaś sobie pytanie, dlaczego nie przyjeżdżam? Czułaś, że cię opuściłam, kiedy najbardziej mnie potrzebowałaś? Czy mi wybaczyłaś? Czy ja sobie kiedykolwiek wybaczę?

Pewnie nie. Płakałam za nią, za Marcelem i za wioską. Płakałam też nad sobą. Sposób życia, który zaczęłam szanować i który wydawał mi się wieczny, zniknął i już nie istniał, zastąpiony przez współczesność. Jeanne odeszła wraz z nim. Mimo to czułam się dziwnie pokrzepiona, patrząc na grób Marcela obok jej grobu. Znowu byli razem. Ocierając łzy, doszłam do wniosku, że być może pewnego dnia ból w moim sercu minie, ja zaś powspominam z zadumą, ile ludzkich żywotów odmieniła na lepsze ta stara, ubrana na czarno kobieta, która niemal całe życie spędziła na wsi. Pochyliłam się nad jej grobem i przycisnęłam policzek do ziemi.

– *Kenavo* – wyszeptałam.



## *Epilog*

Minęło wiele lat, odkąd Danielle i ja przeprowadziłyśmy się do Rzymu, a potem powróciłyśmy do Ameryki. Dawno temu, chcąc poznać ojca, który tak wcześnie zniknął z jej życia, Danielle przyjechała do Paryża. W końcu odnalazła bliskość z Yves'em. Czy mogła jednak odnaleźć sposób na to, by złagodzić ból, który przeżyła we wczesnym dzieciństwie i którego nie rozumiała? Czy mogła kiedykolwiek zapełnić pustkę spowodowaną jego nieobecnością? Raczej nie, ale pewnie będzie dalej szukała.

Teraz jestem znacznie starsza – starsza, niż była Jeanne, kiedy pojawiłam się w La Salle. Mimo początkowych trudności nigdy nie porzuciłam malowania, a po pewnym czasie zaczęłam prezentować swoje prace na wystawach. Spotkały się z życzliwym przyjęciem i odniosłam umiarkowany sukces. W końcu osiadłam na Manhattanie, miejscu będącym absolutnym przeciwieństwem mojej wiejskiej osady. A jednak jakaś część mnie nigdy nie opuściła La Salle i do dziś spaceruje samotnie po Central Parku, jakby to był sosnowy las sprzed wielu lat. Ta sama część mnie nadal przyciska dłońie do kory drzewa, żeby czerpać z niego życiowe siły. Co najważniejsze, mimo upływu lat wciąż pamiętam o Jeanne Montrelay. Rzadko zdarza się taki dzień, żebym nie czuła, jak stoi koło mnie, cała w czerni, z błyszczącymi szarymi oczami i uśmiechem na ustach, który pogłębiał zmarszczki na jej twarzy.

Przez wiele lat chciałam napisać o Jeanne, nie byłam jednak pewna, jak się do tego zabrać. Myślałam o książce dla dzieci albo o portrecie namalowanym słowami. Nigdy jednak nie zabrałam się do tego, byłam zbyt zajęta. Osiem lat temu przeszłam operację kręgosłupa. Po powrocie ze szpitala nie mogłam chodzić, malować ani nawet wziąć do ręki płótna. Nieustannie cierpiałam. Niezdolna do pracy, zaczęłam pisać o Jeanne. O dziwo, gdy zaczynałam, ból ustępował, ale powracał, gdy przestawałam. Z początku podchodziłam do tego podejrzliwie, pewna, że to zwykły przypadek. Jednak po kilku eksperymentach uświadomiłam sobie, że pisząc o mojej kochanej Jeanne, nie czuję bólu. Naturalnie, przy tak silnej motywacji rzuciłam się w wir pracy. Z czasem, wbrew medycznym prognozom, znów mogłam chodzić i malować. Niedawno miałam sporą wystawę obrazów, która okazała się większym sukcesem niż inne. Jeanne już wcześniej o mnie dbała i tym razem znów mnie uzdrowiła.

Kiedy sięgam pamięcią do dawno minionych chwil, nadal zaskakuje mnie, że stałyśmy się nierozłączne. Wszędzie chodziłyśmy razem, od pobliskich wiosek po plaże. Od Belle-Île do Paryża i ogrodów wersalskich. Mówiłyśmy sobie o wszystkim. Nadal widzę, jak dorzuca do ognia, przynosi do stołu dzbanek z kawą albo siada naprzeciwko mnie w kuchni po drugiej stronie drogi. Czasami to wspomnienie jest tak żywe, że zza firanek w kuchennym oknie czuję zapach hortensji. Za każdym razem, gdy coś choćby luźno związanego z tamtymi latami przywodzi mi na myśl obraz Jeanne, wyczuwam jej obecność tak namacalnie, jakby naprawdę stała obok mnie, a rysy jej twarzy są równie wyraziste jak pierwszego dnia w La Salle, gdy powitała nas na poboczu drogi.

## Podziękowania

Składam podziękowania mojej agentce Liv Blumer za jej wiarę w tę książkę, za entuzjazm, humor i wnikliwość. Dziękuję też asystentce Liv Divyi Sawhney, która pierwsza przeczytała maszynopis i uruchomiła proces wydawniczy. Jestem ogromnie zobowiązana mojej redaktorce Lauren Marino, jej współpracownikom Hilary Terrell i Brianne Ramagosa, a także całemu zespołowi redakcyjnemu za nieocenione rady i wsparcie.

Na serdeczne podziękowania zasługują też: Bryan Chadwick, Giuliana Mammucari, Laura Raedle Beckley, Fred Andresen, Jacques Laine, Kate Hurney-Braverman, Betsy Prioleau, Cynthia Brody, moja siostrzenica Joan Reed, Kristina Gelardi, Stacey Berman i wiele innych osób, które okazały mi przyjaźń, życzliwość i zaoferowały wszelką pomoc.

Wyjątkowo doceniam zasługi mojego przyjaciela Geoffa Stonera – bez jego zachęty i wsparcia, które okazywał mi od samego początku, ta książka z pewnością by nie powstała.

Sz szczególnie ciepłe słowa kieruję pod adresem mojej córki Danielle, z którą dzieliłam tamten niezwykły okres życia, która okazała się moim światłem w ciemności, pomogła mi przetrwać trudne chwile i o którą we wczesnym dzieciństwie troszczyli się, tak jak o mnie, poznani przez nas mieszkańcy Morbihanu.

Jestem wdzięczna i zobowiązana Claudine Diquero Rio, Rogerowi Diquero, *madame* i *monsieur* Le Blevenecom, Monique Le Blevenec Lohezic oraz wszystkim mieszkańcom wsi, którzy przewinęli się przez karty niniejszej książki. To oni otworzyli mi oczy na inny świat i wzbogacili moje życie.

Z głębi serca dziękuję jedynej osobie, która stała się moją inspiracją i powodem napisania książki – Jeanne. To jej dedykuję tę opowieść. Duch Jeanne towarzyszył mi przez te wszystkie lata i jestem jej do zgonnie wdzięczna – bardziej, niż kiedykolwiek zdołam wyrazić.

## *Przepis na quatre quarts*

Przesiej szklanę mąki do dużej miski. Dodaj niepełną szklanę cukru. Wymieszaj mąkę i cukier, a następnie zrób dołek pośrodku kopczyka i wbij cztery świeże jajka. (Jeanne podkreśliłaby, że jajka muszą być prosto od kury).

Na początek rozbełtaj jajka, a potem stopniowo połącz je z mieszanką. Jaja, mąka i cukier muszą stworzyć jednolitą masę.

Roztop dwie łyżki stołowe masła i wlej je do ciasta. Dodaj dwie łyżki stołowe oliwy z oliwek albo lekkiego, naturalnego oleju. Łącznie powinny być cztery łyżki tłuszczu. Wymieszaj.

Zaczynaj ubijać ciasto solidną drewnianą łyżką – najlepiej naśladowując przy tym minę Jeanne (opisaną na stronie 93). Ubijaj ciasto, dopóki nie stanie się gładkie, nie będzie się rozpląwało i zacznie wyglądać jak należy.

Na tym etapie nasmaruj blachę cienką warstwą masła. Przyprósz ją łyżeczką mąki i potrząśnij.

Obierz jabłko, gruszkę albo inny dojrzały owoc prosto z drzewa. Pokrój go na plasterki i porozkładaj je na dnie blachy tak, żeby wyglądały jak rozpostarty wachlarz.

Rozgrzej piekarnik do temperatury 175 stopni Celsjusza.

Ponownie ubij ciasto. Dodaj pełną łyżeczkę wanilii i starannie wymieszaj. Wsyp łyżeczkę proszku do pieczenia i solidnie ubij. Powstałą masę natychmiast przełóż na owoce. Posyp z wierzchu odrobiną cukru.

Delikatnie wsuń blachę do piekarnika.

\*

Przez mniej więcej czterdzieści minut nie wolno ci tupać ani trzaskać drzwiami. Po tym czasie, albo kiedy wyraźnie poczujesz zapach ciasta, sprawdź, czy się upiekło. W tym celu wbij w nie nóż. Jeżeli po wyciągnięciu nóż okaże się czysty, ciasto jest gotowe. Nie piecz zbyt długo.

Wyjmij ciasto z piekarnika i odstaw do ostygnięcia.

Odwróć blachę wierzchem do dołu i przełóż ciasto na talerz plasterkami owocu do góry.

Pokrój quatre quarts na kawałki i podawaj z kawą albo mocnym cydrem – z Bretanii, naturalnie.

*Bon appétit.*

## Przypisy

[1] Dwaj grubi bracia, wyglądający i zachowujący się identycznie; postaci z powieści Lewisa Carolla *Po drugiej stronie lustra* (przyp. tłum.).



BLACK PUBLISHING  
Wołowiec 11, 38-307 Sękowa

Redakcja: redakcja@blackpublishing.pl  
Sekretariat: ul. Kołłątaja 14, III p., 38-300 Gorlice  
tel. +48 18 353 58 93, fax +48 18 352 04 75  
sekretariat@blackpublishing.pl  
Promocja i marketing: katarzyna@blackpublishing.pl  
Dział sprzedaży: sprzedaz@blackpublishing.pl  
Dział e-booków i audiobooków: ebooki@blackpublishing.pl

Skład: D<sub>2</sub>D.PL  
ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków  
tel. +48 12 432 08 52  
e-mail: info@d2d.pl

Wołowiec 2014  
Wydanie I  
Ark. wyd. 9,4  
Cena 24,90 zł